

BARTOSZ ADAMIAK



PODZIEMNY WROCŁAW

Bartosz Adamiak
Podziemny Wrocław: Kto wysysa krew w Breslau?
Wrocław 2017

<http://bartoszadamiak.com>
<http://bartoszadamiak.com/podziemnywroclaw/>
<http://lubimyczytac.pl/ksiazka/4822276/podziemny-wroclaw-kto-wysysa-krew-w-breslau>

Kontakt:
kontakt@bartoszadamiak.com
<https://www.facebook.com/wobreslau/>
<https://www.facebook.com/bartoszadamiakpisze/>
<https://twitter.com/wobreslau>
<https://www.youtube.com/channel/UCdzuWJn7Y44XY0G6yrbcKCA>

I.

Znaleziono trupa. Konkretnie, to znaleziono tego trupa nad ranem, gdy nad ośnieżonymi trotuarami unosiła się mgła. Gliniarze mieli nie lada problem, gdyż na miejsce zbrodni musieli dostarczyć inspektora Wiesława Kulickiego (pseudonim Towarzysz). Aby jednak mogło się to udać, musieli go najpierw zlokalizować. I trwało dobre kilkadziesiąt minut, ponieważ koniecznym okazał się objazd po wszystkich, ulubionych barach Kulickiego. W końcu jeden z patroli natknął się na niego, gdy pijany przechodził na czerwonym świetle, wymachując bronią na trąbiące samochody. Gliniarze szybko zgarnęli inspektora na tylne siedzenie radiowozu i odjechali z piskiem opon.

Kiedy dotarli na miejsce zbrodni, był tam już prokurator Karol Płotka, którego stan również pozostawał wiele do życzenia – chwiał się nad ofiarą i wydychał kłęby pary o kwaśnym aromacie częściowo przetrawionego alkoholu.

– Jest już inspektor Kulicki – poinformował starszy aspirant Łukasz Lenar.

Płotka spojrzał na niego przepitymi oczkami i widać było, że rozszyfrowanie komunikatu sprawia mu problemy.

– Dawać go tu – odparł w końcu.

– Tak jest.

Lenar otworzył tylne drzwi Kii Ceed i do połowy zanurzył się w jej wnętrzu. Po dłuższej chwili światu ukazała się rozczochrana, siwa czupryna inspektora.

– Panie! Co jest? O co chodzi towarzyszu? – Kulicki bezskutecznie

usiłował wyrwać się z mocnego uścisku.

– Panie inspektorze, mamy trupa. Prokurator Płotka już jest – wyjaśnił starszy aspirant.

– Trupa? Jasna cholera... – Inspektor oprzytomniał nagle i wstał. Zaczął grzebać po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów. W końcu znalazł paczkę, wyjął jednego i zapalił roztrzęsionymi rękami. – Mówisz, że prokurator już tu jest?

– Tak, trochę czasu zajęło nam, zanim pana znaleźliśmy...

– Jasny gwint! Są jakieś dowody? – Złapał Lenara za ramię. – Powiedz mi szczerze chłopcze, czy są jakiekolwiek szanse, żebym się wywinął?

– Panie inspektorze, to nie jest pański trup, to... jakiś trup.

Kulicki przez moment wpatrywał się w starszego aspiranta, jakby słowa, które przed chwilą usłyszał, przecierały jakieś nowe połączenia pomiędzy synapsami w jego mózgu. W końcu jego usta rozszerzyły się w czymś, co posiadacz bardzo specyficznego poczucia humoru nazwałby uśmiechem.

– Nie mój? Jakiś trup?

– Chodź tu Wiesiu! – zawołał stojący nieopodal Płotka. – Zostawcie nas samych chłopaki.

Czterej policjanci, którzy do tej pory zabezpieczali miejsce zbrodni, oddalili się w stronę zaparkowanych nieopodal radiowozów, wyjęli papierosy i karty. Karol Płotka objął Towarzysza ramieniem.

– Słuchaj Wiesiu, sprawa jest bardzo delikatna. W pierwszej kolejności będziemy musieli wezwać tę waszą rzecznickę prasową. Wiesz, tę z fajną dupcią.

– Mamy tylko jedną z fajną dupcią... Bożenkę.

– Tak, Bożenkę. Trzeba po nią zadzwonić. Powiedz chłopakom, żeby dali jej znać. Niech pakuje dupeczkę w radiowóz i przyjeżdża – Płotka ściszył głos niemal do szeptu. – Wygląda mi to na robotę jednego z tych... no wiesz... n i e d o k o Ń c a u m a r ł y c h. – Mrugnął porozumiewawczo jednym okiem. – Wiesz o kim mówię.

– Wampiry?

Prokurator syknął i rozejrzał się nerwowo by sprawdzić, czy aby przypadkiem nikt niczego nie usłyszał. Oprócz denatki, nie mógł usłyszeć nikt.

– Nie mówię, że tak, ale też nie przeczę – wycedził powoli Płotka. – Po co w ogóle brnąć w tego typu dywagacje? Lepiej, żeby pismaki nie interesowały się tematem. Nie wyglądałoby to dobrze, gdyby okazało się... Sam rozumiesz... Wampiry we Wrocławiu? – Zrobił teatralnie zdziwioną minę, po czym poklepał Kulickiego po ramieniu. – Podobne sprawy w przeszłości się po prostu wyciszało. Da się to zrobić elegancko i po cichu. Sam wiesz...

Kulicki potakiwał głową ze zrozumieniem. Zdarzało mu się już w trakcie kariery działać elegancko i po cichu. Choć ta sprawa wydawała mu się szczególna. Nigdy jeszcze osobiście nie miał styczności z wampirami, czy innym tego typu cholerstwem. Dlatego bez zbędnego przeciągania przychylił się do propozycji Płotki, by wezwać Kalicką. Babeczka była nie w ciemną bita i miała dużo dobrych kontaktów w mediach. A takie kontakty bywają przydatne zwłaszcza wtedy, gdy pojawi się jakiś niechciany przeciek i trzeba kogoś ośmieszyć, obnażyć głupotę czy rażącą niedorzeczność.

– Poradzimy sobie – powiedział w końcu. – Chociaż podejrzewam, że to nie będzie takie proste.

– Wiesiu ja wiem, że to nie będzie proste, nie urodziłem się wczoraj.

– Prokurator poklepał go protekcyjnie po zarośniętym policzku.

– Wierzę, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy. W razie czego zawsze możesz też przyjść po pomoc do mnie.

Ale to będzie sporo kosztowało, pomyślał inspektor Kulicki.

– Matejko! – ryknął po chili. – Dzwon mi tu zaraz po rzecznickę. Niech no podjedzie. Daleko nie ma, a my musimy się z panem prokuratorem skonsultować w pewnych, niezwykle istotnych kwestiach.

– Tak jest.

Modest Matejko był chuderlawym gliniarzem o wyglądzie cherubinka psychopaty. Jego blond loczki mocno kontrastowały z rozbieganym, niespokojnym spojrzeniem. Przełożeni zwykle nie angażowali go w zbyt odpowiedzialne zajęcia, ponieważ zwyczajnie się go bali. Modest nie narzekał, bo zawsze znalazł sobie jakieś zajęcie.

Na przykład regularnie, nieproszony dokonywał oględzin zwłok w prosektorium.

Rzeczniczka pojawiła się po niespełna dwóch kwadransach. Ten czas wystarczył, by Kulicki i Płotka wyniuchali najbliższy sklep monopolowy i opróżnili po puszcze odświeżającego piwa. Stali teraz pod jednym z drzew i palili papierosy, ponurzy jak zawsze.

Bożena Kalicka była kobietą po czterdziestce. Jej długie, farbowane

na rudo włosy, wiły się niczym węże. Mocny makijaż nie do końca pasował do wykonywanego przez nią zawodu, jednak apele przełożonych puszczała mimo uszu. Miała się za kobietę niezależną, wpływową i pewną siebie. Pomimo posunięcia w latach, zdawała się wciąż zachowywać odrobinę powabu.

– Czego chcieliście gałgany – zapytała wyjmując paczkę mentolowych slimów.

– Nie będę owijał w bawełnę – zaczął Kulicki. – Ktoś zamordował kobietę. Z załączonych dokumentów wynika, że jest to pięćdziesięciodwuletnia Alina Nowak, zamieszkała we Wrocławiu.

– Takie rzeczy się zdarzają – mruknęła Kalicka i wskazała ich oskarżycielsko palcem. – Ale przecież nie wezwaliście mnie z takiego błahego powodu. O co chodzi? Mówić zaraz.

– Pani wnikliwość dorównuje jedynie pani urodzie – odezwał się prokurator, który do tej pory milczał onieśmielony. – Bardzo wstępne oględziny skłoniły nas do wniosków, że za zbrodnią tą stać może osoba nieumarła.

– Wampir? – Rzeczniczka wyraźnie ożywiła się.

– Wolimy używać terminu osoba nieumarła – poprawił ją Kulicki. – Sama pani rozumie, że sprawa może być bardzo poważna, a jej następstwa mogą zrodzić daleko idące konsekwencje...

– Na przykład niezdrowe zainteresowanie mediów – wbił się prokurator Płotka. – Do tej pory udawało się nam utrzymywać wampiry we Wrocławiu w sferze miejskich legend. Paru porąbanych blogerów napisało jakieś bzdury w mediach społecznościowych, ale nikt nigdy nie potraktował ich poważnie.

– Za wyjątkiem Moglińskiego – odparła rzeczniczka.

Zapadła chwila milczenia. Kłopotliwego milczenia.

– No tak... Mogliński – mruknął inspektor. – Ostatnio ma dobrą passę. Kilka poważnych tytułów kupiło jego treści. I to takich spoza świata ezoteryki i okultyzmu...

– W porządku – powiedziała po chwili milczenia Kalicka. – Artura Moglińskiego biorę na siebie. Posprzątajcie ten bajzel, a w południe zwołamy konferencję prasową. Sama nie mogę uwierzyć, że to mówię, ale jeśli to rzeczywiście wampir, mogą być kolejne ofiary. Spróbujemy uszyć z tego seryjnego mordercę, ale... – Spojrzała na nich karcącym wzrokiem. – Rozumiem, że sprawa zostanie załatwiona?

– Załatwiona? – Kulicki rzucił jej uważne spojrzenie. – A... tak, oczywiście. Dojdziemy do tego, kto zamordował i zajmiemy się nim.

Prokurator gorliwie przytaknął.

– Zorganizujemy mordercę zastępczego, a z wampirem się to jakoś załatwi.

Rzeczniczka rzuciła niedopałek na ziemię i rozgniotła go wysokim obcasem skózanego buta. Widząc to, Płotka poczuł przypływ ekscytacji, który jednak szybko został schłodzony wiadrem zimnej wody.

– I postarajcie się, żeby ta – wskazała palcem zwłoki – nie ugryzła nikogo. Bo wyjdzie niezręcznie. Strasznie niezręcznie.

Kulicki znalazł się w swoim biurze około godziny dziesiątej. Musiał wykonać kilka rozmów telefonicznych, a na jego komórce od dawna nie

było żadnych środków. Ponadto od dwóch dni bateria była znacznie bardziej martwa, niż poranna denatka, i chyba poprzedniego wieczora rozbił ekran podczas bójki z jakimiś starymi kumplami z milicji.

Była żona i komornik zabierali mu niemal wszystkie pieniądze.

– Kurwa...

Westchnął ciężko i wyjął z szuflady biurka butelkę wódki Huragan. Z braku lepszego naczynia chwycił szklankę w metalowym koszyczku, która stała na biurku od kilku dni. Wysypał fusy po herbacie do kosza i napełnił ją do połowy alkoholem, po czym wypił wszystko jednym haustem, nie krzywiąc się nawet specjalnie. Z kieszeni płaszcza wyjął broń służbową. Odetchnął z ulgą uzmysłowiwszy sobie, że nosząc pistolet w taki sposób, mógł go bardzo łatwo zgubić. Trzęsącymi się rękoma, wyjął w końcu papierosy i zapalił jednego, następnie chwycił za słuchawkę aparatu pamiętającego stare, dobre czasy i wykręcił numer, który wyczytał z notesu.

– Tak? – rozległ się głos w słuchawce.

– Doktorze Frankenheimer, z tej strony inspektor Kulicki. Mamy poważny problem.

W słuchawce zapadła cisza.

– Czy ten... problem, wymaga mojej... szczególnej interwencji?

– zapytał głos z wyraźnie niemieckim akcentem.

– Zgadza się. Potrzebuję pana w prosektorium. Dobrze by było to załatwić jak najszybciej. Może nawet jeszcze przed okazaniem zwłok.

– Przed okazaniem? – upewnił się Frankenheimer.

– Kiedy mógłbym się pana spodziewać?

Znów chwila ciszy, przerywana jedynie ciężkim, powolnym

sapaniem, charczeniem i chrobotem.

– Jeśli przyśle pan po mnie kogoś, mogę być gotów za... pół godziny.

– W porządku. Zatem do zobaczenia. – Inspektor odłożył słuchawkę.

Jedna sprawa załatwiona, pomyślał patrząc do swojego notesu i na zegarek. Czasu na działanie było niewiele, a sytuacja była szczególna. Wypił jeszcze pół szklanki wódki i schował butelkę z powrotem do szuflady, gdzie leżała ramka ze zdjęciem żony i syna.

Znów podniósł słuchawkę, ale tym razem wykręcił numer wewnętrzny.

– Jest tam gdzieś na dole Lenar? Niech podejdzie do mnie. To pilne.

Ciało Aliny Nowak spoczywało w kostnicy tak, jak je przywieziono. Na specjalne zalecenie prokuratora, nikt nie podejmował żadnych działań. Kręcił się tam tylko Modest Matejko, ale gdy tylko Kulicki zjawił się z Frankenheimerem, aspirant wyszedł.

– To jest ten problem? – zapytał doktor i bez ogródek odsłonił twarz denatki.

Ciężką torbę lekarską postawił na podłodze. Inspektor skinął głową.

– Proszę się nie krępować. Leży tak, jak ją przywieziono.

Frankenheimer ściągnął całkowicie białe prześcieradło i rozpoczął oględziny zwłok. Na szyi ofiary, w okolicach tętnicy, odnalazł bez trudu dwie rany oddalone od siebie o kilka centymetrów. Następnie założył lateksowe rękawiczki i zaczął obmacywać rozmaite rejony Nowak. Policjant zaczął się niepokoić i przez chwilę rozważał, czy przypadkiem

nie odbywa się tu coś nielegalnego, ale w końcu Frankenheimer wyprostował się.

– Ale się opił – mruknął. – Musiał wydoić naraz pięć litrów... no, może cztery. Ciężko jest w taki sposób ściągnąć całą krew z organizmu.

– A więc jednak?

Kulicki odkręcił piersiówkę, którą wyjął zza pazuchy i przyssał się do niej jak niemowlak do piersi matki.

– Nie mam w tej kwestii najmniejszych wątpliwości. Mamy tu do czynienia z przypadkiem śmierci wampirycznej. – Doktor otworzył swoją torbę i wyjął z niej metalową piłkę, młot i drewniany kołek. – Ta kobieta przebudzi się już niebawem i może stać się przyczyną licznych problemów. Jeśli pan rozumie, co mam na myśli – Frankenheimer podrapał się brudnym paznokciem po podbródku.

– Doskonale rozumiem – odparł Kulicki. – Właśnie dlatego pana wezwałem.

– Czyli mogę?

– Oczywiście. Czyńcie swoją powinność towarzyszu.

Doktor chwycił w jedną dłoń zaostrozony palik, w drugą młot. Kołek przyłożył do piersi kobiety, mniej więcej tam, gdzie powinno znajdować się serce, następnie uderzył weń młotem. Uderzał tak kilka razy, czemu towarzyszyły dość osobliwe i nieprzyjemne odgłosy. Kulicki wzdrygał się przy każdym takim uderzeniu, pociągając przy tym z piersiówki. Z każdym uderzeniem palik zanurzał się coraz głębiej i głębiej, aż w końcu przybrał postać drewnianego krążka wystającego nieco tylko ponad ciało.

– Nigdy bym nie uwierzył w takie rzeczy, gdybym sam nie zobaczył – powiedział inspektor. – To się w głowie nie mieści...

– A właśnie, głowa! – Frankenheimer otarł pot z czoła, odłożył młot i chwycił za piłę. – Zechce pan mi pomóc?

Kulicki schował piersiówkę. Włożył rękę pod folię, na której leżały zwłoki i dopiero przez tę folię chwycił głowę Aliny Nowak. Frankenheimer przyłożył piłę do gardła i zaczął ciąć. Dźwięk był nieprzyjemny, świszczaco-mięsisty. Ale jeszcze bardziej nieprzyjemny stał się, gdy brzeszczot piły dotarł do części twardych. Teraz doktor musiał włożyć w to naprawdę dużo siły. Inspektor dziękował Bogu, że w ciele nie było krwi. Prawdopodobnie odcięcie głowy, nawet zwłokom, ale nieopróżnionym, byłoby dużo bardziej drastycznym widowiskiem, którego jego schorowany żołądek mógłby nie wytrzymać.

W końcu brzeszczot znalazł się po drugiej stronie szyi, a trzymana przez Kulickiego głowa odsunęła się od korpusu, który teraz kończył się dziwnym przekrojem.

– Czy oni to kupią?

Frankenheimer oddychając ciężko, usiadł na zielonym krześle stojącym nieopodal.

– To już nie moje zmartwienie. Miałem tylko przyjechać i wykonać swoją robotę. To pan chciał, bym to zrobił przed okazaniem.

Wstał i zaczął przecierać swoje narzędzia jednorazowymi ściereczkami nasączonymi spirytusem.

– A jak niby mieliśmy to załatwić inaczej? Chyba lepsze to, niż panika z powodu wampra? Powiemy, że to po prostu jakiś świr, zamknie się jakiegoś bezdomnego...

– Jak pan sobie chce – przerwał mu Frankenheimer, chowając narzędzia do torby. – A zatem...

– Zatem?

– Tego...

Kulicki zreflektował się i wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza kopertę z pieniędzmi podjętymi z depozytu policyjnego. Pieniądze były dowodem w sprawie narkotykowej, ale przy odrobinie dobrych chęci, powinno się to udać jakoś załatwić.

– Muszę liczyć? – zapytał doktor.

– Tylko wówczas, jeśli pan mi nie ufa. – Inspektor zaśmiał się nerwowo i zaczął szukać piersiówki po kieszeniach.

Frankenheimer szybko przeliczył.

– Tu jest tylko siedemset. Brakuje trzystu złotych.

– Umówmy się, że drugą ratę dostarczę w ciągu tygodnia.

– Nie było mowy o żadnych ratach panie Wiesławie.

Kulicki westchnął ciężko. Wyjął portfel i szybko przeliczył jego zawartość.

– Tu jest osiemdziesiąt siedem złotych i pięćdziesiąt groszy...

– Dobra, daruj sobie pan te drobniaki. – Frankenheimer wziął pomięte banknoty i starannie włożył do koperty z pozostałymi pieniędzmi.

– Niech pan sobie kupi coś do jedzenia. Wygląda pan jak kupa gnoju.

Inspektor uzmysłowił sobie, że od rana wypił piwo, trochę wódki, wypalił paczkę papierosów i w zasadzie nie miał w ustach ani kęsa czegoś normalnego. I w tej samej sekundzie jego żołądek zawył przeciągle.

Gdy tylko rozstał się z Frankenheimerem, skierował swoje kroki do bufetu, gdzie zamówił setkę i kanapkę z szynką. Setkę wypił od razu, a kanapkę schował do kieszeni marynarki na później, gdy tylko przypomniał sobie o konferencji prasowej, którą miała zwołać Kalicka.

Przed aulą stało kilkoro dziennikarzy, którzy nie zmieścili się w środku. Przyszło ich znacznie więcej, niż się spodziewał. Nie chcąc przeciskać się przez tłum, Kulicki wyjął odznakę i zaczął wymachiwać nią na lewo i prawo. Wreszcie wcisnął się do ciasnego wnętrza auli, przepełnionego smrodem potu i skarpet, które już dawno powinny były trafić do kosza na brudy, ale najwyraźniej ktoś postanowił dać im drugą szansę.

Kalicka akurat odpowiadała na pytanie któregoś dziennikarzyny z lokalnego szmatławca.

– To pierwsze tak drastyczne morderstwo w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy. Nie ma żadnych przesłanek, że może to być zapowiedź serii, choć oczywiście nie wykluczamy z góry takiej możliwości. Do sprawy zostaną przydzieleni najlepsi ludzie. Zrobimy wszystko, by wyjaśnić ten przypadek.

Po chwili rękę podniósł jakiś ulizany hipster.

– Szymon Antczak, portal zbrodnia24. W jaki sposób głowa została oddzielona od ciała?

– Niestety nie mogę udzielić takiej informacji – odparła Kalicka.

– Ciało zostanie poddane sekcji zwłok i dokładniejszej ekspertyzie dziś wieczorem.

– A wstępne oględziny? Chyba można na pierwszy rzut oka rozróżnić, czy ktoś posłużył się piłą czy siekierą?

– Nie chcielibyśmy wpuszczać do obiegu informacji

niesprawdzonych. Sami państwo rozumiecie, taka informacja zaczyna żyć własnym życiem, jest bezmyślnie powielana, deformowana, zniekształcana i bardzo trudno to potem powstrzymać. Proszę uzbroić się w cierpliwość i poczekać na wyniki rzetelnej ekspertyzy.

Kulicki poczuł, że za chwilę zwymiotuje. Bynajmniej nie dlatego, że rozmawiano o dekapitacji. Osobiście kilkadziesiąt minut wcześniej asystował przy tej czynności. Niedobrze mu było, bo w dalszym ciągu niczego nie zjadł, i zaczęły odzywać się wszelkie defekty jego ciała, o których przez lata wolał nie myśleć, i zwykle po prostu udawał, że ich nie było. Zrobiło mu się duszno, a na czoło wystąpiły krople potu. Wstał i chwiejnym krokiem udał się w stronę wyjścia, pozostawiając Bożenę Kalicką na pastwę wygłodniałych sępów.

Do domu dotarł bardzo późnym wieczorem. Właściwie to nawet bardzo wczesnym rankiem. Opadł bezwładnie na fotel, nie zdejmując nawet płaszcza i butów. Na stoliku w dalszym ciągu stała butelka wódki, otwarta dwa dni wcześniej. Obok położył jeszcze kanapkę z bufetu, która w końcu miała się doczekać konsumpcji.

Jego lokum wyglądało, delikatnie mówiąc, jakby mieszkał w nim niezbyt porządny kawaler. Była to kawalerka, do której wprowadził się zaraz po tym, jak żona wypędziła go z domu i od trzech lat nie zdarzyło mu się posprzątać jej ani razu. Ubrania prał w zlewie kuchennym, bo stara frania rwała wszystko na strzępy. Naczyni starał się nie używać. Zwykle kupował gotowe dania, które znajdowały się w jakimś pojemniku i miały

załączone jednorazowe sztućce. Na bardziej wyszukane jedzenie szedł do firmowego bufetu lub baru mlecznego. Okien nie odsłaniał, więc nie odczuwał dyskomfortu związanego z faktem, że nic przez nie nie widać.

Ostatecznie nie ruszył nawet tej kanapki. Wypił resztkę wódki, włożył pistolet do ust i zasnął.

II.

Artur Mogliński od kilku dni usiłował spotkać się ze swoim informatorem, który na forum i w mailu posługiwał się pseudonimem Thorin Dębowa Tarcza. I był to kolejny wieczór, kiedy informator się nie pojawił.

Mróz był siarczysty, więc Artur postawił kołnierz płaszcza i ruszył w stronę pobliskiej kawiarni, której duże okno wychodziło na przystanek autobusowy – umówione miejsce spotkania. Otwarte drzwi potrąciły mosiężny dzwoneczek, wywołując z zaplecza podstarzałą, budzącą odrazę kelnerkę. Kobieta była wyraźnie niezadowolona faktem, że pojawił się jakiś klient.

– Co podać?

Mogliński rzucił okiem na menu. Ceny były kosmiczne, ale podejrzewał, że kelnerka nie zgodzi się na to, by po prostu posiedział i się zagrzał.

– Kawę – powiedział niechętnie i wyjął portfel.

– Cztery pięćdziesiąt. – Kobieta rozlała się na kontuarze, jak jakaś ośmiornica, dając mu do zrozumienia, że nie ruszy się z miejsca, zanim nie otrzyma pieniędzy.

– Rozbój w biały dzień – mruknął Mogliński i rzucił wyliczone drobniaki obok grubego przedramienia kobiety.

Potem zajął miejsce przy oknie, by dobrze widzieć przystanek. Informator nie pojawiał się nadal. Po kolejnych dwudziestu minutach kelnerka przyniosła kawę zaparzoną w białej szklance, a telefon Moglińskiego zawibrował w kieszeni. Był to SMS od informatora.

– Niestety dziś nie mogę przyjść. Śledzą mnie.

Artur już od pewnego czasu podejrzewał, że Thorin Dębowa Tarcza to kompletny świr, pogrążony bez reszty w manii prześladowczej. Poświadczał o tym niemal każdy kontakt, jaki udało mu się nawiązać z informatorem. Każdy SMS wysłany był z zupełnie nowego numeru, zapewne prepaida zarejestrowanego na fałszywe dane lub kradzonego. Używał kilkunastu różnych skrzynek mailowych i umawiał się z Arturem wyłącznie w parkach, po zmroku.

Mogliński miał pewną hipotezę, która dość sensownie tłumaczyła zarówno manię prześladowczą, możliwość używania różnych numerów telefonu oraz pseudonim informatora. Thorin Dębowa Tarcza musiał być informatykiem, pracującym w którejś z firm telekomunikacyjnych.

Długo pił ohydną, szybko stygnącą kawę. Pił ją chyba tylko dlatego, że zapłacił za nią krocie, ale również dlatego, że nie za bardzo miał się gdzie podziać. Jego mieszkanie obserwowane było przez policję, komornika oraz kogoś jeszcze, kogo sam nie potrafił zidentyfikować. Od kilku dni pomieszkiwał u przyjaciół, ale ci coraz częściej odmawiali widząc, że nie jest to jedynie nagły wypadek, a coś bardziej przewlekłego.

Rozważał wyjazd do Kłodzka, do rodziców. Tam miałby wikt i opierunek za darmo, jednak dworce PKP i PKS roły się od policji i służb

porządkowych. Poza tym wszędzie były kamery. Wyjazd z miasta tą drogą nie umknąłby uwadze tych, których uwadze miałby umknąć. A jego samochód został unieruchomiony po tym, jak skończyła się w nim benzyna, pamiętnego lata dwutysięcznego trzynastego.

Pił zatem tę ohydną kawę tak długo, aż w końcu przy jego stoliku pojawiła się nieprzyjemna kelnerka i oświadczyła, że zamyka, używając przy tym języka znacznie mniej wyszukanego.

– Te, student. Wypierdalaj.

Mogliński nie był studentem. Nie wyglądał nawet na studenta. Miał na karku czterdziestkę i utrzymywał się z prac dorywczych, podejmowanych głównie na czarno. Starał się nie figurować w żadnych spisach, ewidencjach czy kartotekach. Gdzie mógł, posługiwał się tożsamością narzeczonej, która już od bardzo dawna nie była jego narzeczoną, ale zostawiła u niego swój dowód osobisty. Jego głównym zajęciem było obywatelskie dziennikarstwo śledcze, ukierunkowane na obnażanie spisków, ciemnych interesów władz oraz spraw tajemniczych i niewyjaśnionych. Prowadził też bloga. Oczywiście pod pseudonimem. Jednak pomimo wszystkich przedsięwziętych środków ostrożności, policja i inne służby, wiedziały o nim niepokojąco dużo.

– Dziękuję za kawę – powiedział i wstał od stolika. – Powinna pani popracować nad sobą. Zarówno nad swoimi manierami, jak i nad umiejętnościami baristy. Nie podałbym takiej lury nawet teściowej.

Wyszedł na mróz. Spojrzał na zegarek i na godziny otwarcia kawiarni wyklejone na drzwiach. Była dziewiętnasta pięćdziesiąt, a kawiarnia powinna była pracować do dwudziestej. Przez chwilę chciał wejść z powrotem, by dać prztyczka w nos tej nieprzyjemnej babie, jednak

pohamował się, włożył ręce głęboko w kieszenie i ruszył w stronę rynku w nadziei, że uda mu się spotkać jakiegoś znajomego, który zaprosi go na piwo albo do domu.

Thorin Dębowa Tarcza odezwał się na krótko przed dwudziestą trzecią. Napisał SMSa, z nowego numeru, że mogą się spotkać za pół godziny przy pomniku Słowackiego. Mogliński odpisał, że jest zajęty, ale że postara się dotrzeć, po czym skrzył w Kurzy Targ i przyspieszył kroku. Wszystko miał już zmarznęte na kość. Szybko oszacował, że do godziny spotkania, będzie musiał obejść rynek jeszcze ze dwa razy szybkim krokiem.

Na miejsce dotarł na tyle spóźniony, by wypaść przy tym na człowieka zabieganego i rozchwytywanego, ale nie na tyle, żeby informatyk sobie poszedł.

– Miałem już iść – powiedział Thorin.

– Przepraszam, przedłużyło mi się spotkanie – skłamał Mogliński.

– Mam mocny materiał, który lada dzień ujrzy światło dzienne na moim blogu.

Dębowa Tarcza rzeczywiście wyglądał na informatyka. Miał nadwagę, grube okulary i rumianą, pozbawioną zarostu twarz. Nie wyglądał na ogolonego. Po prostu nic mu tam nie rośło. Jak u dziecka.

Wyjął swoją komórkę i zaczął coś w niej szukać.

– Rzuć okiem na to – powiedział, rozglądając się na boki.

Na ekranie pojawił się film, kręcony prawdopodobnie tym samym

telefonem. Film przedstawiał pijaną dziewczynę idącą po moście nocą. Dziewczyna coś mówiła, do osoby trzymającej telefon. W pewnym momencie zatrzymała się, wychyliła przez barierkę i zwymiotowała.

Mogliński popatrzył na swojego informatora, nieco zdezorientowany.

– Zaczekaj chwilę, zaraz będzie dobre – wyszeptał gorączkowo Thorin.

Ujęcie zmienia się lekko, pokazując strumień wymiotów spadających do Odry. W pewnym momencie obiektyw telefonu omiata wybrzeże. Potem następuje koniec ujęcia.

– Widziałeś to? – spytał w końcu.

Mogliński przytaknął niepewnie.

– Tak, świetne ujęcie – odparł, w myśli żałując, że jednak nie będzie mógł zapytać tego świra o nocleg.

– Przewinę kawałek i zrobię stop-klatkę – powiedział informator i jeszcze raz pokazał telefon.

Na zatrzymanej klatce wydać było wybrzeże i... jakąś postać. Mogliński zmrużył oczy i przybliżył się do ekranu. Postać była humanoidem, ale na pewno nie człowiekiem. Była całkowicie pozbawiona włosów, a jej skóra miała kolor, który na filmie najbardziej zbliżony był do koloru wody, czyli szarobury. Im dłużej Artur wpatrywał się w to zdjęcie, tym więcej niepokojących detali dostrzegał.

– Ma strasznie dziwną budowę...

– Zgadza się. Porusza się na palcach. A tutaj jest kolano... o...
– informatyk dotknął palcem ekranu.

– Co to jest? – zapytał w końcu.

Thorin jeszcze raz rozejrzał się po okolicy i schował telefon.

– Nie mam zielonego pojęcia. Dostrzegłem to dopiero rano, kiedy dziewczyna chciała zadzwonić na policję i chciałem ją zaszantażować nagraniami. – Wyjął z kieszeni pendrive w kształcie Spidermana. – Jestem gotów odsprzedać to nagranie za... pięć stów.

Mogliński przełknął ślinę. Nie widział takiej ilości gotówki już od dawna, ale za to nagranie był skłonny zapłacić każdą cenę, nawet nie wiedząc, co tak dokładnie ono przedstawia. Na podstawie pierwszych oględzin nie byłby w stanie nawet powiedzieć, który to był most. A była to rzecz absolutnie kluczowa. Dokładna analiza nagrania i biały wywiad w oparciu o Google Street View pomogłyby mu ustalić z dość dużą precyzją miejsce kręcenia filmu. A później oczywiście oględziny...

– Czy moglibyśmy umówić się na płatność w późniejszym terminie?

– zapytał w końcu.

Thorin Dębowa Tarcza schował pendrive'a do kieszeni i zamarkował ruch, jakby chciał się odwrócić i odejść. Widać było jednak, że zależało mu na tych pieniądzach.

– Zaczekaj. – Artur złapał go za ramię. – Umówmy się pojutrze. Spróbuję zorganizować gotówkę. Chcę kupić ten materiał. Myślę, że to jest naprawdę.... coś.

Thorin przez chwilę udawał, że się waha. W końcu wyjął telefon i wpisał sobie notatkę w kalendarzu. Mogliński kątem oka ujrzał słowo „złamas”.

– W porządku – powiedział informator. – Ale bez żadnych numerów. Spotykamy się, wymieniamy pendrive za kasę i każdy idzie w swoją stronę. Żadnego gadania, żadnej ściemy, targowania... Jasne?

– Jak słońce – odparł dziennikarz.

Jeszcze przez chwilę obserwował odchodzącego w mrok informatyka i przypominał sobie, że miał się zapytać o nocleg. Noc była mroźna. Ostatecznie jednak miał teraz dużo większe zmartwienie, jakim było zorganizowanie w ciągu dwóch dni zawrotnej sumy pięciuset złotych. A ponieważ nie zamierzał tracić czasu, od razu przystąpił do przeglądania kontaktów w telefonie. Najpierw pod kątem pożyczenia kasy, a potem nawet ewentualnej pracy dorywczej.

W końcu zrezygnowany zadzwonił do swojej ciotki, aby zapytać o możliwość zanocowania. Kobieta była bardzo niezadowolona, szczególnie z powodu późnego telefonu, ale ostatecznie zaprosiła go do siebie, jak zwykle. Dobra, kochana ciocia.

Jedząc śniadanie, Artur przeglądał lokalny tygodnik, w którym natrafił na informację o tajemniczym morderstwie w centrum Wrocławia. Zwłoki pięćdziesięciodwuletniej kobiety znaleziono niedaleko gmachu Opery. Miała odciętą głowę i wbity w pierś drewniany kołek. W artykule znalazła się także obszerna relacja z konferencji prasowej. Nad artykułem znajdowało się zdjęcie Bożeny Kalickiej, rzeczniczki prasowej komendy, oraz nagłówek głoszący: „Dekapitator uderza”. Nieco niżej: „czy to początek serii?”.

Artur pociągnął łyk mocno posłodzonej kawy rozpuszczalnej z mlekiem. Gdy stanął przed nim talerz parówek, odłożył gazetę i zabrał się do jedzenia. Ciotka zadawała mu jakieś pytania, a on na nie odpowiadał, choć myślami był gdzieś indziej. W końcu doznał olśnienia.

Ubrał się i wybiegł szybko. Jeszcze zanim wszedł do tramwaju, wykręcił numer Bożeny Kalickiej.

– Tak Arturze? – odezwał się zimny jak lód głos w słuchawce.

Kobieta traktowała go protekcyjnie, ale czuł, że w gruncie rzeczy liczyła się z nim, i z jego możliwościami.

– Wiem coś, czego nie chcielibyście upublicznić – powiedział.

– Spotkajmy się u mnie za godzinę. Co ty na to?

– Jestem w drodze.

To był oczywisty blef. Jednak przeglądając gazetę, Mogliński uświadomił sobie, że już raz zastosował taki manewr z powodzeniem i wyłudził od policji całkiem niezłą sumę pieniędzy, w zamian za milczenie. Od tego momentu stał się wprawdzie obiektem obserwacji, ale przecież ciągle ktoś go obserwował i śledził. Pod okiem policji czuł się nawet nieco bezpieczniej.

Jedynym słabym punktem planu było to, że powołując się na dobro śledztwa, mogliby wezwać go na świadka, a wówczas musiałby się przyznać, że gówno wie. Tyle, że ta Kalicka była strasznie głupia i zadufana w sobie. Wyobrażała sobie, że toczy jakieś gry rodem z amerykańskich seriali, i że rozsiewa subtelne macki wpływów. Tymczasem jedynym, co rozsiewała, była opryszczka. Bo nie było żadną tajemnicą, że wiele spraw załatwiała przez łóżko.

Na komisariacie nie witano go miło. Gdy ktoś go nie znał, próbował go zatrzymać. Ci, którzy znali, obrzucali go nieprzyjemnymi spojrzeniami, a czasem obelgami. Dał się poznać kilka razy, przy okazji publikacji, które jakimś cudem sprzedawał gazetom. W większości były to brednie o samowolce i pijaństwie wśród policjantów. Upublicznił kiedyś

na blogu zdjęcie inspektora Wiesława Kulickiego, wymachującego bronią na rynku. Normalny glina za coś takiego dostałby wilczy bilet, ale nie Towarzysz Wiesław. Jego wpływy sięgały zbyt głęboko. I choć zdawał się być tylko zrujnowanym pijaczyną, trząsł połową miasta.

– Mogliński, siadaj – powiedziała rzeczniczka, gdy już Artur znalazł się w gabinecie. – Napijesz się czegoś?

– Czystej, jeśli można.

Kalicka wyjęła spod biurka opróżnioną do połowy butelkę wódki i dwie literatki z grubo ciosanego kryształu. Postawiła to na blacie i podeszła do okna, aby Mogliński mógł poleć.

– Co cię do nas sprowadza Arturze? – spytała w końcu.

– Sprawa Aliny N. – odparł, nalewając wódkę. – Tej z odciętą głową. Temat jest ci dobrze znany, ponieważ przedwczoraj zwołałaś konferencję prasową, na której niestety nie mogłem się pojawić, gdyż zbierałem materiały, akurat w innej sprawie.

Podszedł do niej i podał jej wódkę, po czym oboje wypili duszkiem do dna. Mogliński skrzywił się nieznacznie. Kalicka nawet nie drgnęła. Wyjęła tylko paczkę mentolowych slimów i zapaliła jednego.

– Chcesz?

Nienawidził mentolowych, ale nie miał papierosa w ustach od dwóch dni. Wziął dwa, jednego schował do kieszeni flanelowej koszuli, drugiego przystawił do zapalanej zapalniczki i zaciągnął się głęboko, czując jak rozkosz rozplywa się po całym jego ciele.

– Rzecz w tym – zaczął, wypuszczając kłęb miętowego dymu – że z pewnością wolelibyście, aby pewne informacje nie przeciekły do prasy. A tak się jakoś złożyło, że mam już zamówiony materiał, i aby zachować

rzetelność, powinienem...

– Więc, co cię powstrzymuje? – uśmiechnęła się fałszywie.

– Sympatia. – Mogliński rozsiadł się w fotelu. – Lubię cię Bożena. Nawet czasem wspominam sobie z rozrzewnieniem tamtą noc, kiedy mi dałaś.

Rzeczniczka zacisnęła pięść, aż knykcie jej zbieleły. Wyraźnie ubodło ją wyłowione z odmętów przeszłości wspomnienie, bo rzeczywiście doszło kiedyś między nimi do takiego zdarzenia.

– Ciesz się tym wspomnieniem – powiedziała w końcu. – Za szybko się to nie powtórzy.

– Niemniej jednak, jestem skłonny cofnąć szkodliwą dla was publikację, przez wzgląd na te stare, dobre czasy. A wiadomo, stara miłość nie rdzewieje.

Zaśmiał się, a Kalicka zgasiła połowę papierosa, podeszła do biurka i nalała drugą kolejkę. Swoją wódkę wypila od razu.

– Ile?

– Pięć stów – powiedział tryumfując w duchu. – Nie próbuję was naciągać. Chcę tylko zrekompensować sobie stratę za ten artykuł.

Ku zaskoczeniu Moglińskiego, rzeczniczka wyjęła portfel z wiszącego na wieszaku płaszcza. Odliczyła pięć zielonych banknotów i położyła przed nim na biurku.

– Mam coś pokwitować? – zapytał niepewnym głosem.

– Nie. Ale posłuchaj gnojku. Jeśli cokolwiek na ten temat ukaże się w jakiegokolwiek gazecie, podpisane twoim nazwiskiem, znajdę cię i wbiję ci buciolem ten drewniany kołek do gardła. Rozumiesz?

Artur rozumiał. Zgasił papierosa i włożył niedopałek do kieszeni.

Następnie zwinął banknoty w rulon i je również schował. Nie odzywając się, jakby w obawie, że rzeczniczka zmieni zdanie, wycofał się do drzwi i wyszedł.

To było łatwiejsze niż myślał. Dużo łatwiejsze. Właściwie Kalicka sama wsunęła mu kasę w garść, w dodatku bez żadnych dowodów, podpisów czy weksli. Byłby skłonny odnotować sobie na przyszłość, że rzeczniczka może być źródłem łatwych pieniędzy, ale nie chciał przesadzać. Domyślał się, że gdzieś tam, za ciężkimi, drewnianymi drzwiami, siedział ktoś, kto to wszystko trzymał w garści. I ten ktoś mógł kiedyś, w jakiś sposób dotrzeć do tego, że płacono sobie pod stołem, w zamian za różne przysługi. A wiadomo, że każdy, kto idzie na dno, stara się pociągnąć za sobą jak najwięcej osób postronnych. Źle się tonie w samotności.

Jeszcze tego samego dnia napisał maila do Thorina Dębowej Tarczy. Informatyk swoim zwyczajem odpowiedział SMSem, wysłanym z nieznanego numeru. Zaproponował żeby spotkali się o dwudziestej, na starym cmentarzu żydowskim. Podkreślił także, jak bardzo liczy na to, że Artur jednak przyniesie pieniądze, i że w kolejce czeka już dwóch innych kupców, którzy pieniądze mają. Mogliński odpisał tylko, że pieniądze ma, i że będzie w umówionym miejscu o umówionym czasie.

Wieczorem, już po wymianie, po raz pierwszy od dłuższego czasu wrócił do swojego domu, ponieważ potrzebował skorzystać z komputera. Postarał się przy tym o zachowanie wszelkich środków ostrożności.

Przykleił sobie sztuczne wąsy i założył starą fedorę, którą trzymał w bagażniku zaparkowanego dwie przecznice dalej auta. Swoją stary, sfatygowany płaszcz zamienił na jeszcze starszy i jeszcze bardziej sfatygowany, który spoczywał na wszelki wypadek w bagażniku pojazdu.

W mieszkaniu nie zapalał świateł. Laptopa odpalił pod kołdrą, by blask ekranu nie odbijał się w oknach. Drżącymi z emocji rękami włożył pendrive'a do portu USB. Po chwili, gdy komputer wykrył pamięć, wszedł do katalogu, w którym znajdował się plik. Jego nazwa brzmiała: oni_juz_tu_sa.avi.

III.

Tuż przy placu Nowy Targ stanął pewnego dnia nowy food truck. Jego właściciel nie miał zbyt wielu klientów, więc chodził po firmach i instytucjach państwowych, z koszem towaru na sprzedaż. Z kilku miejsc wyrzucono go niemal siłą. W innych wzbudził pewne umiarkowane zainteresowanie, jednak do ciężarówki wrócił z prawie pełnym koszem.

Niewielu ludzi chciało kupować kanapki z czosnkiem.

– Popatrz na niego – powiedział Andrzej z księgowości – Co za fujara.

Aneta wzięła swoje latte spod ekspresu i zbliżyła się do okna.

– Kto to?

– Facet sprzedaje kanapki z czosnkiem. Chyba ktoś mu w dzieciństwie przyłożył cegłówką w dekiel albo coś... Kto kupuje kanapki z czosnkiem?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Jak bierzecie kebaba, to zawsze z sosem czosnkowym.

– No tak, ale to co innego. Kebab to mięso, posiłek białego człowieka. A kanapki z czosnkiem? Proszę cię. To jakiś hipsterski wynalazek dla gejów chyba. To niesmaczne, cuchnące i w ogóle w złym guście.

– Nie wiem Andrzej. Wasze kebaby też są niesmaczne, cuchnące i w złym guście.

Upiła kilka łyków kawy i opuściła socjał, by nie ciągnąć dalej tej rozmowy. Starła się przy tym nie zwracać uwagi na spojrzenie, jakim odprowadzał ją księgowy. Zupełnie, jakby oceniał półtuszę w mięsny.

Zanim zdążyła zasiąść przy komputerze, by zabrać się za nadrabianie zaległości z dnia poprzedniego, zadzwonił telefon.

– Słuchaj... tak sobie pomyślałem – usłyszała w słuchawce głos tego księgowego, Andrzeja. – A może wyskoczylibyśmy gdzieś razem, co? Niedaleko mnie otworzyli niezłą pizzerię.

Chciała odmówić, ale trochę się bała, bo Andrzej cieszył się wyjątkowymi względami kierownictwa. Był też cholernie mściwym i małostkowym człowiekiem. Obrażał się z byle powodu, a później dąsał się tygodniami, nie marnując najmniejszej nawet okazji na podłożenie komuś świni. Podobno zdarzyło się już, że jakaś dziewczyna straciła przez niego pracę.

– Słuchaj – zaczęła niepewnie. – Jestem ostatnio dość mocno zajęta...

– Nie mówię, że dzisiaj, ale może jutro? Albo pojutrze?

Przez chwilę gorączkowo zastanawiała się, co powiedzieć. W końcu doznała olśnienia.

– Zajęta w sensie... no wiesz... damsko-męskim. Mam chłopaka.

Właściwie narzeczonego. Planujemy ślub i robimy właśnie rozeznanie w salach, cateringach i orkiestrach...

To powinno go przystopować, pomyślała. Choć od razu także wystraszyła się, że mogło to zabrzmieć niezbyt wiarygodnie. Zwykle, gdy ktoś planuje ślub, całe biuro o tym wie. Dziewczyny nieustannie gadają o tym w kuchni i wszyscy znają najdrobniejsze detale – kto w jakiej sukni, jaki didżej, jakie kwiaty w kościele.

– Ach, rozumiem – powiedział po krótkiej chwili milczenia.

– Chociaż w sumie to żaden problem, bo chodzi o sprawę zawodową

– dodał po chwili. – Chciałbym z tobą pomówić o kilku fakturach.

– Nie możemy tego załatwić w godzinach pracy? W biurze?

– Moglibyśmy, ale sprawa jest dosyć nietypowa. Podejrzewam, że możesz mieć kłopoty. Chciałbym to najpierw omówić z tobą, zanim będę musiał pójść z tym do Ryśka.

Rysiek, a właściwie pan Ryszard, był ich szefem i powołanie się na taki argument, oznaczało skrajną desperację.

– Może wyjdziemy pogadać na papierosa? – zaproponował.

– Nie palę.

– To na kanapkę.

Wahała się przez chwilę, jednak ostatecznie uzmysłowiła sobie, że i tak nie ma zbyt dużego wyboru. Andrzej mógł blefować, choć równie dobrze rzeczywiście mogła popełnić jakiś błąd. Prędzej skłonna była uwierzyć w to pierwsze, jednak nie chciała ryzykować.

– Dobra. Spotkajmy się piętnaście minut przy tym nowym food trucku.

– Tym z czosnkiem?

– Tak.

– W porządku. Cieszę się, że chcesz współpracować. To dobry znak. Może to tylko nieumyślny błąd i nie będzie żadnego problemu. Do zobaczenia.

Odłożyła słuchawkę. Nie czekała długo. Zostawiła kawę na biurku, wylogowała się z komputera, żeby nikt nie napisał z jej maila, że przyniesie ciasto, i ruszyła w stronę wieszaka, na którym wisiało jej palto. Wyszła nie mówiąc nic koleżankom, choć dobrze wiedziała, że mogło to być przyczynkiem do złośliwych komentarzy czy nawet plotek. Zwłaszcza, jeśli ktoś zobaczyłby ją rozmawiającą z Andrzejem, poza siedzibą firmy. No, ale chciała to mieć jak najszybciej za sobą.

Księgowy czekał na miejscu. Wyklócał się o coś z chłopakiem sprzedającym kanapki z czosnkiem. Aneta nie chciała się w to angażować, ale mimo to postanowiła kupić jedną z tych kanapek, by zrobić Andrzejowi na złość.

– Poproszę jedną z czosnkiem – powiedziała.

– Kanapka z czosnkiem raz. – Chłopak lekko się spłoszył.

Miał kosz kanapek, z którymi chodził rano po firmach, lecz dla niej przygotował specjalnie świeżą. Przekroił chrupiącą ciabattę na pół, posmarował masłem, a następnie obficie posypał drobno posiekanym czosnkiem. Całość posolił dla smaku, zamknął i zawinął w biały papier.

– Proszę bardzo, siedem pięćdziesiąt.

– Dziękuję. – Położyła wyliczone pieniądze na talerzyku i wzięła

kanapkę.

– Serio? – Andrzej nie krył zbulwersowania. – Kupiłaś kanapkę z czosnkiem za siedem pięćdziesiąt? Skąd taka cena? Pieczesz te buły sam i dodajesz do ciasta dwunastoletniej whisky zamiast wody?

Chłopak próbował coś powiedzieć, ale Andrzej objął ją ręką i odciągnął od ciężarówki.

– Słuchaj Anetka, nie chciałem tak przy wszystkich, żebyś nie miała problemu. Podeślę ci później mailem te problematyczne faktury. Opiszesz mi je, żebym wiedział, co i jak. Sądzę, że nie będzie problemów. Chciałbym tylko, żebyś dała mi szansę. Ta pizza jest naprawdę dobra.

– Mówiłam, że mam narzeczonego – odparła.

– Ale mi to nie przeszkadza. – Uśmiechnął się szeroko. – Chodzi mi tylko o małe tęte-ń-tęte, może z jakimś szczęśliwym finałem u mnie. Nikt nie mówi, że chcę się od razu żenić.

– Chyba nie mówisz poważnie? – zatrzymała się nagle. – Uważam, że ta propozycja jest co najmniej nie na miejscu. Będę musiała porozmawiać o tym z Ryszardem.

– Z Rysiem? A o czym ty chcesz porozmawiać z Rysiem? – Andrzej roześmiał się głośno. – Zaraz wyjmę komórkę i zadzwonię do niego. Powiem, że wyprowadzasz kasę z firmy.

– Nie uwierzy ci!

– Posłuchaj mała – złapał ją za ramiona. – Z Rysiem, to my wydźgamy cię na dwa bagnety, i jeszcze to sobie wszystko ślicznie nagramy na video. A jak odmówisz, to tak cię załatwimy, że wylądujesz w pierdłu, kapujesz?

Wyrwała mu się i odbiegła. Łzy same pociekły po policzkach.

Chciała pójść na policję, ale nie wiedziała, jak daleko sięgają macki tych dwóch. Zadawała sobie pytanie, ile w tym wszystkim mogło być prawdy, a ile blefu. W końcu zorientowała się, że księgowy nawet jej nie gonił. Przysiadła więc na ławce i zaczęła jeść bułkę. Czosnek był ostry. Parzył dziąsła, język i gardło. Nim zreflektowała się, co robi, było już za późno.

Podszedł do niej chłopak z food trucka.

– Widziałem pani kłótnię z tym gburem – powiedział.

Aneta lekko się speszyła. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że musieli odstawić niezłą scenę na środku placu pełnego ludzi. Krew w jej żyłach ścięła się, gdy pomyślała, że w tłumie mogli znaleźć się jacyś koledzy lub koleżanki z pracy. Gdyby to się rozeszło... W firmie byłaby skończona społecznie. Zarzucono by jej zdobywanie kariery przez łóżko, choć pewnie na awans i tak nie miała co liczyć.

– To nic takiego – powiedziała w końcu. – Zwyczajna kłótnia.

– Nie wyglądała zwyczajnie – odparł i wyjął papierosa. – Mogę pomóc.

– W jaki sposób?

Zaciekawiła ją ta niespodziewana propozycja, choć wątpiła, by chłopak z food trucka rzeczywiście mógł jej pomóc wybrnąć z takiej sytuacji. Po prostu była ciekawa, co zaproponuje. Obije Andrzejowi głowę w ciemnym zaułku? A może jest hakerem i włamie się na jego komputer?

– Mam swoje sposoby – odparł. – Oczywiście bez zbędnych pytań i wyjaśnień. Widziałem, co to za gatunek.

– I co byś chciał w zamian?

Bawiła ją jego pewność siebie. Wcześniej sprawiał wrażenie zahukanego, szczególnie w obecności Andrzeja. Teraz nagle taka odmiana.

Grał przed nią. Zgrywał twardziela i pewnie też miał w tym swój ukryty, ale dla niej oczywisty cel. Mimo to chciała usłyszeć, co miał do powiedzenia.

– Nic – powiedział po chwili. – Umówmy się, że jeżeli jutro o dziesiątej przyjdiesz i kupisz ode mnie kanapkę, problem z tym człowiekiem rozwiąże się sam. I ani ty, ani ja nie będziemy mieli z tym nic wspólnego, bez względu na to, kto będzie pytał.

– Ach tak?

– Dokładnie tak.

Wstała, zawinęła niezjedzoną połówkę bułki w papier i ruszyła w stronę gmachu swojej firmy.

– W porządku. Jeśli się zdecyduję, jutro o dziesiątej – zawołała jeszcze.

Chłopak pomachał jej i ruszył w stronę swojej ciężarówki.

Andrzeja znaleziono z odciętą głową i wbitym w pierś drewnianym kołkiem. W firmie aż wrzało od plotek. Ktoś mówił, że to mafijne porachunki, i że księgowy robił jakieś lewe interesy na boku. Podobno w jego mieszkaniu znaleziono pokaźną kolekcję amatorskiej pornografii. Na taśmach mieli pojawiać się ludzie pracujący w firmie. Kilka dziewczyn nagle poczuło się gorzej i jeszcze tego samego dnia, niespodziewanie poszły na chorobowe. Atmosfera była naprawdę okropna, szczególnie dla Anety.

Dwa dni wcześniej rzeczywiście poszła do food trucka o umówionej

godzinie i kupiła kanapkę. Zrobiła to z wściekłości, i żeby znów spotkać się z chłopakiem od kanapek. Tego dnia Andrzej nagabywał ją rano w socjalu. Niby nie mówił nic konkretnego, ale kilka razy puścił do niej oczko, a raz pokazał nieprzyzwoity gest, jakby wkładał sobie coś do ust. Chłopak od kanapek nie powiedział nic. Po prostu znów przygotował dla niej bułkę z czosnkiem, identyczną jak dzień wcześniej. Ona niczego nie mówiła, ani niczego nie podpisywała. On także nie odezwał się ani słowem, poza standardowymi zwrotami grzecznościowymi. Nawet nie dał po sobie znać, że na cokolwiek się umawiali.

Mniej więcej koło południa zjawił się Ryszard z grobową miną i zwołał wszystkich w open space.

– Mam dla was bardzo przykrą informację – powiedział. – Nasz kolega Andrzej Zawadzki w dniu wczorajszym został brutalnie zamordowany. Spędziłem dziś kilka godzin na posterunku policji, gdzie zostałem przesłuchany w charakterze świadka. Prawdopodobnie czeka to również niektórych z was, dlatego w imieniu rodziny Andrzeja, kierownictwa firmy oraz policji, proszę was o pełną współpracę. Wszystkim nam zależy na tym, aby jak najdokładniej wyjaśnić sprawę śmierci Andrzeja, szczególnie, że w śledztwie pojawia się także wątek związany z naszą firmą. – W tym miejscu na jego czole pojawiły się krople potu. Zrobił krótką pauzę na kilka łyków ekskluzywnej wody mineralnej. – Z pewnością słyszeliście już o tzw. „Taśmach Zawadzkiego”. Mamy nadzieję, że również i ten wątek zostanie w pełni wyjaśniony. Dla dobra nas wszystkich. Nie wiadomo, czy istniało jakieś powiązanie pomiędzy tymi taśmami, a samym zabójstwem Andrzeja.

Aneta poczuła, jak nogi jej miękną. Usiadła na najbliższym krześle,

a ktoś po chwili przyniósł jej plastikowy kubek z zimną wodą z dystrybutora. Wzięła kilka łyków i odstawiła kubek na czyjeś biurko. Wiedziała, że musi się pozbierać, bo ktoś mógłby pomyśleć, że to właśnie ona figurowała na „Taśmach Zawadzkiego”. Pomyślała także, że ich rozmowa sprzed trzech dni na placu przed siedzibą firmy mogła zostać przez kogoś zauważona. Poczula na plecach zimny pot. Wstała i poszła do toalety, gdzie z biegu wpadła do kabiny i zwymiotowała.

– To ty Marta? – zapytał ktoś w kabinie obok. Prawdopodobnie Magda z księgowości. – Ja pierdolę... Ale zadyma. Widać nas na tych filmach. Na pewno będziemy podejrzane.

Aneta otarła usta papierem toaletowym i wybiegła z łazienki. Wyszła na zewnątrz i ruszyła w stronę food trucka. Z oddali widziała, że chłopak obserwuje ją. Gdy w końcu dotarła do żółtej burty pojazdu, zapytał z przyjacielskim uśmiechem:

– W czym mogę pomóc?

– Ty to zrobiłeś? – zapytała szeptem.

– Co ja zrobiłem?

– Dobrze wiesz.

– Przykro mi, ale chyba nie. – Chłopak uśmiechnął się. – Chyba, że pyta pani o kanapki. Jeśli tak, to rzeczywiście przygotowuję je osobiście.

Opadła na betonowe płyty i zaczęła płakać.

Pokój, w którym prowadzono przesłuchanie nie wyglądał jak na filmach. Nie było dużego lustra. Zamiast niego, na ścianie znajdowało się

zupełnie zwyczajne okno, o które bębnił deszcz. Nad Polskę nadpłynął niż, który zmienił cały śnieg w brudne, paskudne błoto. Wszyscy z firmy chodzili na przesłuchania zakatarzeni. Aneta także była zakatarzona, a dodatkowo miała zachrypnięty głos, co akurat w tej chwili zdawało się jej być okolicznością sprzyjającą. Kłopoty z drogami oddechowymi pomagały jej maskować chwile zawahania i niepewności.

Policjant, z którym rozmawiała, był podstarzały, siwy i miał sporą nadwagę. Cuchnęło od niego wódą i papierosami. Był nieprzyjemny i przez cały czas odnosiła wrażenie, że wie o wszystkim.

– W dniu, w którym Zawadzki został zamordowany, co pani robiła?

– zapytał trochę nieskładnie.

Aneta usiłowała sobie przypomnieć. Niestety stres wyczyścił jej pamięć dokumentnie. Pamiętała tylko to, czego nie chciała powiedzieć, czyli że zleciła zabójstwo Andrzeja.

– To była bodajże środa – zaczęła. – Taki raczej zwyczajny dzień. Nic szczególnego się nie wydarzyło. Byłam w pracy do siedemnastej. Później wróciłam do domu, po drodze zrobiłam jeszcze małe zakupy...

– Gdzie?

– W supermarkecie, niedaleko mojego domu. Mam paragon w portfelu, mogę pokazać. Zbieram wszystkie paragony, bo uczestniczę w loterii paragonowej...

– Czy w tym dniu miała pani kontakty z Zawadzkim?

– Żadnych bliskich kontaktów nie! To znaczy... Pracowaliśmy w jednej firmie, więc widywałam go codziennie, przynajmniej po kilka razy, głównie na holu i w socjalu...

– Co proszę?

– W kuchni.

– Ach tak, proszę kontynuować.

Ktoś zapukał do drzwi. Starszy policjant powiedział, żeby wejść i pojawiła się kobieta z dwiema szklankami herbaty.

– Napije się pani – bardziej stwierdził, niż zapytał. – Dziękuję ci Zosiu.

– Proszę Wiesiu. Jak byś czegoś jeszcze potrzebował...

– Jasne, oczywiście.

Policjant przysunął jedną szklankę do Anety.

– Widywaliście się w kuchni. Czy kiedykolwiek wspominał, że ktoś mu groził? Albo może mówił coś o swoim hobby?

– Hobby? – zapytała Aneta.

– Videofilmowanie.

Dziewczyna przełknęła ślinę. Szybko skosztowała herbaty. Była bardzo mocna, niezbyt smaczna i przeraźliwie słodka. Skrzywiła się.

– Nie, w firmie nikt nie wiedział o videofilmowaniu...

– Oprócz kilku dziewczyn, które brały w tym udział – powiedział policjant.

– No tak, tak – poprawiła się – ale ja nic o tym nie wiedziałam. Mnie na tych nagraniach nie ma. Nigdy nie mówił o tym, żeby ktokolwiek mu groził. W ogóle miałam z nimi niewiele styczności, bo pracowaliśmy w innych działach.

– No dobrze... – Policjant łyknął herbaty i westchnął głośno.

– Rozumiem, że nigdy nie słyszała pani, żeby w firmie ktoś mówił o możliwości... dorobienia sobie w szolbiznesie? Czy o czymś w tym rodzaju?

- Nigdy. Zresztą mnie w ogóle takie sprawy nie interesują
- powiedziała szybko. – Moje zarobki są wystarczające.

Policjant rozkaszał się mocno, po czym wyjął paczkę papierosów.

- Czy będzie miała pani coś przeciwko, żebym sobie zapalił?
- W zasadzie sama nie palę, ale... Skoro tu wolno.
- Wolno.

Mężczyzna zapalił. Papieros śmierdział wyjątkowo. Były to chyba jakieś najtańsze papierosy na rynku. Aneta pomyślała, że to w sumie dość oczywiste, bo gliniarze pewnie nie zarabiali zbyt dużo. A ten wyglądał szczególnie ubogo. Strasznie był zaniedbany. Na kołnierzu koszuli dostrzegła tłustą plamę w miejscu, w którym na pewno nie powinno jej być. Przez chwilę zastanawiała się, jak on to zrobił. Z rozmyślań wyrwały ją kolejne słowa policjanta.

– Jest pani bardzo zdenerwowana, pani Aneto – powiedział. – Proszę się nie denerwować. Nie jest pani przesłuchiwana w charakterze podejrzanego, a jedynie świadka. Chcielibyśmy dowiedzieć się jak najwięcej na temat stosunków panujących w firmie oraz tego, jak funkcjonował Zawadzki. Pozornie nieistotne detale mogłyby dostarczyć nam ciekawych wniosków. Proszę się więc uspokoić. Nic pani nie grozi.

– Dobrze. Postaram się. Sam pan rozumie...

Wzięła łyk obrzydliwej herbaty i szybko pożałowała, gdyż po chwili zaczęła odczuwać mdłości.

– Czy możemy otworzyć okno?

– Ale tylko na chwilę. Zimno jest, a nie możemy za bardzo dogrzewać. – Policjant wstał, otworzył okno i przy okazji wyrzucił niedopałek na parking. – Więc jak było z tym dorabianiem

u Zawadzkiego? Kilka gwiazd pracowało u państwa. Cztery dziewczyny, zdaje się. Pojawiło się też dwóch facetów, ale byli zamaskowani. Jednym z nich mógł być sam Zawadzki, ale tożsamość drugiego jest tajemnicą, która być może jest kluczem do rozwiązania tej zagadki.

– Niestety, obawiam się, że nie będę potrafiła pomóc – powiedziała.

– Nie grałam w tych filmach, nie miałam pojęcia o ich istnieniu i nikt nigdy nie proponował mi niczego takiego.

– Rozumiem... To chyba wszystko, co chciałem wiedzieć

– powiedział policjant, zamknął okno i ruszył w stronę wyjścia. – Jest pani wolna. Gdybyśmy mieli jeszcze jakieś pytania, liczę, że znajdzie pani dla nas jeszcze chwilę.

– Oczywiście – odparła i wstała od stołu.

Komisariat opuszczała z uczuciem ulgi. W trakcie przesłuchania ani razu nie pojawił się wątek chłopaka z kanapkami. Uznała zatem, że nikt – ani pracownicy firmy, ani policjanci – nie mógł powiązać jej ze śmiercią Andrzeja.

Chociaż był jeszcze Ryszard, prawdopodobnie drugi zamaskowany aktor męski. I nie było sposobu, by przekonać się, jak wiele wiedział. Aneta liczyła po cichu, że kierownik wystraszy się i zamknie gębę na kłódkę. W końcu, nawet jeśli nie miał nic wspólnego ze śmiercią Andrzeja, odpowiadał za cały interes z videofilmowaniem. Milczenie było w jego interesie.

IV.

Prokurator Karol Płotka zjadł obiad w swojej ulubionej restauracji, następnie udał się do fryzjera, gdzie doprowadzono do porządku jego włosy i wąsy, oraz do pralni, skąd odebrał ulubiony garnitur. Wstąpił na chwilę do domu, by ów garnitur założyć i zabrać przy okazji puzderko zawierające pierścionek z białego złota z ćwierć-karatowym diamentem. Wykosztowałby się na niego koszmarnie, gdyby rzeczywiście kupił go w sklepie. Szczęśliwie pierścionek taki znalazł w depozycie policyjnym, i jakimś cudem błyskotka „zaginęła” ze stanu magazynu.

Odstawiony niczym amant, zszedł jeszcze do sklepiku osiedlowego, gdzie kupił butelkę Château du Prieur, a następnie wsiadł do taksówki, która czekała na niego od piętnastu minut.

– Dokąd sobie pan życzy? – zapytał taksówkarz z ukraińskim akcentem.

Płotka podał adres, po czym zagłębił się w rozmyślaniach na rozmaite tematy związane z życiem i śmiercią. Na miejsce dojechali w czasie krótszym, niż trzydzieści minut. Płotka uiścił opłatę, pożegnał się z taksówkarzem i ruszył w kierunku bramy dziesięciopiętrowca, którą otworzył sobie, wpisując kod do domofonu.

W windzie czuł już rosnącą ekscytację. Uśmiechnął się na widok koślawo wydrapanego akronimu A.C.A.B., pod którym zresztą sam chętnie by się podpisał. Na siódmym piętrze wyszedł z windy i zapukał do oklejonych na szaro antywłamaniowych drzwi. Zapukał w sposób, który dla niewprawnego ucha brzmiał dosyć normalnie. Jednak dla niego i dla osoby znajdującej się za drzwiami, był to szyfr tak wyrafinowany, że

znaczącą rolę odgrywały w nim nawet dziesiąte części sekundy.

Drzwi otwarły się, a we wnętrzu mieszkania ukazała się kobieta, na oko pięćdziesięcioletnia, mocno umalowana i ubrana w jedwabny, lekko przejrzysty, różowy szlafrok.

– Wejdz – powiedziała niskim, zachrypniętym głosem.

Prokurator Karol Płotka wytarł swoje błyszczące buty w całkowicie normalną, niepozorną wycieraczkę i wkroczył do miejsca, w którym granica pomiędzy rozkoszą a cierpieniem była delikatna niczym ruch skrzydeł motyla.

– Frau Rita. – Ucałował jej dłoń i wręczył butelkę wina.

Kobieta ruszyła w stronę salonu, kołysząc harmonijnie biodrami. Płotka otaksował jej ciało, zaczynając od ramion, poprzez plecy, biodra, pośladki, aż do nóg i stóp uzbrojonych w buty na pięciocalowych szpilkach.

Prokurator poczuł, że w jego spodniach robi się ciasno.

– Chodź, choć – ponagliła go. – Siadaj.

Płotka włożył parasol w stojak na parasole i zdjął buty. Płaszcz i kapelusz odwiesił na wieszaku. Poprawił przed lustrem fryzurę i krawat, i ruszył w stronę salonu, gdzie na małym stoliczku stały już dwa duże kieliszki do czerwonego wina. Rita postawiła butelkę na stoliku i zniknęła na chwilę w kuchni. Gdy wróciła, wręczyła Płotce korkociąg.

– Otwórz.

Prokurator Karol Płotka posłusznie otworzył wino i nalał z dużą wprawą do obu kieliszków. Następnie otarł szyjkę butelki czarnym, frotowym ręczniczkiem i odstawił wszystko na stół. Rita sięgnęła po kieliszek, zamieszała wino, pociągnęła nosem, a następnie upiła mały

łycek, pozostawiając ślad szminki na szkle.

– Nie takie złe.

– Staralem się – odparł.

– Następnym razem postaraj się bardziej.

– Tak jest.

Płotka skosztował wina. Jak dla niego, było wyśmienite, czego jednak nie śmiał powiedzieć Frau Ricie. Wyjął z kieszeni marynarki puzderko, otworzył i postawił na stole.

– Co to ma być? – spytała.

– Pierścionek. Złoty. Z brylantem.

Rita wzięła puzderko do ręki i chwilę przyglądała mu się, obracając i pozwalając, by światło grało na fasetkach kamienia. Brylant wyglądał na prawdziwy.

– Najwyżej ćwierć karata – mruknęła. – Zimna biel, niewielkie inkluzje. Beznadziejny.

Płotka poczuł falę rozkoszy, która przebiegła mu wzdłuż kręgosłupa.

– Na podłogę! – warknęła.

Prokurator posłusznie położył się na plecach.

– Mówiłeś, że masz do mnie jakieś pytanie.

– Tak.

– Co „tak”?

– Tak proszę pani! – poprawił się Płotka.

– O co chodzi?

– Dwa trupy w ciągu dwóch tygodni. Oba noszące ślady... jakby... wgryzienia wampira. W ciałach brak krwi.

Frau Rita wstała i zaczęła przechadzać się powoli wokół leżącego

mężczyzny.

– Zabójstwa popełnione w nocy.

– Tak, zgadza się!

– Oczywiście, że się zgadza. Tylko taki marny robak jak ty, mógłby pomyśleć, że to było pytanie.

Kobieta nachyliła się i jednym, płynnym ruchem zdjęła czarne, koronkowe majtki. Pomiędzy połamami szlafroka błysnęły podwiązki, co nie umknęło uwadze Karola Płotki. Po chwili majtki wylądowały na jego twarzy. Pociągnął nosem w poszukiwaniu choćby śladu kobiecego zapachu, jednak nie odnalazł go tam. Była nieskazitelnie sterylna.

– Pewnie nie macie żadnego podejrzanego, co?

– Nie proszę pani.

– I nie przyszła wam do głowy rzecz najbardziej oczywista z oczywistych?

– To znaczy? – Mniej więcej do tego momentu Płotka przewidział przebieg rozmowy. Ostatnie pytanie zbiło go z tropu.

Rita kucnęła nad nim, ukazując w rozchylonym szlafroku zbyt wiele. Złapała za krawat i zaczęła zaciskać go powoli. Płotka poczuł, że jego twarz robi się purpurowa. Coraz ciężiej było mu złapać oddech.

– Dziewczyny ulicy wiedzą wszystko. Moje doniosły mi, że prosekatorium przy waszej komendzie, odwiedzał niejaki Lutz Frankenhaimer – powiedziała powoli. – Niby doktor, a w sumie szarlatan i hochsztapler. W dodatku nazista.

– Ttaakk... – wychrypiał prokurator.

– Pozwoliliście mu uśmiercić ukąszonych, tak?

Płotka pokiwał głową. Nie miał już powietrza, by mówić. Zaczął

klepać podłogę, co było umówionym znakiem ratunkowym. Frau Rita poluźniła krawat i podniosła się, zarzucając szlafrokiem tak, by ujrzeć kształtne kule pośladków. Prokurator był bliski ekstazy.

– Powiedz mi w takim razie jedną rzecz. – Usiadła na kanapie i znów wzięła kieliszek z winem. – Dlaczego nie zapytaliście jego, kto zabił tych ludzi?

Płotka spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– No co się tak gapisz? Czy ten twój bystrzak, inspektor bez wątroby wpadł na to, by zadać Frankenheimerowi jedno, proste pytanie: który z wrocławskich wampirów zagryzł te ofiary? Przecież stary nazista zna się z nimi wszystkimi. Piją razem każdego wieczora. Jeśli nawet za pierwszym razem nie wiedział, za drugim już powinien doskonale wiedzieć.

– Jebany... – mruknął Płotka.

– Jesteście bystrzy jak woda w kiblu. – Chlusnęła na niego winem.
– I dywan do wywalenia. Zdejmuj gacie platfusie!

Płotka posłusznie wykonał polecenie, opuszczając spodnie do kolan. Frau Rita rozchyliła butem jego nogi, a następnie zaczęła miażdżyć jego przyrodzenie obcasem.

– Odkupisz mi ten dywan parszywy kundlu!

Prokurator jęczał z bólu i rozkoszy.

– Wszystko przez twoją ignorancję! Macie odpowiedź pod samym nosem, a bawicie się w wielkie śledztwo. Dwa patałachy! Degeneraci! Skurwysyny!

Splunęła na niego i poszła w stronę łazienki.

– Przepraszam – jęknął Płotka masując obolałe krocze. – Wybacz mi!

– Muszę cię jakoś ukarać, ale jeszcze nie wiem jak – krzyknęła

z przedpokoju. – Zajrzę do mojej magicznej szafy. Tam na pewno znajdę natchnienie.

Wróciła po chwili z dużym, metalowym lejkiem do oleju. Prokurator poczuł ekstatyczne dreszcze, kiedy nachyliła się nad nim i prowadziła mu wąż do przełyku. Chwyciła butelkę, w której w dalszym ciągu znajdowała się ponad połowa zawartości i zaczęła łać.

– Przepytajcie tego Frankenheimera. Tylko ani słowa o tym, skąd się dowiedzieliście, bo znajdę i wykastрую.

Płotka zadrżał, a jego wciąż obolała męskość, podniosła się ku górze. Nie musiał przełykać. Wszystko leciało bezpośrednio do przełyku, a potem żołądka. Pomyślał tylko, że z pewnością bardzo szybko się upije.

Wino nie było ostatnim płynem, jaki Rita wlała w niego przez lejek. Potem zrobiło się nieco bardziej osobliwie. Po dwóch godzinach obrzucania wyzwiskami, bicia, opluwania, kobieta kazała mu się wynosić. Płotka błagał, by pozwoliła mu zostać. Obiecował, że zrobi wszystko, co ona mu rozkaże, jednak w dalszym ciągu gniewała się na niego i uznała, że najlepszą karą będzie wyrzucenie go za drzwi.

Pijany, poplamiony winem i innymi płynami, zjechał windą na dół i zadzwonił po taksówkę. Przez czterdzieści pięć minut stał na mrozie, aż w końcu pojawił się ten sam ukraiński kierowca, który go tu przywiózł.

– Do domu? – zapytał.

Prokurator spojrzał na swój zegarek. Była godzina szesnasta i istniała spora szansa, że zastanie Kulickiego w jego biurze.

– Chwileczkę.

Dla pewności postanowił zatelefonować. Ale nie na komórkę, bo ostatnimi czasy abonent coraz częściej był niedostępny. Zadzwoił na numer stacjonarny, przypisany bezpośrednio do aparatu znajdującego się na biurku inspektora. Po dwóch sygnałach usłyszał zachrypnięty, niewyraźny głos. Jakby osoby umierającej.

– Kulicki.

– Tu Płotka. Wiesiu, musimy się spotkać.

– O co chodzi?

Prokurator spojrzał na kierowcę.

– To nie jest rozmowa na telefon. Spotkajmy się za pół godziny w tym barze, w którym wyprawiałeś ostatnie urodziny.

– W porządku.

Karol Płotka rozłączył się, podał kierowcy adres, po czym zasnął z błogim uśmiechem człowieka, który osiągnął całkowite spełnienie.

V.

Mogliński spędził kilka dni w swoim mieszkaniu, w iście spartańskich warunkach. Miał odcięty prąd, laptopa zasilął przez przewód nielegalnie wpięty w instalację sąsiada. Nie mógł także podłączyć grzejników olejowych, więc przez większość czasu siedział opatulony kocami. Jedynym pozytywnym akcentem było to, że mama regularnie doładowywała jego kartę, by mógł do niej dzwonić. Internet był wolny, ale dało się korzystać. Dzięki tym wszystkim zabiegom mieszkanie nadal wyglądało na opuszczone i nikt go nie niepokoił. A przed PRISM i tak nie

potrafił się zabezpieczyć.

Czas spędzony w mieszkaniu starał się wykorzystać najlepiej, jak potrafił. Przejrzał komentarze na swoich blogach oraz najnowsze posty na tych obserwowanych. Napisał krótki tekst o GMO, który od razu puścił w sieć, a potem długo analizował film od Thorina.

Zidentyfikował miejsce kręcenia jako Mosty Trzebnickie. Trochę pogrzebał w Google w poszukiwaniu informacji o podobnych obserwacjach. Nic nie znalazł, więc zrobił zrzut kadru, na którym widać tajemniczą postać i wrzucił go na kilka forów ufologicznych, na których się udzielał. Przez dwa dni nie działo się nic. W końcu na forum „Znaki z kosmosu” odezwał się znany troll o pseudonimie MrNobody i zarzucił, że kadr to mistyfikacja, a Mogliński to oszust, który usiłuje wzbudzić zainteresowanie swoją osobą poprzez „lamerskie sztuczki”.

– Nie wierzę – mruknął Artur i łyknął gorącej herbaty.

Jego sytuacja stawała się coraz bardziej rozpaczliwa. Zjadł już wszystkie zapasy mrożone i kończył właśnie rzeczy sypkie. Z obydwoma typami żywności było mu cholernie trudno bez ognia. Wszystko przyrządzał z pomocą z grzałki, którą podłączał do przedłużacza w chwilach, gdy nie korzystał z laptopa. Musiał używać tych urządzeń zamiennie, ponieważ bateria w komputerze była martwa od jakichś dwóch lat, a przedłużacz miał tylko jedno gniazdko.

Wyłączył hotspot w telefonie i spojrzał w błękitne niebo ustawione na tapecie. To chyba był już ten moment, kiedy musiał zadzwonić do domu i poprosić, aby tato przyjechał i zabrał go do Kłodzka. Poczuł w ustach smak porażki i już miał wybrać numer, gdy nagle przypomniał mu się Neo.

Neo był kompletnym nerdem, udzielającym się na kilku grupach

dyskusyjnych oraz żywo komentującym blogi Moglińskiego. Mieszkał we Wrocławiu i był specem od białego wywiadu. Wiele osób dostarczało mu zdjęcia, by na podstawie charakterystycznych elementów przyrody i architektury dokonał ich geolokalizacji.

Artur podłączył jeszcze raz internet i przesłał kilka screenów z filmu Thorina do Neo, bezpośrednio na maila. Nie musiał czekać dłużej, niż piętnaście minut, gdy otrzymał na czacie wiadomość: „zadzwoń”.

Szybko odnalazł Neo w swoim telefonie. Wpisany był jako „hydraulik”, na wypadek, gdyby ktoś przejął telefon Moglińskiego. Wcisnął połączyć, a po zaledwie jednym sygnale usłyszał znajomy, chłopięcy głos (Neo miał piętnaście lat).

– Skąd to masz?

– To nie ważne. Ważne jest to, co tam widzisz. – Artur starał się, by jego głos brzmiał naturalnie i luzacko, pomimo piekielnego zimna, panującego w pokoju i drgawek wstrząsających całym jego ciałem.

– Mosty Trzebnickie i jakąś dziwną postać – odparł Neo. – Masz cały film?

– Mam.

– Kiedy mogę do ciebie wpaść?

– To może być trochę skomplikowane. Sąsiedzi mnie zalali i w mieszkaniu trwa remont. Kręci się tu mnóstwo postronnych osób – skłamał zrecznie. – Sam nawet nie mogłem dokładnie przyjrzeć się temu nagraniu. Wolałbym, żeby nikt niepowołany...

– Przyjeżdżaj do mnie natychmiast! – Neo wydawał się być bardzo podekscytowany. – Jeżeli to humanoidalna istota w okolicach Mostów Trzebnickich, to znaczy, że musimy przebadać tę sprawę z należytą

dokładnością.

Mogliński policzył w myślach do dziesięciu, a potem starając się, by jego głos nie wypadł przesadnie radośnie powiedział:

– W porządku. Mam mnóstwo roboty, ale masz rację. Ten wątek wart jest, by poświęcić mu więcej uwagi i czasu. Będę u ciebie w ciągu godziny.

Szczęśliwie Neo chodził jeszcze do szkoły, co oznaczało, że tak naprawdę nie musiał tam chodzić. Jako bystrzak, radził sobie ze wszystkim świetnie, przygotowywał pierwszorzędne zwolnienia, a rodzice się nie czepiali, bo w ogóle byli dziwni i trzymali się od niego z daleka.

Mogliński spryskał się tylko zimną wodą pod pachami, żeby nie pachnieć zbyt męsko, odświeżył się dezodorantem i przebrał w nowe ciuchy, a właściwie w stare, które przez kilka tygodni wietrzył w kuchni. Podszedł do małego lusterka na szafce i przykleił sobie sztuczne wąsy. Nałożył też okulary zerówki, a głowę przykrył tym razem popielatym kaszkietem. Tak ucharakteryzowany opuścił swoje lokum i wyszedł na ulicę.

Neo naprawdę nazywał się Damian i cierpiał na zespół Aspergera. To znaczy twierdził, że cierpiał, bo żadnych papierów na to nie miał. Ale Mogliński wierzył mu. Dzieciak był wystarczająco pokręcony, żeby rzeczywiście na coś cierpieć. Wręcz byłoby dziwne, gdyby nie cierpiał.

– Szybko, do środka – powiedział Neo, gdy tylko otworzył drzwi.
– Nie chcę, żeby sąsiedzi cię widzieli.

– Są twoi starzy?

– Nie ma. Wyjechali na kilka dni.

Wydało się to dziwne Moglińskiemu, ale nie chciał roztrząsać tematu. Nie było starych, to nie było. I nawet dobrze. Mogłoby to zrodzić serię niepotrzebnych i niezręcznych pytań, na które Artur nie miałby zapewne ochoty odpowiadać.

– Masz może jakieś żarcie? – zapytał. – Zaganiany jestem. Nie miałem okazji nic wrzucić na ruszt.

– Jasne, chodźmy do kuchni. Przeniosę tam lapka, to od razu zabierzemy się za film.

– Proszę – Mogliński podał Damianowi pendrive. – Tylko nie zgub. To może być jedyna kopia, poza tą na moim dysku.

– Powiesz mi, skąd go wzięłeś? – Neo zapalił taśmy led zawieszone pod szafkami kuchennymi. Powstał miły półmrok, który czynił obserwację z zewnątrz poprzez okno niemal niemożliwą.

– Kupiłem od anonimowego informatora. Za ciężkie pieniądze zresztą.

Wyraźnie zrobiło to wrażenie na chłopaku. Z namaszczeniem umieścił pendrive w porcie USB swojego laptopa (z działającą baterią) i po odczekaniu kilku sekund, otworzył katalog.

– Oni już tu są – przeczytał nazwę pliku. – Zrób sobie coś do żarcia, ja to obejrzę na spokojnie.

– W porządku.

Blogger musiał powstrzymać się przed gwałtownym szturmem na lodówkę. Wziął dwie kromki chleba tostowego i posmarował je masłem orzechowym. To było najszybsze danie, jakie potrafił przygotować. Skleił

od razu dwie połówki, żeby szybciej wchłonąć całość.

W tym czasie Neo odpalił filmik, dla odmiany z dźwiękiem, bo w przeciwieństwie do laptopa Moglińskiego, w tym głośniki działały.

– Co to jest? – zdziwił się Artur.

– Co?

– Ten fagas gada po rusku!

– Nie po rusku, a po ukraińsku – poprawił go Neo. – A miało być inaczej?

– Nie no... Zdziwiłem się, bo pierwszy raz widzę to z dźwiękiem.

Mogliński przeklął w duchu Thorina. Filmik nie był nakręcony przez informatyka, a przez kogoś innego. A to oznaczało, że ilość osób, które były w posiadaniu nagrania, była nieznana. Może nawet pieprzony rusek wrzucił je na YouTube, a Thorin tylko pobrał i zawołał sobie za to pięć stówek.

– Cholerny dupek – mruknął.

– Co?

– Nic, nic... Głośno myślę.

– Nie wygląda mi to na fejk – powiedział Damian, po czym zaczął cofać i stopować film. – Na pewno postać nie została wyrenderowana. Ruch jest bardzo naturalny. Większość mistyfikatorów, którzy wplatają elementy animacji trójwymiarowej, zwykle robi to bardzo kiepsko. Dla człowieka, który od dzieciństwa ogląda grafikę komputerową, jest to do rozróżnienia na pierwszy rzut oka.

– A przebranie? – spytał Artur z pełnymi ustami. – Może ktoś się przebrał?

– Tego faktycznie nie jesteśmy w stanie wykluczyć. Gdyby ktoś się

przebrał, rzeczywiście można by było nakręcić taki film. Tylko zauważ, że on ma ten taki staw w miejscu, gdzie inni ludzie mają piszczel...

– Jak u konia...

– Tak, masz rację. To staw skokowy. – Neo otworzył przeglądarkę i wyszukał kilka zdjęć szkieletów ludzkich i końskich. – Jego nogi rzeczywiście przypominają nogi zwierząt poruszających się na czterech kończynach. Być może to coś również porusza się głównie na czterech kończynach, a tutaj zostało przypadkiem utrwalone w postaci stojącej... Surykatki tak robią, kiedy badają teren.

W oknie przeglądarki pojawiło się zdjęcie surykatki. Artur podszedł do blatu i zaczął przygotowywać sobie drugą kanapkę.

– No dobra. Jakież teorie?

– Kilka – odparł Neo. – Ale każda jest na swój sposób słaba i mało prawdopodobna.

– Kosmita? Mutant?

– Ewentualnie jakaś kryptyda. Może coś, co mieszka w tunelach pod miastem i teraz w jakiś sposób wylazło na zewnątrz? W każdym razie wątpię, by był to przebrany człowiek. Zbyt duże różnice anatomiczne. Cholera jasna... dobrze by było pójść na miejsce i dokonać oględzin.

– W taką pogodę? – Mogliński wystraszył się nie na żarty. Pierwszy raz od tygodnia nie marzł. – Robi się ciemno. Może poczekamy chociaż do jutra?

– Ej Palacz, chyba nie wymiękasz? – roześmiał się Neo i szturchnął blogera w ramię. – Myślałem, że jesteś twardszy zawodnik. Mam dobre, mocne latarki.

– Dobra. – Artur odpuścił. – To wydrukuj tylko zrzut z kryptydą. Na

wypadek, gdybyśmy spotkali jakiegoś wędkarza...

Latarki rzeczywiście były mocne. Neo i Mogliński wysiedli z tramwaju na Trzebnickiej i resztę drogi pokonali piechotą. Temperatura na szczęście była bliska zeru, więc nie marzli zanadto. Zrobiło się już całkowicie ciemno, i o ile ulice oświetlone były latarniami, o tyle wał i nabrzeże tkwiły w całkowitej ciemności. Zapalili latarki i zeszli z ulicy.

– To chyba było gdzieś tutaj – powiedział Neo. – W ciemności rzeczywiście śladów może nie znajdziemy, ale przynajmniej wstępnie się rozejrzemy.

– Sądzisz, że znajdziemy rozbity statek kosmiczny? – Artur parsknął pogardliwie. Był trochę zły na Damiana, że nie poczekali do rana. – Mogliśmy wziąć przynajmniej jakąś pałkę czy coś...

– Mam paralizator.

– Zapytajmy tamtego faceta – Mogliński wskazał człowieka siedzącego nad wodą. Pewnie nie był zbyt trzeźwy, ale zawsze można było spróbować zasięgnąć języka. – Proszę pana!

Mężczyzna odwrócił się i obrzucił ich pijackim spojrzeniem. Artur podszedł do niego ze zdjęciem, które oświetlił latarką.

– Widział pan może coś takiego? To zdjęcie zrobiono tutaj, na tym nabrzeżu.

Mężczyzna przez chwilę wpatrywał się w zdjęcie, po czym pokręcił głową.

– Kręcą się tu różni tacy, ale tego nie widziałem – wybełkotał.

- Zapytajcie jego. – Pijaczek wskazał innego, zataczającego się tubylca.
- On zna tu wszystkich.

Mogliński i Neo podeszli do drugiego, pijanego mężczyzny. Pomimo akrobatycznego chodu, wyglądał na nieco bardziej przytomnego, niż ten siedzący.

- Czy widział pan to już może? – Artur pokazał zdjęcie.

Mężczyzna wpatrywał się przez dłuższą chwilę, robiąc dziwaczne miny, wydymając usta i emitując różne odgłosy, w końcu odezwał się.

- Wygląda mi na Waldka Królika. – Podrapał się po czole. – Szkoda, że nie przyszliście pół godziny wcześniej. Był tutaj.

Neo i Artur popatrzyli po sobie.

- On był tutaj? – upewni się blogger.

- Tak, ale musiał już lecieć. Zrobiliśmy tylko flaszkę.

- Niech pan się dobrze przyjrzy – Neo oświetlił kartkę. – Widział pan dokładnie tę samą osobę, która jest na tym zdjęciu?

- No przecież mówię... Ciężko go pomylić z kimś innym. Sami widzicie, że jest nietwarzowy.

- Czy on cierpi na jakieś schorzenia? Deformacje? – zapytał Mogliński.

- Przepraszam panowie, ale ja też już muszę lecieć. – Żulik przedarł się przez nich i ruszył w stronę mostu.

- Gdzie go znajdziemy? – rzucił jeszcze Neo.

Mężczyzna nie odpowiedział. Przyspieszył tylko, jak to mają w zwyczaju ludzie pijani, kiedy starają się iść normalnie, i lada moment zniknął im z oczu. Chcieli jeszcze zamienić słowo z tym pierwszym, ale okazało się, że i on sobie poszedł.

– Co tu jest do cholery grane? – Artur spojrzał jeszcze raz na zdjęcie.
– Przecież to nie może być człowiek. Humanoid owszem. Kryptyda? Może. Ale na pewno nie homo sapiens.

– Spokojnie – powiedział Damian. – Ten pijaczek nie był zbyt wiarygodnym źródłem informacji. Proponuję, abyś pokręcił się tutaj o różnych porach, w różne dni tygodnia i popytał jeszcze innych ludzi. Ja w tym czasie posiedzę na necie i zrobię listę chorób, które powodują deformacje i zmiany w wyglądzie. Być może ktoś już opisał podobny przypadek. Sam nie wiem, czy to dobry trop, ale póki co, nie mamy lepszego.

Blogger skrzywił się. Nie uśmiechało mu się odmrażanie tyłka na dworze w czasie, gdy jego – powiedzmy sobie szczerze – adept, będzie siedział sobie wygodnie w domowym ciepélku i surfował po sieci. W normalnych okolicznościach zaproponowałby, aby się zamienili i zapewne nie zaakceptowałby odmowy. Problemem był fakt, że w jego mieszkaniu nie było prądu, ogrzewania i internetu.

– Dobra – powiedział w końcu. – Mam jeszcze tylko jedną prośbę. Czy mógłbyś mi pożyczyć trochę kasy? Jakies drobne. Gdzieś zapodziałem portfel, a chętnie napiłbym się herbaty czy coś.

– Jasne, nie ma problemu – odparł Neo i wyciągnął swój portfel.
– Dwie stówy ci starczą?

Moglińskiemu oczy mało nie wypadły z orbit. Ale zdołał się pohamować. Wziął tylko pieniądze i schował do kieszeni.

– Spoko. Jutro ci oddam.

– Nie ma problemu. Może być nawet pojutrze. – Neo podał mu rękę i odszedł. – Narka. Jak byś coś odkrył, dzwoń.

– Jasna sprawa.

VI.

Kulicki nigdy nie był u Frankenheimera. Nie znał nawet jego adresu. Musiał więc zlecić któremuś z młodych wilczków zdobycie tej informacji, co kosztowało go pięć dych i sporo nerwów. Teraz jednak stał przed antywłamaniowymi drzwiami, dysząc po wspinaczce na piąte piętro. Jakiś bałwan zablokował windę na samej górze. Czubek wpadł chyba na pomysł, aby wsadzić do windy tapczan. Kulicki rozważał przez chwile, czy nie wejść tam i nie spuścić entuzjaście przeprowadzek solidnego lania. Ostatecznie jednak zadyszka, którą miał już teraz, była dla niego wystarczająco zniechęcająca.

Zapukał do drzwi i czekał.

– Kto tam? – usłyszał po chwili.

– Kulicki. Otwórz Lutz.

Przez chwilę panowała cisza, jakby ten w środku zastanawiał się, co zrobić. W końcu chyba jednak doszedł do wniosku, że nie może zrobić nic, bo odkręcił zamek i otworzył drzwi.

– Wchodź, tylko szybko. Jeszcze sąsiedzi zobaczą, że z psem trzymam.

Inspektor wtoczył się zwalście do mieszkania i zaraz drzwi zamknęły się za jego plecami.

– Co się dzieje? Skąd ma pan mój adres? – Frankheimer był wyraźnie zaniepokojony.

– Mniejsza o to, skąd mam adres. Daj mi jakąś szklankę wody, albo

lepiej piwo.

– Mam tylko weissbier.

– Trudno. Może być.

Kulicki bez większych ceregieli wpakował się do salonu w butach i usiadł ciężko na starej kanapie, wywołując serię niepokojących dźwięków. Rozejrzał się ciekawie po pokoju, który urządzony był na modłę mieszkania jego dziadków. Na ścianie pełno obrazów, na środku pokoju duży, drewniany stół i komplet krzeseł, przeszklony kredens z miliardem pierdółek z porcelany, portret führera...

– Zaraz... – Już miał wstać, ale doktor podszedł do obrazka i położył go na szafce. – Czy to...

– Proszę pokazać nakaz! – Niemiec zatrzymał go.

– To nie jest film Frankenheimer. Przyszedłem do ciebie pogadać jak kumpel z kumplem.

– Odkąd to jesteśmy kumplami? – Niemiec przysiadł przy stole.

– Owszem, współpracujemy, od czasu do czasu urzniemy wspólnie łeb jakiemuś niespokojnemu nieboszczykowi, ale bruderszaftu raczej nie piliśmy...

– A propos, masz to piwo?

Lutz wstał i poszedł do kuchni. Po chwili pojawił się z dwoma butelkami schłodzonego pszenicznika.

– Proszę.

– Przy okazji... mam dla ciebie brakującą kasę. – Kulicki przechylił się, aby wydobyć portfel z kieszeni spodni, jednak doktor powstrzymał go gestem ręki.

– Daj spokój. Nie będę ci wypominał każdej stówki, którą mi wisisz.

– Naprawdę mam pieniądze. Mogę ci oddać jak chcesz. – Inspektor zasapał się jeszcze bardziej i łyknął sobie piwa. – Dobrze. Zimne.

– Skoro już usadowiłeś się wygodnie, może w końcu raczysz mi wyjaśnić, co cię tutaj sprowadza? – Frankenheimer wrócił do swojej standardowej, srogiej miny.

Kulicki opróżnił butelkę i odłożył ją na podłogę, obok swojego buta. Miał ochotę na jeszcze coś mocniejszego, ale nie chciał nadużywać gościnności swojego gospodarza, więc sięgnął po piersióweczkę.

– Pamiętasz tę dwójkę zagryzioną przez wampira?

– Alina Nowak, lat pięćdziesiąt dwa i Andrzej Zawadzki, lat trzydzieści osiem.

– Zgadza się. – Kulicki był pod wrażeniem niezawodnej pamięci doktora, który przecież miał już swoje lata. – Pomogłeś mi ich unieszkodliwić i za to dzięki ci dobry człowieku. Ale dlaczego na Boga, nie powiedziałeś mi, kto ich tak załatwił?

– Ja?

– Wiem z pewnego źródła, że trzymasz się z wrocławskimi wampirami. Spotykacie się razem i gracie w brydża. Ich jest akurat trzech. Ty jesteś czwartym do kompletu i – co ciekawe – podajesz się za łowcę wampirów, upiorów, demonów, wilkołaków i innego tałatajstwa. Powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi? I najważniejsze – kto jest za to odpowiedzialny?

Po tak długiej przemowie inspektor musiał się napić, a w piersiówce nie było już nic.

– I podaj mi proszę jeszcze szklankę wody, albo lepiej drugie piwo.

Doktor wstał i wyszedł do kuchni. Kulicki sięgnął do kieszeni

płaszcz, by sprawdzić, czy pistolet jest na swoim miejscu. Oczywiście był, jak zawsze. Było raczej mało prawdopodobne, że Frankenhimer spróbuje uciekać. Był stary i schorowany, więc ucieczka i pościg wyglądałyby żałośnie i odarłyby obu mężczyzn z resztek godności, jednak inspektor chciał być gotowy na wszystko.

Na szczęście okazało się to zbędne. Niemiec wrócił z nową butelką piwa.

– No tak... – westchnął. – W dzisiejszych czasach trudno liczyć na jakąkolwiek dyskrecję. – Skąd o tym wszystkim wiesz?

– Po tylu latach współpracy mógłbyś sobie zapamiętać, że ja wiem o wszystkim, co dzieje się w tym mieście – odparł Kulicki i pociągnął piwa. – Oprócz tego, kto załatwił Nowakową i Zawadzkiego. Ale liczę, że za chwilę dowiem się tego od ciebie.

Frankenhimer opadł na krzesło, które zaskrzeczało żałośnie.

– No dobra. To nie jest tak, że ja i oni jesteśmy paczką przyjaciół. Owszem, wpadam do nich na brydża i mamy taki niepisany pakt, że nie polujemy na siebie nawzajem. Inaczej już dawno byłoby po ptakach. Te spotkania mają również charakter statusowo-kontrolny. Oni mówią mi, co u nich, ja mówię im, co słyszeć na mieście.

– No i?

– Jeżeli którykolwiek z nich zagryzł Nowakową i Zawadzkiego, to zataił to przede mną. Temat tych dwóch ofiar pojawił się na ostatnim spotkaniu, ale przelotnie i bez większych szczegółów. Raczej jako anegdota.

– Rozumiem.

Kulicki wyjął papierosa i zapalił, wypuszczając przy tym kłęb

śmierdzącego dymu. Doktor patrzył na to z nieskrywanym oburzeniem, ale nic nie powiedział. Ostatecznie jego położenie nie było najlepsze.

– Nie wiem nic więcej – dodał po chwili.

Inspektor wstał, odłożył pustą butelkę na stół i zbliżył się do okna. Na dworze zapadał już zmrok.

– Czy mógłbyś mnie umówić z tymi trzema jegomościami? Skoro nie powiedzieli nic tobie, może mi powiedzą?

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – odparł doktor z przełknięciem.

– Ich tożsamość i miejsce zamieszkania oraz wszystko, co ci do tej pory powiedziałem, chronione jest naszą dżentelmeńską umową. Jeśli dowiedzą się, że ci powiedziałem, nabiją mnie na pal.

Kulicki obojętnie wzruszył ramionami.

– Jeśli mi nie powiesz, pewnego dnia o świcie odwiedzi cię oddział antyterrorystyczny i trafisz do miejsca, w którym niezbyt ci się spodoba.

– Uśmiechnął się nieprzyjemnie. – A jak jeszcze koledzy spod celi dowiedzą się, że jesteś prawdziwym hitlerowcem, takim, co to w trzydziestym dziewiątym najechał na Polskę, to zrobią ci taki anschluss, że w zasadzie będzie ci wszystko jedno, czy nabijają cię na pal czy na grubą pykę Zdzicha.

Niemiec przełknął głośno ślinę.

Kolejne schody, kolejne drzwi i kolejny palant, który wyprowadzał się z bramy akurat wtedy, gdy Kulicki musiał dotrzeć siódme piętro. Dysząc ciężko, przeklinał w myślach wszystkich ludzi, którzy

kiedykolwiek zmienili miejsce zamieszkania. Szczytem absurdu było myśleć, że jeśli zmieni się rozkład pomieszczeń w domu, albo metraż, widok z okna czy sąsiedztwo, to zmieni się od razu całe życie i człowiek nagle stanie się szczęśliwy.

Kulicki wyznawał zasadę, że szczęśliwym można być tylko po śmierci. A ponieważ jego światopogląd ukształtował się w trakcie lat służby w MO, nie był szczególnie wierzącym człowiekiem. Swoją własną szczęśliwy kącik wyobrażał sobie jako ciasne, ciemne miejsce, w którym raczej się leży. Czyli trumnę.

Zapukał do drzwi. W sumie nie do końca wiedział, czego tak naprawdę ma się spodziewać. O wampirach słyszał sporo, ale tak po prawdzie, to nigdy w życiu żadnego nie widział, ani tym bardziej nigdy z żadnym nie rozmawiał.

Po dłuższej chwili zapukał jeszcze raz. Ponieważ jednak nie działo się nic, zapukał także i trzeci raz, po czym zaczął intensywnie wsłuchiwać się w ciszę dobiegającą z wnętrza mieszkania. Miał wrażenie, że nie do końca była to cisza. Słyszał jakieś odgłosy, stukanie, kroki. W końcu usłyszał dźwięk, który wydać mógł jedynie odsłaniany judasz. Ustawił twarz tak, by być dobrze widocznym i podniósł odznakę policyjną.

Drzwi otwarły się, a przed Wiesławem Kulickim pojawił się ciemny, głęboki, a w zasadzie bezdenny mrok. Przez chwilę wahał się. W końcu uznał, że co ma być, to będzie, przestąpił przez próg i zanurzył się w mrok.

– W czym mogę panu pomóc? – wyszeptał niemrawy, suchy głos, zanim jeszcze oczy inspektora zdążyły przywyknąć do ciemności.
– Zapraszam dalej panie...

– Kulicki. Inspektor Wiesław Kulicki, Komenda Wojewódzka Policji.

– Zapraszam, panie inspektorze.

Przed nim, w przedpokoju, padała wąska struga światła z zaklejonej czarną taśmą lampy. I w tej strudze mignęła jakaś chybotliwa, groteskowa sylwetka. Łysa głowa, duże uszy. Typowy Nosferatu, pomyślał Kulcki.

Przeszedł kilka kroków, przytrzymując się prawą ręką ściany. W końcu ściana zniknęła, a w głębi pomieszczenia ukazał się stół, na którym stał mosiężny kandelabr ze świecami.

– Klimatycznie tu – powiedział niezbyt głośno. – Czy zechciałby się pan ukazać w świetle?

– Naturalnie, przepraszam. Nie przywykłem do przyjmowania gości.

Do świecznika zbliżył się osobnik, którego wygląd w zasadzie od razu zdradzał całą „wampirskość”. Zgarbiony, ponury, ale także stary i powykręcany reumatyzmem. Z trudem odsunął ciężkie, drewniane krzesło i usiadł na nim, po czym wskazał drugie krzesło Kulickiem.

– Zapraszam do stołu.

– Będziemy jeść? – zażartował inspektor.

– W sensie, do rozmowy.

– Ach tak.

Policjant usiadł. Czuł się bardzo nieswojo w tym mroku i odruchowo sięgnął po piersiówkę, lecz szybko przypomniał sobie, że ta była już całkowicie pusta i przeklął się w myślach za to, że nie zadbał o to po drodze.

– No cóż... ja się przedstawiłem – powiedział z rezygnacją.

– Proszę wybaczyć mi moje maniery. – Wampir skłonił się lekko.

– Herman von Gutterstein, książę brandenburski.

– Dobrze. To w zasadzie mniej mnie interesuje – Kulicki postanowił

przejsć do sedna. – W mieście popełniono dwa morderstwa. Sposób ich dokonania nasuwa podejrzenia, iż mogły mieć z tym coś wspólnego osoby takie jak pan.

– Znaczący wampiry?

Von Gutterstein zabębnił nerwowo pazurami o blat stołu.

– No, tak jakby wampiry. Trupy miały na szyjach dziurki po zębach i nie było w nich ani kropli krwi.

Wampir wzdrygnął się na dźwięk ostatniego słowa.

– Hmm... To bardzo... nieprzyjemna sprawa – mruknął. – Obawiam się jednak, że nie będę potrafił panu pomóc.

– Czyżby?

– Tak, to żaden z naszej kamaryli. Pilnujemy się bardzo – odparł Herman von Gutterstein. – Proszę zajrzeć do lodówek. – Wskazał ręką rząd trzech lodówek, które inspektor zauważył dopiero teraz.

Kulicki z ciekawości wstał i zajrzał do pierwszej z nich. Wszystkie półki zajęte były workami z krwią. W drugiej leżało mnóstwo kaszanki. Spojrzał pytająco na wampira.

– Kupujemy ludzką krew na czarnym rynku. Jest koszmarnie droga, więc kupujemy także krew świńską i mieszamy pół na pół z ludzką.

– Świńską?

– Wiem... Niezbyt koszernie. Smakuje podle. Dlatego robimy z tego kaszankę, doprawiamy i jakoś da się wyżyć.

Kulicki zamknął lodówkę i wrócił do stołu z uczuciem głębokiego rozczarowania.

– No dobra... Ktoś mi szlachtuje ludzi na dzielnicy i wy nie macie z tym nic wspólnego. – podsumował. – Jak rozumiem, w mieście pojawił

się jakiś obcy wampir. Może krewny czy ktoś, kogo nie znacie?

– Na to wygląda.

Inspektor westchnął ciężko i wstał.

– Czy mogę liczyć na waszą współpracę? Skoro na waszym terenie pojawił się inny wampir, to chyba stanowi dla was zagrożenie?

– W zasadzie to nie – odparł von Gutterstein. – I tak jesteśmy zbyt starzy i słabi, by polować.

– Ale robi wam zły pijar.

– Unikamy towarzystwa – powiedział wampir, lecz po chwili dodał.

– Ale dobrze. Rozumiem, co czego pan zmierza. Będziemy mieli uszy i oczy otwarte.

Kulicki rozejrzał się po szczelnie zacienionym mieszkaniu, w którym nie było ani śladu współczesnych technologii, po czym machnął ręką z rezygnacją. Wampir obojętnie wzruszył ramionami.

– Próbuję pomóc.

– W każdym razie dziękuję za obywatelską postawę i przepraszam za najście.

– Nie ma problemu. Gdyby był pan w okolicy, proszę wpadać. Oprócz Frankenheimera, który zdradził panu nasz adres, nie widujemy śmiertelnych.

– Mam nadzieję, że nie będziecie go jakoś szczególnie z tego tytułu karać? On współpracuje z policją – podkreślił Kulicki, po czym nie czekając już na odpowiedź wyszedł na klatkę schodową, gdzie od razu poraziło go światło czterdziestowatowej żarówki.

Pokręcenii faceci, pomyślał. Przez całą rozmowę z von Guttersteinem widział sylwetki dwóch pozostałych, zacajonych w mroku. Obserwowali

go, a może nawet byli przygotowani na atak w razie, gdyby zaistniała taka potrzeba. Niby ludzie na poziomie, a jednak było totalne dno. Kaszanka im do łbów uderzyła, złorzeczył w myślach.

Sprawdził czy miał broń w kieszeni. Była na swoim miejscu, więc zszedł na dół i zaczął rozglądać się za jakimś sklepem. W bloku wampirów znajdował się spożywczy, do którego wszedł bez namysłu. Zamierzał udać się prosto do kasy, za którą znajdowała się półka z alkoholami, jednak jego uwagę przykuł dział z produktami sypkimi, w tym z kaszą.

– Inspektor Wiesław Kulicki, Komenda Wojewódzka Policji.
– Machnął odznaką przed oczami sprzedawcy. – Czy ktoś dokonuje tutaj w miarę regularnych zakupów większej ilości kaszy?

Ekspedient wystraszył się nie na żarty. Zawsze sprzedawał alkohol szczyłom z osiedla i bał się, że pewnego dnia utraci koncesję na alkohol. Jednak zwykle interes wygrywał ze strachem.

– K...kaszy?

– Dokładnie tak. Kaszy gryczanej. Może jęczmiennej. Duże ilości.

– No jest taki jeden – wydukał sprzedawca. – Nie wiem, jak się nazywa, ale przychodzi raz w miesiącu i kupuje po kilka paczek. Strasznie źle wygląda. Chyba choruje.

– Duże ilości?

– No zawsze bierze z... dziesięć kilo?

– Dziesięć kilo... – mruknął Kulicki w zamyśleniu. – Na miesiąc, na trzech chłopa...

– Nie wiem na ilu...

– Dobra, daj pan półlitrówkę Huragana. I dziękuję za obywatelską postawę.

Sprzedawca drżącymi rękami zdjął z półki flaszkę i postawił na ladzie.

– Trzynaście pięćdziesiąt. Zawinąć w papier?

– Nie trzeba – odparł inspektor licząc drobniaki. – Poradzę sobie. Złotóweczkę będę krewny...

– Nie ma problemu. Dziękuję.

Kulicki wziął butelkę i wyszedł ze sklepu.

VII.

Aneta postawiła dowiedzieć się jak najwięcej o tajemniczym sprzedawcy kanapek z czosnkiem. W firmie nadal huczało od plotek, zwłaszcza po tym, jak w prasie ukazał się artykuł o tym, że nie była to pierwsza ofiara zabita w taki sposób. Mordercę ochrzczonego Jasiu Piłka. Piłka, ponieważ głowy swoich ofiar odcinał najprawdopodobniej piłką do metalu. A Jasiu? Chyba dlatego, że pismakom zabrakło jakiegokolwiek inwencji czy choćby krzty wyobraźni.

W każdym razie w firmie zaczynały powstawać kolejne, coraz bardziej wydumane teorie, jak na przykład ta, że Andrzej miał współniczkę, którą była pierwsza ofiara Jasia Piłki Alina Nowak, i że ktoś – najprawdopodobniej psychofan – postanowił rozprawić się z tą dwójką.

Wedle innej teorii, mordercą musiała być osoba z firmy. Najpewniej ktoś, kto miał związek z „Taśmami Zawadzkiego”, być może nawet występował na nich. Wszystkie cztery dziewczyny, o których było wiadomo, że pojawiły się na „taśmach”, złożyły nagle wypowiedzenia i nie pojawiły się już więcej w pracy. Ktoś nawet zasugerował, że może

one wszystkie zorganizowały zasadzkę na Andrzeja, by się zemścić. Ta wersja zakładała, że udział w filmie był przymusowy. Aneta wiedziała, że akurat ta część była prawdziwa, jednak nie zamierzała nikomu mówić o propozycji, jaką usłyszała od Andrzeja, na krótko przed jego śmiercią.

Food truck pojawiał się na placu dzień w dzień, a jego właściciel, jakby nigdy nic, odwiedzał wszystkie okoliczne firmy i instytucje z koszem kanapek. W dalszym ciągu prawie nikt u niego nie kupował, i Aneta zaczęła się zastanawiać, z czego on właściwie żyje. Od czasu do czasu odwiedzała punkt i kupowała coś po to tylko, by zamienić parę słów ze sprzedawcą, jednak chłopak w dalszym ciągu nie zdradzał się w żaden sposób.

Nie mogąc znaleźć punktu zaczepienia, postanowiła udać się po pomoc do swojego kuzyna Grzeska, który był komputerowym nerdem. Umówiła się z nim na kawę w jednej z galerii handlowych.

– Hej – powiedziała siadając przy stoliku.

– Hejka, co tam Anetka?

Chłopak był dziwakiem. Pracował jako programista i całe dnie spędzał w domu, ponieważ swoją pracę wykonywał zdalnie. Od śmieciowego żarcia nabrał nieco okrągłych kształtów i był chorobliwie blady. Jak to określiła ich babcia – blady jak onanista. Zresztą Aneta podejrzewała, że takie postawienie sprawy nie mijałoby się jakoś szczególnie z rzeczywistością.

– Mam problem. Nie pytaj tylko o szczegóły.

Grzesiek zasępił się.

– Już widzę, że będzie ciężko. Problem i nie pytaj o szczegóły...

Uwielbiam takie sprawy.

Obok nich, nieoczekiwanie pojawiła się młoda kelnerka w brązowym fartuszk.

– W czymś mogę pomóc?

Aneta aż drgnęła z zaskoczenia.

– Ja poproszę latte na sojowym mleku – powiedziała.

– Dla mnie normalna, duża kawa z mlekiem normalnym i może...

– Grzesiek rzucił okiem do menu. – Może kawałek szarlotki z bitą śmietaną.

Kelnerka odeszła. Aneta dla pewności rozejrzała się po sąsiednich stolikach. Umówili się w środku dnia, więc w galerii nie było aż takich tłumów, jak w weekendy.

– Zamordowano faceta, który pracował w naszej firmie – zaczęła.

– Sądzę, że mógł z tym mieć coś wspólnego chłopak z food trucka...

Grzesiek nachylił się nad stołem.

– Skąd wiesz?

Aneta westchnęła, po czym opowiedziała kuzynowi wszystko, z najdrobniejszymi szczegółami, nie pomijając swojego udziału. W końcu komuś musiała zaufać. Dźwiganie takiego brzemienia na własnych barkach wykańczało ją powoli. Od tygodnia nie przespala spokojnie nocy.

Grzesiek zasępił się. Miał minę człowieka, który chciałby nie mieć nic wspólnego z całą tą sprawą. Zresztą jego słowa potwierdziły to.

– Słuchaj... znam kogoś – powiedział konspiracyjnym szeptem. – Jest dziennikarzem śledczym. Bardzo uznanym...

– Czy nie lepiej pójść z tym na policję?

– Teraz, kiedy już złożyłaś fałszywe zeznania i zataiłaś swój związek z morderstwem? Nie wydaje mi się, aby to był pomysł trafiony. Poza tym...

zaufaj mi. Artur Mogliński to profesjonalista w każdym calu.

Aneta rozłożyła ręce z rezygnacją.

– Dobra... Umów mnie z tym Moglińskim. Skoro to taki profesjonalista, może rzeczywiście będzie wiedział, jak mi pomóc.

– Na bank – odparł Grzesiek i wyjął ze swojego plecaka etui na płyty CD.

– Co to takiego?

– Przezorny zawsze ubezpieczony.

Etui nie zawierało płyt. Wnętrze wypełnione było plastikowymi pudełeczkami z kartami SIM. Wyjął jedną taką kartę, otworzył telefon i dokonał podmiany. Następnie odszukał w kontaktach pozycję opisaną jako „dentysta” i napisał:

– Potrzebuję twojej pomocy. Pilne. Kiedy możemy się spotkać?

Thorin Dębowa Tarcza.

Wiadomość została wysłana, a po chwili nadeszła odpowiedź:

– Chyba trochę mnie oszukałeś z tym filmem, co?

Grzesiek przez chwilę zastanawiał się, po czym odpisał:

– Jeśli pomożesz, zwrócę ci część kasy.

Nie minęło dziesięć sekund, gdy telefon zawibrował. Grzesiek odebrał.

– Dasz radę podjechać na Nadodrze w ciągu pół godziny? – spytał Mogliński.

– Tak.

– Na Trzebnickiej jest taki bar... Chętnie zjadłbym obiad.

– W porządku, spotkajmy się tam.

Thorin rozłączył się, pozbierał swoje rzeczy i schował do plecaka.

- Trzeba iść – powiedział.
- Już?
- Mówiłem, że to profesjonalista.
- Zapłacę chociaż – powiedziała Aneta. – W sumie to jestem w pracy.
- Chcesz się spotkać z Moglińskim czy nie?
- Jasne, że chcę...

Zapłacili i wyszli. Szczęśliwie Aneta miała w pobliżu zaparkowany samochód. Grzesiek nie miał prawa jazdy i wszędzie poruszał się komunikacją miejską, jednak dał się przekonać, że autem będzie szybciej. Okazało się, że Aneta jeździ jednym z tych śmiesznych, małych autek miejskich, do których Grzesiek i jego tuzi programisty mieścili się z wielkim trudem.

– Tylko załatwmy to szybko – powtarzała ciągle Aneta.

– Spokojnie Anetka. Gość jest naprawdę konkretny. Sam pewnie nie będzie miał dla nas za dużo czasu, bo ciągle rozpracowuje jakieś afery i grubsze tematy.

Jak to we Wrocławiu bywa, mieli problem ze znalezieniem miejsca parkingowego. Poza tym, że Aneta ciągle obawiała się, że ktoś w pracy odkryje jej nieobecność, teraz także zaczęła się martwić, że Artur Mogliński znudzi się czekaniem albo po prostu przywita się z nimi i stwierdzi, że musi już lecieć. Kilka razy zetknęła się w życiu z takimi wiecznie zabieganymi ludźmi, dla których praca była pasją. Zwykle nie zatrzymywali się w jednym miejscu na dłużej, niż chwilę, o ile nie było

wyraźnej potrzeby.

Zaparkowali w jednej z bocznych uliczek Trzebnickiej i ruszyli w kierunku baru, w którym miał na nich czekać dziennikarz. Szli szybkim krokiem, tak że wkrótce zarówno Aneta, jak i Grzegorz, załapali niezłą zadyszkę. W pewnym momencie zwolnili.

– To on – powiedział programista.

Kilka metrów przed nimi stał człowiek odziany w popielaty prochowiec i kaszkiet. Niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, wyraźnie pędzony czasem. Jego rozbiegane, uważne spojrzenie, omiatało okolicę.

– Co tak długo? – zapytał, kiedy dostrzegł Grześka. Po chwili dostrzegł, że Thorin nie jest sam. – O... Dzień dobry.

– To jest Aneta, moja kuzynka – powiedział programista. – Wpadła jak śliwka w kompot.

– Dobra, wejdźmy do środka, bo jest cholernie zimno – odparł Artur.

– Nie mam za wiele czasu. Postawicie mi jakiś obiad i opowiecie wszystko przy jedzeniu.

– Widzę, że rozpracowujesz sprawę filmu. – Thorin wskazał widoczny w oddali most.

– Do tego jeszcze wrócimy. – Mogliński skrzywił się.

Weszli do ciepłego wnętrza niewielkiego lokalu i zajęli stolik pod ścianą. Artur od razu zamówił sobie talerz pierogów. O dziwo zapłacił za siebie, ale nawet nie zapytał swoich towarzyszy, czy będą coś zamawiać. Gdy wrócił do stołu, od razu zabrał się za jedzenie.

– No to słucham...

Aneta kolejny raz tego dnia opowiedziała historię z food truckiem

i Andrzejem. Artur kiwał tylko głową. Widać było, że całą ta sprawa nie robiła na nim aż takiego wrażenia, jakie mogłoby wywrzeć na zwykłym zjadaczu chleba.

– Z grubsza znam sprawę z gazet – powiedział w końcu. – Dwa morderstwa, odcięte głowy i kołki wbite w pierś. Zabita kobieta i mężczyzna. Jedno ciało znalezione za budynkiem Opery, drugie przy bulwarze Dunikowskiego. W sumie obie lokacje dzieli w linii prostej nieco ponad kilometr. – Zamyślił się przez chwilę. – Gdzie stoi ten food truck?

– Na placu Nowy Targ. Po osiemnastej odjeżdża i wraca rano. Czy to znaczy, że zajmiesz się tą sprawą? – spytała Aneta.

Mogliński wstał od stołu.

– Jestem teraz bardzo zapracowany, ale nie mówię, że nie. Widzę tutaj kilka interesujących wątków – powiedział wycierając usta serwetką. – Naprawdę interesujących. A ty – spojrzał na Grześka – chyba jesteś mi winien jakieś pieniądze, co?

– Jasne, nie ma problemu. – Programista wyjął z plecaka plik banknotów, odliczył dwie stówki i wręczył Arturowi. – Kiedy się odezwiesz?

– Jak tylko coś będę wiedział. Tymczasem postarajcie się zachować pełną dyskrecję. Nie potrzebujemy rozgłosu. Szczególnie w świetle faktów, które tutaj dziś poznałem.

Po tym jak dziennikarz wyszedł, Aneta z Grześkiem odczekali jeszcze chwilę i zebrali się także. Dziewczyna była mocno wystraszona perspektywą problemów w pracy. Głośno rozważała rozmaite wymówki, a kuzyn uspokajał ją.

– Najwyżej powiesz, że spotkałaś tego gliniarza, co cię przesłuchiwał

i rozmawialiście chwilę na ulicy. Masz obowiązek udzielać mu informacji, więc nikt ci nic nie powie.

– Jesteś pewien, że ten Mogliński będzie w stanie jakoś pomóc? Szczerze powiedziawszy wygląda jak menel. Śmierdziało od niego.

Grzesiek roześmiał się

– To kamuflaż. Ktoś, kto robi w jego fachu, nie może wyglądać jak elegancik. Wchodzi w takie miejsca, o których ci się nie śniło. Gdyby nosił garnitur i pachniał jak stokrotki, zaraz ktoś by go pchnął nożem.

– Może masz rację.

– Ja zawsze mam rację – odparł Thorin. – Nie martw się. Mogliński to zawodowiec.

Nie wpychał się już do małego auta. Postanowił wrócić do domu tramwajem. Miał jeszcze sporo kodowania na popołudnie, a wieczór zapowiadał się nader interesująco. W plecaku spoczywały wszystkie części Avengersów na Blu Ray, a na poczcie czekała na niego paczka z sex shopu. Był w niej masturbator w kształcie latarki, imitujący prawdziwą pochwę oraz wiśniowy lubrykant. Nie chcąc tracić cennego czasu pożegnał się i ruszył w swoją stronę.

Aneta wsiadła do samochodu i rozplakała się. Nigdy jeszcze, w całym swoim życiu, nie wpakowała się w aż tak duże tarapaty. Zawsze była grzeczną dziewczyną z dobrego domu, która miewała tylko „epizody” – jakieś pojedyncze sytuacje z papierosami w podstawówce, piwo przemyczone na dyskotekę w liceum czy opuszczanie zajęć na studiach. Choć unikała bycia przesadnie świętoszkowatą, zawsze postrzegała siebie raczej jako osobę dobrą, życzliwą i rozsądną. Miała wielu przyjaciół, angażowała się w fajne inicjatywy i pomagała każdemu, jak potrafiła.

A teraz to. Dwa nieszczęścia pod rząd. Najpierw padła ofiarą molestowania seksualnego, a zaraz potem stała się współwinna śmierci człowieka. I choć do tej pory wszystko wskazywało na to, że się jej upiecze, nie mogła zaznać spokoju. Wiedziała, że jeśli nie wyjaśni tej sprawy, oszaleje lub dobrowolnie zgłosi się na policję. Wciąż miała gdzieś kartkę z zapisanym numerem tamtego policjanta... Włożyła rękę do kieszeni płaszczyka. Była tam. Wyjęła z kieszeni i odczytała nazwisko Wiesława Kulickiego. Poniżej był numer telefonu stacjonarnego.

Może warto jednak dać szansę temu Moglińskiemu, pomyślała. Dziwny to był człowiek. Ta abnegacja istotnie mogła wynikać z wykonywanego przez niego zawodu. Jego ubrania wyglądały, jak by kupił je w lumpeksie i nosił bez prania przez wiele tygodni. Jako facet był nawet całkiem przystojny i na swój sposób pociągający, ale jednocześnie jego zachowanie było dziwaczne. Ciągłe rozglądał się jak jakiś złodziejasek, albo jakby spodziewał się, że ktoś go śledzi.

Nagle oprzytomniała, gdy rozległ się dzwonek jej komórki. Spojrzała na wyświetlacz. To był Ryszard – jej szef.

– Halo?

– Gdzie ty do cholery jesteś? Potrzebuję cię zaraz w biurze.

– Będę za piętnaście minut. Wyszłam na lunch i spotkałam inspektora Kulickiego – skłamała gładko. – Chciał mi jeszcze zadać kilka pytań w związku ze śmiercią Andrzeja.

– Kulickiego? – Ryszard stracił rezon. – Dobra, przyjedź, jak tylko będziesz mogła. Ale od razu wstąp do mojego gabinetu. Chciałbym się dowiedzieć, o czym rozmawialiście. Chyba rozumiesz, że ma to ogromne znaczenie dla naszej firmy. Chcemy pomóc w rozwiązaniu tej sprawy.

– Oczywiście – odpowiedziała i poczuła w brzuchu lodowate ukłucie.

– Zdążysz przed siedemnastą?

– Tak...

Ryszard rozłączył się, a po jej policzkach spłynęły łzy.

Przed siedemnastą biuro było prawie puste. Pracownicy, którzy jeszcze byli, szykowali się do wyjścia. Ryszard zawsze zostawał dłużej, choć trudno powiedzieć, czy rzeczywiście zajmował się sprawami firmowymi. Aneta już od dłuższego czasu obserwowała tego rodzaju zachowania u usatkwowanych facetów i podejrzewała, że jest to raczej miganie się od rodzinnych obowiązków.

Cicho zapukała do drzwi jego gabinetu.

– Wejść! – zawołał. – A to ty. Wejdź Anetko, siadaj. Napijesz się czegoś?

Dziewczyna znów poczuła zimne ukłucie w brzuchu. Identyczne, jak wcześniej w samochodzie. On wie, pomyślała. Może spotkał się dziś z inspektorem Kulickim, akurat w czasie, kiedy ona przebywała poza siedzibą firmy?

– Dziękuję. Chciałabym wyjść tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Narzeczony czeka na mnie na dole.

Ryszard mruknął cicho. Wyjął spod biurka szklankę i butelkę whisky.

– Pozwolisz w takim razie, że ja się napiję? Ostatnie dni są trudne dla nas wszystkich. – Powoli i starannie odmierzył sobie jedną trzecią

szklanki. – Kumpłowałem się z Andrzejem, wiesz? Miał bardzo duży wkład w naszą firmę, a jego entuzjazm był zaraźliwy. Ta niespodziewana śmierć była dla nas wszystkich wielkim szokiem.

Upił trochę i westchnął głęboko. Zapadła niezręczna cisza.

– Tak, chyba tak – powiedziała Aneta.

– Miał tylko trzydzieści osiem lat – kontynuował Ryszard. – Ludzie nie powinni odchodzić w tak młodym wieku. Całe życie było przed nim. I powiem ci, że miał na to życie ogromny apetyt. Niesamowita pasja, niesamowite pomysły...

W to akurat Anecie nie trudno było uwierzyć.

– Może wy nie znaliście go prywatnie, ale naprawdę to był człowiek-dusza. I bardzo boli mnie ta sprawa z tymi... hmm... „taśmami”. Nie do końca chce mi się wierzyć, że to wszystko prawda.

– No cóż, ja nie wiem...

– Podobno kilka dziewcząt w firmie brało udział w tych nagraniach. Magda i Agnieszka z księgowości. Obie złożyły już wypowiedzenie. Justyna ze sprzedaży i jeszcze ta taka drobna blondyneczka... Nawet nie pamiętam, jak się nazywała, bo pracowała u nas krótko.

– Naprawdę trudno mi...

– Czy Andrzej mówił ci coś o tych nagraniach? – Ryszard rozparł się na biurku. Najwyraźniej zamierzał przejść do właściwej części przesłuchania. – Rozmawiałem z Kulickim i wiem, że oprócz tamtych czterech dziewczyn, nikt nie wiedział nic o taśmach. Przynajmniej oficjalnie. Ale może jednak ktoś wiedział coś więcej? Może ktoś coś mówił? Krążyły jakieś plotki? Coś obito ci się o uszy?

Aneta poczuła, że jej dłonie zaczynają się pocić, a skóra na twarzy

robi się gorąca. Bała się, że pokryje się purpurą, co mogłoby ją zdradzić.

– Nie. Nie utrzymywałam jakiś szczególnych relacji z Andrzejem...

– Naprawdę? – Ryszard wypił swoją whisky do dna i nalał sobie kolejną. – Wydawać by się mogło, że to był taki kumpel wszystkich.

– Nie mój. Znaczy się, nie utrzymywałam z nim bliższej znajomości.

– No cóż... W takim razie chyba to wszystko, co chciałem wiedzieć.

– Wstał i podszedł do okna. – Aha... Ta dzisiejsza rozmowa z Kulickim? O co chodziło?

Jej dłonie kurczowo zacisnęły się na poręczach krzesła.

– Pytał mnie o te cztery dziewczyny, które pojawiły się w filmach – skłamała. – Ale nie mogłam mu zbyt wiele powiedzieć, bo z nimi też się nie przyjaźniłam.

Ta wiadomość chyba uspokoiła Ryszarda, bo wypił kolejną szklankę alkoholu i schował butelkę do biurka.

– Cóż... Nie będę cię zatrzymywał, skoro narzeczony czeka. Mówi się, że jak kocha, to poczeka. Ale nie można człowiekowi kazać czekać w nieskończoność, prawda? W końcu sobie pójdzie – zaśmiał się. – To tylko człowiek. Poczekaj sekundkę na mnie. Zejdźmy razem.

– Ale...

– Skoro we Wrocławiu mordują, nie puszczę cię samej na klatkę schodową.

– Naprawdę...

– Nie każ mi nalegać.

Ryszard założył płaszcz, pogasił światła i zamknął swój gabinet na klucz. Następnie opuścili biuro i w niezręcznej ciszy zeszli na dół. Kiedy wyszli przed budynek, oczywiście nikogo tam nie było.

– Wygląda na to, że jednak sobie poszedł – powiedział Ryszard.

Jej serce waliło jak oszalałe. Zaczynała spodziewać się najgorszego. I nagle zdarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego.

– Już jestem. Przepraszam, że musiałaś na mnie czekać.

Aneta odwróciła się i ujrzała chłopaka z czosnkowego food trucka. Podeszedł do niej, objął ramieniem i pocałował.

– Dzień dobry panu, nazywam się Patryk Garlikowski. – Wyciągnął rękę w kierunku Ryszarda, a ten uściśnął ją. – Wiele o panu słyszałem. Miło mi w końcu poznać.

– Mnie również bardzo miło. No... To lećcie – odparł nieco speszony kierownik. – Nie będę was już zatrzymywał. Pewnie macie jakieś swoje plany...

– Dobranoc – rzucił na pożegnanie Patryk i odciągnął Anetę w stronę swojego food trucka.

VIII.

Prokurator Karol Płotka leżał na łóżku, zupełnie nagi. Jego nadgarstki były przywiązane skórzanymi rzemieniami do ramy łóżka. Podobnie sytuacja miała się ze stopami. Było to bardzo stare łóżko szpitalne, które ktoś wspaniałomyślnie kupił przy okazji jakiejś wyprzedaży mienia państwowego. Teraz pełniło ono szlachetną rolę łoża rozkoszy w jednym z ulubionych przybytków Płotki. Chadzał tam, kiedy Frau Rita nie chciała się z nim bawić. Było tam więcej dziewcząt, niż mógłby sobie wymarzyć. A wszystkie młode i świeże niczym stokrotki.

Nie musiał czekać długo. Pojawiła się zaledwie po trzech

kwadransach od chwili, gdy przywiązała go do ramy. Krew wprawdzie przestała mu już krążyć w kończynach, ale był pewien, że potrafiłby wytrzymać jeszcze dłużej.

Dziewczyna miała nie więcej niż dwadzieścia lat. Pewnie była studentką, która wybrała ciemną stronę mocy. Z punktu widzenia przedstawiciela prawa, było to może niezbyt dobre, ale z punktu widzenia Karola Płotki, zepsucie w tak młodym wieku... Poczuł ciarki przebiegające wzdłuż krzyża i lędźwi.

Dziewczyna odziana była w obcisłe, lateksowe ubranie, które opinało jej ciało od stóp do głów. W rękach trzymała przyrząd, który przyprawił go niemalże o orgazm już samym swoim wyglądem – garotę. I gdyby nie to, że miał zakneblowane usta, pewnie powiedziałby może kilka miłych słów na przełamanie lodów.

Dziewczyna usiadła na nim okrakiem, celowo omijając strefy erogenne. Oplotła skórzany pas wokół jego szyi, pozaczepiała wszystkie sprzączki, pościągała wszystko, ile się dało, by mógł jeszcze przez chwilę swobodnie oddychać, a następnie, bardzo powoli, zaczęła zacieśniać.

Prokurator jęknął. Był w siódmym niebie, gdy nagle zadzwonił jego telefon. Dziewczyna przez chwilę nie wiedziała co robić. Straciła całą pewność siebie, rozluźniła przyrząd duszący, wyjęła knebel, odwiązała Karolowi jedną rękę i podała mu telefon.

- Płotka – powiedział zachrypniętym, pełnym rozczarowania głosem.
- To się wydarzyło ponownie.

Ciało denatki leżało twarzą do ziemi, na trawie, pośród drzew cichego lasu Pilczyckiego. Na miejscu zbrodni był już samochód techniczny, który oświetlił okolicę potężnymi reflektorami. O dziwo był tam także Kulicki, który jednak zgodnie z tradycją był mocno pijany. Awanturował się z kimś o coś. Po krótkiej rozmowie Płotka dowiedział się, że Kulicki wymachiwał bronią i groził Matejce, więc starszy aspirant Lenar mu tę broń zabrał i wówczas inspektor wpadł w szal.

Płotka sam był mocno poddenerwowany. Przerwano mu sesję. Był teraz naładowany jak pistolet. Czuł dojmujący ból w jądrach i nie mógł przestać myśleć o tym czarnym, lateksowym stroju, opinającym ciasno doskonale, dwudziestoletnie ciało studentki. I o skórzanej garocie oczywiście. Przez chwilę rozważał, czy nie lepiej byłoby pójść w las i ulżyć sobie. Jednak szybko zreflektował się, że prokurator onanizujący się na miejscu zbrodni, nieopodal ciała martwej dziewczyny, to święty Graal wszystkich dziennikarzy. Poszedł więc do Kulickiego w nadziei, że tamtemu coś jeszcze zostało w piersiówce.

– Czołem Towarzyszu.

– Aaa... Płotka – Kulicki chyba chciał mu przybić piątkę, ale zachwiał się i spadł z maski Kii. – Podnieś mnie! Pomyślą, że jestem pijany.

– Nie pomyślą – Płotka przysiadł na masce i zapalił papierosa.

– Masz coś do picia?

Ręka z piersiówką uniosła się ku górze. Prokurator odkręcił nakrętkę i powąchał. Czysta. Skrzywił się i pociągnął długiego łyka.

– Kolejna ofiara... Teraz już nic nie mamy na swoje usprawiedliwienie. To już na nasze konto – mruknął. – Powinniśmy już

dawno dorwać drania.

– Ale co zrobić, gdy drań się dorwać nie chce dać? – wymamrotał Kulicki.

Płotka przez chwilę analizował to zdanie, by zrozumieć jego sens. W tym czasie inspektor wstał i otrzepał się ze zgniłych liści.

– Wampiry milczą. Frankenheimer twierdzi, że nic nie wie. Jesteśmy w ślepych zaułku. W dupie. W totalnej, czarnej dupie.

– Może już czas pójść do po pomoc do niego – powiedział prokurator.

Kulicki wyrwał mu piersiówkę i wlał sobie reszkę alkoholu w gardło.

– Nie!

– Czas schować honor do kieszeni... Ile jeszcze osób musi umrzeć?

– Nie pójde się przed nim płaszczyć!

– Ustalmy fakty!

Kulicki znów się przewrócił.

– Dwie kobiety i jeden mężczyzna zginęli śmiercią wampiryczną

– Płotka zgiął jeden palec. – Żaden z trzech wrocławskich wampirów nie chce wziąć na siebie odpowiedzialności. A przecież oni nie mają powodu, by się z tym szczególnie kryć, bo i tak nic im nie zrobimy. Co najwyżej opieprzymy. – Zagiął drugi palec. – Jutro media rozerwą nas na strzępy. W mieście wybuchnie panika. Posypią się głowy...

– Potrzebuję pomocy – wymamrotał inspektor.

– Dokładnie o tym mówię!

– Nie... Potrzebuję pomocy medycznej. Chyba mam zawał. Niech ktoś wezwie pogotowie.

Nazajutrz media rzeczywiście miały swoje igrzyska. I to nie tylko te lokalne. Informacje o Jasiu Piłce pojawiły się na pierwszych stronach dzienników ogólnopolskich oraz w kilku dużych portalach internetowych. Dorabiano do tego wszelkiego rodzaju historie i hipotezy. Kilka gazet napisało, że Jasiu Piłka z pewnością jest uciekinierem z zakładu psychiatrycznego w Lubiążu, gdzie siedział za podobne zbrodnie, popełnione jeszcze w latach PRL. Pewna dziennikarka z Krakowa, znana w kuluarach z nimfomanii, uparcie forsowała tezę o dewiacji seksualnej i kopulacji z trupami. Nijak nie trzymało się to kupy, ale podchwyciły to tygodniki z zachodniopomorskiego i z pomorskiego. Zdaniem Bożeny Kalickiej, mieli oni po prostu niezłą bekę z tego, że to przedrukowali.

Kulicki o wszystkim dowiedział się w szpitalu. Lekarze zabronili mu czytać gazet, ale jakiś miły pacjent leżący na tej samej sali, dostarczył mu cały plik rozmaitej prasy. Człowiek ten zresztą niezdrowo fascynował się postacią Jasia Piłki i bez przerwy opowiadał o nim tak, jakby znał go osobiście.

– Pewnego dnia Jasiu Piłka przyjdzie i wymorduje tych wszystkich lekarzy – mówił przy śniadaniu. – Szczególnie te cholerne pielęgniarki, które nie pozwalają palić i klepać się po tyłkach. Cholerne świntuchy chodzą w tych swoich fartuszkach, nie dając mężczyźnie spokoju...

Kulicki wysłuchiwał tego cierpliwie, choć doskonale wiedział, że żaden Jasiu Piłka nie istnieje. Osobą najbliższą Jasiowi Piłce był on sam, przynajmniej przy pierwszych dwóch trupach. O ile się orientował, przy

trzeciej neutralizacji musiał asystować Frankenheimerowi sam Płotka. Prokurator odwiedził zresztą Kulickiego już na drugi dzień.

– Jak się trzymasz chłopie?

– Ciężko jest. Nie wolno pić ani palić – odparł policjant.

– I tak będzie już do końca.

– Żartujesz... Palnę sobie w łeb.

– Lenar napisał raport. Możliwe, że stary się wkurwi i cię zawiesi.

Prokurator wyjął z reklamówki worek mandarynek i postawił na szafce przy łóżku.

– Mandarynki ci kupiłem – powiedział.

– Co tam jeszcze masz? – Kulicki pociągnął ręką siatkę, by zajrzeć do środka, po czym niemal siłą wyrwał stamtąd półlitrowkę Huragana.

– Dawaj to!

– Mam warunki! – Płotka przytrzymał butelkę. – Zadzwonisz do niego i poprosisz o pomoc.

– Zgłupiałeś? Dawaj flachę!

Prokurator wyszarpał osłabionemu gliniarzowi butelkę i schował z powrotem do siatki.

– Dam ci to, jeśli obiecasz mi, że zadzwonisz.

Kulicki długo milczał, wpatrując się w ścianę. Nie namyślał się. Po prostu był obrażony.

– Jeden telefon – namawiał go Płotka. – Jeżeli odmówi, uznam, że zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy. Ale może zechce nam pomóc. Przez wzgląd na dawne czasy...

– Nie mam do niego numeru – powiedział w końcu Kulicki. – Daj mi tę cholerną butelkę.

Prokurator wyjął swój telefon i wyszukał coś na liście kontaktów.

– Proszę. – Wręczył telefon inspektorowi. – Wciśnij zieloną słuchawkę.

– Wiem jak się dzwoni!

Kulicki wcisnął słuchawkę i po chwili usłyszał sygnał.

– Halo?

– Andriej? – zapytał.

– Nie.

– A kto mówi?

– Wiktor Andriejewicz. Syn.

– A mogę rozmawiać z Andriejem Wiktorze Andriejewiczu?

– Nie bardzo. Jest teraz... – Mężczyzna jakby szukał słowa.
– Bezdomny.

– Jezu... wyrzuciłeś własnego ojca z domu w zimie?

– Sam odszedł – odparł nieco speszony Wiktor. – Obniżyli mu emeryturę. Powiedział: suka blyat! Ja pierdolu taki interes. I odszedł.

– A wiesz, gdzie go znajdziemy?

– Szukajcie na dworcach.

Mężczyzna rozłączył się.

– No i masz – powiedział Kulicki oddając telefon. – Nie ma go.
Uciekł z domu, bo mu emeryturę obniżyli.

Aparat komunistyczny wykluczał wszelkie elementy nadprzyrodzone. Ale nie zawsze i nie wszędzie. Istniała pewna określona grupa specjalistów, którzy stale współpracowali z milicją, służbą bezpieczeństwa i innymi, tajnymi służbami. Do takich osób należał Andriej Wiktorowicz Marczenko, którego specjalizacją było jasnowidztwo

retrokognicyjne.

Marczenko nigdy nie cieszył się szczególną estymą ani wśród przełożonych ani kolegów. Wszyscy uważali go za hochsztaplera, oszusta, a przede wszystkim kapusia. Nikt też nie dawał wiary, że Marczenko był jasnowidzem, ani tym bardziej, że zatrudniano go rzeczywiście z powodu tego typu umiejętności. Podejrzewano raczej, że donosił, co w sumie nie było aż tak dziwne, bo wtedy donosił każdy. Marczenko zresztą rzeczywiście także donosił. Ale jego nie lubiano szczególnie.

Aż pewnego dnia zjawił się młody adept, którym był Wiesiu Kulicki. Obaj panowie szybko się zaprzyjaźnili i zawiązali swego rodzaju tandem, który przez kolegów określany był rozmaitymi, niekoniecznie pozytywnymi określeniami.

Udało im się razem rozpracować kilka spraw, postrzeganych w owym czasie za trudne. Ich zespół uważany był w pewien sposób za skuteczny. Specjalizowali się rozwiązywaniem tajemniczych zbrodni, a nie fabrykowaniem dowodów i typowaniem winnych. Starali się przy tym stronić od polityki, a skupiać głównie na kryminale.

Rozłam nastąpił po 1989 roku, kiedy to Kulicki poddał się fikcyjnej lustracji. On pozostał w policji i awansował, a Marczenko, jako Rosjanin, od razu wylądował na śmietniku historii. I nikt się za nim nie wstawił, nawet Kulicki. Inspektor oczywiście zawsze opowiadał to zupełnie inaczej, jednak Płotka wiedział swoje. I według jego wiedzy, to właśnie Kulicki okazał się totalną szmatą bez honoru.

Marczenko przez lata tułał się po kraju, imając się różnych, przeważnie nisko płatnych zajęć. Wywoził śmieci, sprzątał w szaletach i był konserwatorem w jakiejś szkole. W końcu poszedł na emeryturę

i wrócił do Wrocławia, gdzie pomieszkiwał u rodziny syna.

Problem w tym, że tandem, choć doskonały, był obecnie rzeczywiście trwale rozłamany na dwie części. I żadna z nich nie miała najmniejszej ochoty wyciągnąć ręki do drugiej. A na na pewno nie Kulicki.

– Słuchaj... ja go odnajdę – powiedział Płotka. – Przejdę się po dworcach, popytam. On jest charakterystyczny. Ludzie będą wiedzieli, o kogo chodzi.

– Jebał go pies – odparł inspektor. – Zostaw mi tę flachę. Proszę. Ja umrę.

Prokurator wyjął z siatki butelkę i wsunął w szparę pomiędzy łóżkiem a szafką.

– Ale jak cię złapią i mnie wsypiesz, to... – Przejechał palcem po szyi w wymownym geście. – Trzymaj się stary pierdzielu. Wrócę tu z Marczenką. A wtedy on odstawi te swoje czary mary i powie, gdzie mamy szukać...

– Obyś miał rację... Obyś kurwa miał rację.

Prokurator Karol Płotka przespacerował się po wszystkich peronach Dworca Głównego. Przyglądał się każdemu bezdomnemu, którego udało mu się dostrzec. Niewielu ich było. Znacznie mniej, niż za jego młodości, kiedy to oblegali oni wszystkie ławki na holu głównym. Po ostatnim, dużym remoncie, zrobiło się tu bardzo porządnie i pilnowano, by element nie pętał się, i nie psuł wrażeń estetycznych podróżującym.

Napotkanych kloszardów wypytywał o Ruska, bo zakładał, że

właśnie tak mówiło się o Marczenec. Nikt przecież go nie legitymował, a staruszek z lubością posługiwał się polszczyzną z mocno wschodnim akcentem.

W końcu dostrzegł mężczyznę, który mniej więcej odpowiadał wizualnie wspomnieniu Marczenki. Człowiek ten miał wychudłą twarz, mocno zmierzwione, siwe włosy, wystające spod czapki oraz siwą, chropowatą szczecinę na twarzy. Odziany był w za dużą kurtkę puchową, jeansy i adidas. Stał pod zegarami, obserwując kasy. Prokurator celowo nie podchodził. Chciał się najpierw upewnić, zobaczyć, co stary kombinuje. Jeśli by przypadkiem zamierzał coś ukraść, automatycznie dałoby to mocny argument, by zmusić go do współpracy. Albo przynajmniej spróbować.

Starzec spojrzał na zegarek, później na kasy, a później prosto na Płotkę. Rozbrzmiał sygnał dźwiękowy i kobiecy głos poinformował o odjeździe pociągu do Krakowa. Mężczyzna, który stał przy kasie numer jeden, odbiegł nagle w stronę wyjścia na perony. Zapewne spieszył się na pociąg. Niestarannie włożony do kieszeni portfel wypadł tuż pod nogi dziadka, który podniósł go, odwrócił się i wręczył prokuratorowi.

– Proszę – powiedział. – Myślałem, że pójde na obiad, ale później zorientowałem się, że i czeka nas to spotkanie. Z góry przepraszam za zapach.

– Andriej Wiktorowicz Marczenko, jak mniemam – Płotka wziął portfel i schował do kieszeni swojego płaszcza.

– A pan, to zapewne prokurator Płotka we własnej osobie? – Starzec uścisnął wyciągniętą dłoń. – Jak on się czuje?

Karol Płotka nie od razu zrozumiał, że chodzi o Kulickiego. Dotarło

to do niego po chwili.

– Nie najlepiej – powiedział. – Zawał nie był poważny, ale lekarzy bardzo martwi jego tryb życia. Mówią, że przy takim tempie wykończy się w ciągu kilku lat, o ile wcześniej nie palnie sobie w łeb.

– Zatem chodźmy na kebaba – Andriej wskazał kierunek. – Dziś nikt z nas się nie zatruje, a facet, który go przyrządza, wyleczył się ostatnio z opryszczki.

– A jakie to ma znaczenie?

– Nie ważne. Nawet pan nie wie, jakie brzemień dźwigam na swoich barkach.

Zamówili jedzenie i zapłacili za nie pieniędzmi ze znalezionej portfela. Następnie przysiedli na schodkach, by zjeść w spokoju i pogadać.

– Po co panu to wszystko? Ten dworzec, bezdomność... – zaczął Płotka.

– Jaka bezdomność? Jestem wagabundą – zbulwersował się staruszek. – A tak po prawdzie, to wiedziałem, co się święci i chciałem ułatwić wam życie. Mój syn Wiktor nienawidzi wszystkiego, co związane z policją oraz moją przeszłością. Szczególnie nie lubi, gdy korzystam ze swojego talentu. Gdybyśmy teraz siedzieli u mnie w domu, pewnie wyrzuciłby pana za drzwi...

– A więc przewidział pan, że będziemy chcieli współpracować i dlatego przeprowadził się pan na dworzec?

– Tak.

– Dlaczego nie zgłosił się pan do nas sam?

– Z powodu Wiesia. On nie chce ze mną pracować. Teraz, po czwartym morderstwie się przekona.

Prokurator zamarł.

– Było troje zabitych.

– Oprócz dziewczyny, którą znaleźliście wczoraj, jest jeszcze ten chłopak. Ciało leży w tym samym lesie, ale bardziej na wschód. Bliżej starego zimowiska barek.

– Skąd pan wie?

– Spodziewałem się, że zada pan to pytanie – uśmiechnął się Marczenko. – pomimo że zna pan moje umiejętności. To zabawne.

– No tak. Jest pan jasnowidzem. Czyli teraz wszystko pójdzie z górki, tak? Pan wskaże zabójcę, a my go zastrzelimy, tak?

– Nie do końca. Mój dar to przede wszystkim retrokognicja, czyli widzenie przeszłości, tego co się już wydarzyło. Prekognicja jest u mnie dosyć powierzchowna. Widzę zarys postaci, ale ciężko mi dostrzec istotniejsze detale. W tej sprawie pojawia się sporo osób. Niektóre z nich także posiadają zdolności parapsychiczne...

– A więc?

– A więc oczywiście mogę. Ale nie powinien się pan nastawiać na jakiś cud.

Mężczyzna wstał, zawinął kebab w papier i schował do kieszeni kurtki.

– Zjawię się u pana za trzy dni. W tym czasie Kulicki powinien już dość do siebie, a czwarta ofiara przysporzy wam tyle problemów, że Wiesiu otworzy się na współpracę.

– Dziękuję. – Prokurator wstał i uściśnął rękę jasnowidzowi.

– Dziękuję za wszystko. Czy może mi pan chociaż powiedzieć, czy złapiemy winnego?

– Jakiegoś na pewno – odparł Marczenko i odszedł w stronę wyjścia na perony.

Płotka z obrzydzeniem wyrzucił resztę niedojedzonego kebaba do kosza, wyjął z kieszeni chusteczki nasączone i dokładnie wytarł nimi ręce. Wagabunda czy nie, cholera wie, czego dotykał, pomyślał sobie.

IX.

Mogliński kolejny dzień z rzędu kręcił się wzdłuż ulicy Trzebnickiej i mostów, w poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu istoty utrwalonej na filmie. Sypiał w swoim domu, jadał w barach mlecznych za pieniądze pożyczone od Neo, a później również za te odzyskane od Thorina. Właściwie było mu całkiem dobrze. Tyle tylko, że śledztwo utknęło w miejscu.

Zastanawiał się, czy możliwe było, aby istniał jakiś związek pomiędzy Jasiem Piłką, a kosmitą z Nadodrza. I jak dotąd, jedynym elementem łączącym oba te przypadki była woda. Pierwsza ofiara została znaleziona niedaleko fosy, druga nad Odrą, na bulwarze Dunikowskiego. Dodatkowo drugi zamordowany miał związek z tą ładną dziewczyną, którą przyprowadził Thorin. Bardzo przypadła ona Moglińskiemu do gustu, i choć był profesjonalistą i starał się nie mieszać pracy z przyjemnościami, włożył dużo wysiłku, by przed Anetą wypaść jak najlepiej.

Ze śmiercią Andrzeja Zawadzkiego powiązany był także właściciel food trucka, który parkował przy placu Nowy Targ. Facet sprzedawał kanapki z czosnkiem, co było dość osobliwą i raczej mało popularną propozycją kulinarną. Czosnek Arturowi kojarzył się przede wszystkim ze

środkiem odstrasżającym wampiry. Jasio Piłka mordował ludzi tak, jakby to były wampiry – wbijał im kołek w serce i odcinał głowę. Znaczyłoby to, że Andrzej Zawadzki był wampirem, którego gość z food trucka namierzył i zlikwidował. Ta koncepcja wydawała się Arturowi bardzo przekonująca.

Postanowił tego dnia przełamać rutynę i udać się na plac Nowy Targ, aby przyjrzeć się człowiekowi od kanapek z czosnkiem i zadać mu parę pytań.

A przy okazji może i spotkać Anetę.

Food truck stał tam, gdzie miał stać. Artur podszedł i rzucił okiem na menu. To, co od razu rzuciło mu się w oczy, to kosmiczne ceny kanapek. Za zwykłą bułkę z masłem i czosnkiem facet wołał sobie siedem pięćdziesiąt. Zupełnie, jakby sam piekł te bułki i zamiast wody lał dwunastoletnią whisky, pomyślał Mogliński.

– Dzień dobry – powiedział sprzedawca. – W czym mogę pomóc?

Dziennikarz spieszył się, ale postanowił wykorzystać nawiązany już kontakt.

– Chciałbym panu zadać bardzo nietypowe pytanie – zaczął niepewnie. – Skąd pomysł, aby sprzedawać kanapki z czosnkiem?

Mężczyzna roześmiał się, ukazując rząd białych zębów.

– To bardzo typowe pytanie. Połowa klientów o to pyta.

– A druga połowa?

– Wstydzi się przyznać, że czegoś nie rozumie. Nazywam się Garlikowski. Wszyscy zawsze mówili na mnie Garlik, a to po angielsku

znaczy czosnek. Czosnek jest naturalnym antybiotykiem. Spożywany profilaktycznie zwiększa odporność i pozwala pokonać infekcje na bardzo wczesnym etapie. Taki po prostu miałem pomysł na biznes... Bardzo niszowy biznes. Może nie najlepszy, ale...

– A jak to się ma do wampirów? – wypalił nagle Mogliński.

Na twarzy sprzedawcy pojawił się jakiś dziwny grymas.

– Wampirów?

– Wampiry nie znoszą czosnku. Używa się go jako środka odstraszającego.

– Chyba nie wierzy pan w wampiry? – Garlikowski zainteresował się nagle swoim blatem i zaczął go czyścić. – Wampiry to istoty fantastyczne, których źródeł należałoby się doszukiwać w dawnych, ludowych wierzeniach...

A więc wykształciuch, pomyślał Artur. Znał takich jak ten. Mieli w domu mnóstwo książek i słuchali muzyki z czarnych płyt. Większość z nich sprawiała wrażenie spokojnych ludzi, ale przy dłuższym obcowaniu, prawie zawsze okazywało się, że skrycie marzą o tym, by kogoś zamordować lub chociaż zgwałcić.

– Czy słyszał pan o Jasiu Piłce? – Artur postanowił zagrać va banque.

– Tym mordercy? Pisali o tym w dzisiejszych gazetach. Są już trzy ofiary.

– Chyba dwie...

– Trzy. Dwa dni temu znaleziono młodą dziewczynę w lesie Pilczyckim. Chwileczkę – Garlikowski zniknął pod ladą, a po chwili wynurzył się z gazetą. – Proszę. Może pan wziąć. Tu wszystko jest napisane.

Mogliński spojrzał na temat okładkowy. Wielki napis głosił, że policja potwierdza istnienie seryjnego mordercy. Otworzył na stronie, na której znajdowała się kontynuacja tekstu. Przeskanował pobieżnie artykuł i zatrzymał się przy cytowanych wypowiedziach. Psycholog Antoni Radziejewski powiedział, że bardzo trudno utworzyć profil Jasia Piłki, ponieważ w doborze ofiar nie pojawiła się żadna prawidłowość. Były dwie kobiety, jedna młoda, druga w średnim wieku. Trzecią ofiarą był mężczyzna.

Niżej pojawił się cytat z prokuratora Karola Płotki.

– Na ciałach ofiar nie znaleziono śladów nasienia, ale podejrzewamy, że mógł istnieć jakiś motyw seksualny. Sprawca mógł na przykład onanizować się w pewnej odległości od ciała...

Artur zastanowił się chwilę nad słowami Płotki. Policja musiała wiedzieć znacznie więcej, niż podawano w oficjalnych komunikatach.

Przez chwilę rozważał, czy nie złożyć wizyty Bożenie Kalickiej. Jako rzeczniczka prasowa, musiała posiadać więcej informacji, by wiedzieć, jakich pytań spodziewać się od dziennikarzy. Wierzył, że byłby w stanie wyciągnąć od niej więcej, niż przeciętny pismak z gazety, bo miał na nią skuteczne haki, a ona miała do niego słabość.

Szybko postanowił, że daruje sobie czatowanie na Anetę w bramie i uda się na komendę. Po drodze zadzwonił jeszcze do Neo, aby dowiedzieć się, jakie postępy poczynił w ciągu tych kilku dni.

– Siema Palacz, co tam? – odezwał się Damian.

– O to samo chciałem cię zapytać. Nad Odrą nie natknąłem się na żadne ślady humanoida ani tego Waldka Królika. Za to mam nowy trop, który może być interesujący. Słyszałeś o Jasiu Piłce?

– A kto nie słyszał? – zachnął się Neo. – Całe miasto tym żyje. Są trzy ofiary. Media dostały biegunki. Słyszałem też, że w mieście panuje panika. Ludzie boją wychodzić się z domów. Przez to też starzy siedzą mi na głowie. Zaraz oszaleję.

Mogliński wskoczył z telefonem do tramwaju i nie kasując biletu rozsiadł się wygodnie.

– Słuchaj Neo, pogoogluj mi nazwisko Garlikowski. Ma food trucka, w którym sprzedaje kanapki z czosnkiem.

– Z czosnkiem? Jak na wampiry?

– Miałem dokładnie to samo skojarzenie. W dodatku wiem, że jest zamieszany w tę całą sprawę.

– Cholera Palacz. Co jest grane? – Damian ściszył głos, jakby obok pojawił się ktoś z rodziców. – Zaczęliśmy od dziwnego filmiku, a teraz ładujemy się w największą aferę kryminalną we Wrocławiu, od dwudziestu lat.

– No stary, nikt ci nie obiecywał, że zabawy z Palaczem to będzie bieganie po podwórkach i fotografowanie źle zaparkowanych samochodów. Ze mną jest ostra gra, bo tylko taka ma sens. I jeśli ci to nie odpowiada...

– Nie no, spoko, nic nie mówię. – Neo speszył się nieco.

– Jadę teraz na komendę pogadać z Kalicką.

– Z rzeczniczką policji?

– Tak, czy jest coś, co chciałbyś wiedzieć, a co ja mógłbym wyciągnąć od niej?

Damian milczał przez chwilę.

– Nie, chyba nie. Ja tkwię nadal na katalogowaniu chorób...

– Może daj sobie już z tym siana i poszukaj Garlikowskiego. Mam wrażenie, że film od Thorina to ślepy trop. Może rzeczywiście to jakiś wybryk natury. A jeśli tak, to w sumie i tak niczego to nie wnosi do sprawy.

– Jasne, w porządku. Cześć.

Neo rozłączył się, a Mogliński zaczął rozmyślać nad tym, jak Aneta wygląda nago.

Wszedł jak zawsze, bez pukania. Kalicka siedziała przy swoim biurku i klepała coś na maszynie do pisania. Obok niej stał komputer z lat dziewięćdziesiątych i samo to wystarczyło Arturowi, by domyślić się, że nie działa on co najmniej od dekady.

– Arturze? – Rzeczniczka nie kryła zdziwienia.

– Mam do ciebie kilka pytań Bożena – rozsiadł się w skórzanym fotelu, jedynym luksusowym meblu w jej gabinecie, który zresztą prawdopodobnie był własnością prywatną. – Oboje wiemy, że wiecie więcej, niż mówicie dziennikarzom.

Kobieta przyglądała mu się mrużąc oczy, by wyglądać bardziej przenikliwie. Jednak tylko rozbawiła Artura, bo wyglądała raczej, jakby miała problemy ze wzrokiem.

– W porządku – odparła. – Wiemy. Ale już ci zapłaciłam za to, żebyś się tym nie interesował.

– Nie. Zapłaciłaś mi, żebym nie klepał jęzorem. I żadna publikacja podpisana moim nazwiskiem nie ukazała się. Jestem dosyć mocno

zaangażowany w sprawę i nie chodzi mi o pieniądze i rozgłos, a o rozwiązanie sprawy. Sądę, że powinniśmy połączyć siły i wymienić się informacjami. Dla lepszego efektu.

Kalicka wyjęła butelkę wódki i połała. Była to nowa butelka, bo dopiero ją rozpieczętowała. Artur zastanawiał się, ile flaszek poszło od czasu jego ostatniej wizyty. Podeszedł do jej biurka i poczęstował się mentolem bez pytania.

– Masz rację – powiedziała. – Chociaż trudno mi wierzyć w twoje dobre intencje. Nie raz zaszkodziłeś policji, publikując obrzydliwe paszkwile na swoim blogu.

– Słowo harcerza, że tym razem nic nie pójdzie na bloga – odparł, odpalając sobie papierosa i wypijając kieliszek wódki. – Zależy mi wyłącznie na znalezieniu tego degenerata.

– No dobra – odrzekła z rezygnacją. – Kulicki gadał z wampirami. To żaden z nich.

– To oczywiste – odparł Artur.

Kobieta uniosła brwi.

– Oczywiste? Widzę, że jesteś co najmniej o krok przed nami.

– To raczej wy jesteście zapóźnieni. Wiecie o facecie z food trucka?

– O kim?

– Nazywa się Garlikowski. Mam podejrzenie, że to on mógł zamordować Andrzeja Zawadzkiego. Powiedziała mi o tym Aneta... Aneta... Cholera, nie znam jej nazwiska.

Wyjął telefon i zaczął pisać SMS do Thorina, ale szybko zreflektował się, że dysponuje co najmniej dwudziestoma, różnymi numerami informatora.

– Jasny gwint...

– No dobra. – Kalicka połała drugą kolejkę. – Anetę jakąśtam podrzucisz nam później. A Garlikowskiego sprawdzimy. Co jeszcze masz?

Artur myślał. Jadąc tutaj, miał długą listę pytań oraz kwestii, które chciał poruszyć. Teraz nagle wszystko wyleciało mu z głowy.

– Mamy jeszcze film o kosmicie nad Odrą.

– To chyba inna sprawa?

– Możliwe. Chociaż wszystkie morderstwa zostały popełnione nad wodą... Opera, bulwar Dunikowskiego, las Pilczycki.

– Sądzę, że kosmitów zostawimy tym z Archiwum X – Wypiła i naląła sobie jeszcze. – Zmarnowałam swoje życie... Co ja do cholery robię?

Moglińskiemu zdawało się, że się przesłyszał, więc zignorował ostatnie zdanie. Wstał i podszedł do okna. Na dole stali Kulicki i Płotka. Przypomniała mu się wypowiedź zacytowana w gazecie.

– Płotka mówił, że to może być zboczeniec.

– Co? A tak... Mogę odpowiadać tylko za słowa pracowników komendy wojewódzkiej. Płotka podlega pod prokuraturę i nie mam zamiaru tłumaczyć się z jego słów. Jeżeli pytasz mnie o prywatną opinię, to oczywiście nie zgadzam się ze słowami Płotki. Zboczeniec nie zadawałby sobie tyle trudu, żeby udawać wampira. Nie robiłby dziur w szyi i nie spuszczał z ofiar krwi...

Artur zastygł w miejscu jak surykotka, gdy nagle dotarły do niego słowa, które powiedziała Kalicka o tym, że ofiary mają ślady ugryzień wampira.

Popielniczka była przepełniona, więc zgasił papierosa o podłogę,

a niedopałek schował do kieszeni. Dopił ostatni kieliszek wódki, podziękował i wyszedł, w dalszym ciągu będąc w szoku.

A więc nie ma żadnego Jasia Piłki, pomyślał. Trzy ofiary zagryzione przez wampira. Dlatego odcinają im głowy i wbijają kołki w serce. Ale nie robi tego sprawca tylko policja. Usiłował przypomnieć sobie wszystkie słowa wypowiedziane przez Kalicką. Szczególnie o tym, że Kulicki gadał z wampirami. Jak to było? Kulicki gadał z wampirami, ale to żaden z nich.

O ile przed wizytą na komendzie śledztwo stało w miejscu, o tyle teraz ruszyło z kopyta. Wybiegł z komendy i ruszył w kierunku przystanku tramwajowego...

X.

Kulicki i Płotka siedzieli przed gabinetem komendanta Wacława Gałki już dobre dwadzieścia minut. W końcu drzwi się otwarły i... to wszystko. Otwarły się i były otwarte.

– Mam wam wysłać zaproszenie? – usłyszeli z wnętrza gabinetu.

Nadinspektor Gałka miał taki brzydki zwyczaj, że otwierał drzwi i bez słowa wracał do biurka. Kulicki wiedział o tym doskonale, ale za każdym razem dawał się nabierać, jak jakiś żółtodziób. Bał się Gałki. Być może komendant był jedyną osobą na świecie, której bał się inspektor.

– Siadajcie.

Płotka nie podlegał komendantowi, jednak wykonywał wszystkie polecenia bardzo karnie. Łatwo było dostrzec, że cała ta sprawa wywarła na nim dużą presję, i że bardzo się przykładał do tego, by w jak największym stopniu pomóc.

– No i co macie mi do powiedzenia na temat tego całego Jasia Piłki? Podobno są już czwarte zwłoki, ale trzymamy to w tajemnicy. – Gałka podniósł z biurka jakieś pismo i zaczął nim wymachiwać. – Dostałem wezwanie do Komendy Głównej. Mam się stawić osobiście, celem wyjaśnienia całej sytuacji. Więc proszę bez pierdolenia! Słucham!

Kulicki nie wytrzymał, wyjął piersiówkę i przyssał się do niej jak niemowlak do piersi matki.

– Wiesiu kurwa! Mógłbyś się powstrzymać w gabinecie przełożonego!

– Przepraszam...

– ...jeszcze po zawale... Przestań! Schowaj to!

Gałka wyjął z szuflady butelkę wódki Huragan i trzy szklanki.

– Polej Karol.

Prokurator posłusznie nappełnił szkło.

– Mamy tu cholerny syf – mruknął już nieco spokojniej komendant.

– Jeżeli tak dalej pójdzie, wypierdolą mnie tuż przed emeryturą. Was to też dotyczy towarzyszu Kulicki.

Wypili, a Gałka wyjął jeszcze słoik kiszonych ogórków.

– Częstujcie się panowie... Oczekuję, że powiecie mi teraz, co właściwie zamierzacie zrobić w tej sprawie. No słucham?

– Odnalazłem Andrieja Marczenkę – powiedział Płotka. – Zgodził się z nami współpracować.

– Nie przeceniałbym jego możliwości. – Komendant nalał drugą kolejkę. – Nie możemy stawiać wszystkiego na jedną kartę. Zwłaszcza, jeśli tą kartą jest jakiś stary guślarz.

Wypili.

– Jasna sprawa – odparł Kulicki. – Ja to w ogóle do kacapa nie mam zaufania. Robię to tylko i wyłącznie dlatego, że Karol prosił. W innym wypadku nie poświęciłbym temu zagadnieniu ani minuty.

– Marczenko powiedział mi, że jest czwarta ofiara, jeszcze zanim o tym wiedzieliśmy.

– A właśnie – Kulicki wymachiwał kiszonym ogórkiem. – Kto jest czwartą ofiarą? Przez ten cholerny szpital nie jestem na bieżąco.

– Jakiś facet. Kij z nim – powiedział prokurator. – Chodzi o sam fakt, że Marczenko to przewidział. To dowodzi temu, że jednak jakieś tam zdolności ma, prawda?

– Rozumiem, że zneutralizowaliście czwartego nieboszczyka?

– Kulicki zastygł z ogórkiem w powietrzu.

– W sensie?

– No, tak jak z poprzednimi. Karol, sam asystowałeś Frankenheimerowi...

– Cholera jasna!

Mężczyźni zerwali się od stołu i rzucili się do drzwi. Nadinspektor Gałka najwolniej, bo przed wizytą podwładnych, osuszył już jedną połówkę w trakcie rozmowy telefonicznej z KGP. Teraz, zataczając się, próbował wydobyć pistolet z kabury. Na szczęście bezskutecznie.

Kulicki i Płotka zbiegali po schodach w kierunku prosektorium. Jak tornado wpadli do środka przez dwuskrzydłowe, wahadłowe drzwi i pierwszym, co zobaczyli, były nogi w policyjnym obuwiu służbowym. Kulicki odruchowo sięgnął do kieszeni płaszcza i... nie zastał tam nic. Przypomniało mu się, jak po awanturze nad Odrą Lenar odebrał mu broń, a potem zdarzył się ten zawał i jakoś broń do niego nie wróciła.

– Jasna cholera – zaklął.

Płotka nie miał broni. Jako prokurator nie musiał jej mieć. Parę lat wcześniej starał się o pozwolenie, jednak nie przeszedł psychotestów. Byli zatem obaj całkowicie bezbronni.

Ciało na podłodze należało do Modesta Matejki. Broni przy sobie nie miał, za to miał rozszarpane gardło i leżał w kałuży krwi. Najwyraźniej ożywiony wampir nie potrafił jeszcze kontrolować odruchów. A może po prostu Kulicki i Płotka wpadli do prosektorium w chwili, gdy bestia dopiero zaczynała się żywić i ze strachu rozbebrała jedzenie na podłodze...

Trzymając się blisko ściany, Kulicki przeszedł do kolejnego pomieszczenia. Wiedział, że wampiry mają problemy ze światłem słonecznym. W samym prosektorium nie było okien, ale gdyby udało im się jakoś wywabić upiora na zewnątrz, ten z pewnością szczelby w płomieniach. Przynajmniej taką inspektor miał nadzieję. W innym wypadku skazani byłiby na walkę wręcz z dużo silniejszą istotą.

– Płotka? – zawołał.

– Tak?

– Wychowałem się na materializmie dialektycznym, ale... Nich Bóg ma nas w swojej opiece.

Wpadł do sąsiedniego pomieszczenia jak gliniarz z filmów, z tą różnicą, że prawie zasłabł. Nie było tam nikogo. Z ziemi ział otwór otwartej klatki kanalizacyjnej, którą odprowadzane były ścieki po myciu zwłok.

– Kurwa!

Płotka również wbiegł do pomieszczenia.

– Dokąd to prowadzi?

– Nie mam zielonego pojęcia. Ten gmach postawili tu szwabcy.
– Kulicki podrapał się po głowie. – Zajmiemy się tym później. Teraz trzeba urządzić łeb tamtemu, zanim ożyje.

– To wystarczy?

Inspektor zamierzał zbyć dyletanckie pytanie milczeniem, ale w ostatniej chwili rozmyślił się.

– I tak musimy spalić ciało. Nikt nie może się dowiedzieć, że czwarta ofiara ożyła, zabiła gliniarza, a potem uciekła. Tego by już było zbyt wiele...

– A co z rodziną i znajomymi policjanta?

– Zrobimy zaginięcie. Facet po prostu nie pojawił się dziś w pracy
– mruknął pod nosem.

– Lutz! Lutz! Potrzebujemy twojej pomocy!

Drzwi otwarły się i Niemiec machnął im ręką, by szybko wchodzili do środka.

– Co jest do cholery? Jest trzecia w nocy!

Kompletnie pijani Kulicki i Płotka wtłoczyli się do ciasnego przedpokoju. Frankenheimer wyglądał może na wściekłego, ale na pewno nie na kogoś, kto właśnie został wyrwany ze snu. Miał na sobie mundur wermachtu.

– Co jest kurwa? – Płotka zaczął szukać broni, ale tylko przewrócił się na szafkę na buty i rozbił lustro.

– Co tu się do jasnej cholery dzieje? – spytał Niemiec, ignorując

prokuratora.

– Uciekł nam ożywienie! – wyjaśnił Kulicki. – Mieliliśmy ofiarę numer cztery i nie dopilnowano formalności. – Mówiąc to, spojrzał złym wzrokiem na Płotkę. – Nim dotarliśmy do trupiarni, było już za późno.

– I co to ma niby wspólnego ze mną?

Kulicki wprowadził Karola Płotkę do salonu i rzucił na tapczan.

– Wampir uciekł! Przy okazji załatwił jednego z naszych. Tym samym gliniarz stał się ofiarą numer pięć. Ale o tym sza. Uprzątnęliśmy już wszystkie dowody. Teraz po mieście szaleje jeszcze jeden wampir.

– Kulicki usiadł obok śpiącego prokuratora. – A poza tym, to gościnność nakazuje chyba zaproponować coś do picia.

– Coś do picia? – zapytał doktor z niedowierzaniem.

– Przynieś no po butelce tego pszenicznego piwa dla mnie i dla mojego przyjaciela.

Frankenheimer westchnął i wykonał polecenie, jednak ze względu na chwilową niedyspozycyjność Płotki, to Kulicki zaopiekował się obydwoma butelkami.

– Sprawy zaszły za daleko – powiedział Frankenheimer, stając przy oknie i patrząc na pogrążoną w mroku nocy panoramę Wrocławia. – Czas skończyć tę maskaradę.

– O czym ty do diabła mówisz?

– O wampirach. To wszystko pic na wodę. Wampiry nie istnieją. Stworzyłem tę legendę, by zarabiać, świadcząc specjalistyczne usługi, czyli krojąc frajerów takich jak wy. – Wskazał palcem obu mężczyzn, rozwalonych na tapczanie. – Nawiasem mówiąc, twój towarzysz nie uregulował kwestii finansowych wynikających z neutralizacji ofiary numer

trzy. Powiedział, że zapłacisz, jak wyjdiesz ze szpitala.

– Mogłeś mi o tym powiedzieć, zanim wyznałeś, że nas dymasz w dupę!

Lutz nawet nie drgnął.

– Może jednak w takim razie wyjaśnisz mi coś? – Inspektor wstał, odłożył pustą butelkę po piwie na stół i otworzył sobie następne. – Kim jest von Gutterstein i jego koledzy z klubu krwio pijców? Kto zabija ludzi we Wrocławiu? I jak to się stało, że ofiara numer cztery podniosła się z kostnicy i zabiła mojego najlepszego człowieka?

Doktor usiadł przy stole.

– Na dwa ostatnie pytania ci nie odpowiem. Jeśli zaś chodzi o von Guttersteina i jego kolesi, to jest to grupa rekonstrukcyjna, która bawi się w wampirów. Wychodzi im to bardzo przekonująco, ale to nie są żadne wampiry. Osobiście chodziłem po mieście i rozповідаłem, że są...

Kulicki zasępił się. Mniej więcej w tym czasie ocknął się Płotka, który najpierw usiadł, później rozejrzał się po otoczeniu, zatrzymując wzrok na dłużej na mundurze wermachtu oraz na zdjęciu führera, oprawionym w ramkę.

– Przesłuchajmy skurwiela – mruknął, po czym wstał i przywalił Lutzowi z pięści prosto w twarz.

Nazista wrzasnął wysokim, histerycznym falsetem i wraz z krzesłem poleciał do tyłu.

– Nie bijcie!

Kulicki nie za bardzo wiedział, jaki miałyby być cel tej zabawy, jednak postanowił się przyłączyć. Wydał na neutralizację nieumarłych prawie cztery tysiące złotych, a z ostatnich słów Frankenheimera wynikało, że

zwyczajnie dał się oszukać. Rozbił butelkę od piwa o krawędź starego stołu, przypadł do Niemca i przyłożył mu szkło do twarzy.

– Gadaj, bo oślepię!

– Ale ja już powiedziałem wszystko, co wiedziałem! Wampiry, z którymi ja współpracuję, nie są żadnymi wampirami! Pomagają mi oszukiwać ludzi!

– Rżnij Wiesław! – zawołał prokurator. – Potnij gębę skurwielowi! Za ten mundur choćby!

– Nie! Błagam!

Kulicki odrzucił butelkę. Ale wpadł teraz na nowy pomysł.

– Które to piętro?

– Piąte – odparł Płotka.

– Dawaj go na balkon!

Zaczęli wlec wrzeszczącego nazistę za wypucowane na glanc oficerki. Stary człowiek łapał się nóg od stołu, krzeseł, ale to nic nie dawało. Meble tylko przesuwały się po podłodze, wydając przy tym okrutny hałas, który mógłby zbudzić nawet nieboszczyka, a co dopiero sąsiadów z dołu o trzeciej w nocy.

– Błagam! Zostawcie mnie!

W końcu zatrzymali się. Kulicki przysiadł przed drzwiami balkonowymi łapiąc się za serce i dysząc ciężko.

– Co? Zawał? – spytał Płotka.

Inspektor przez dłuższy czas nie odpowiadał. W końcu jednak wyjął pierśówkę i ściągnął kilka solidnych łyków.

– Nie... Ale forma już nie ta sama co dawniej.

– Nie zrzucajcie mnie! Błagam! – skomlał Frankenheimer. – Pomogę

wam, jak będę mógł. Mam wtyki. Znam różne osoby z półświatka, na pewno będę w stanie jakoś wam pomóc!

– Będiesz – odparł Kulicki, nadal dysząc. – Jesteś łowcą wampirów, to w takim razie złowisz nam wampira.

– Ja?

– Co się głupio pytasz? Jasne, że ty! – Płotka trzasnął Niemca z otwartej dłoni.

– Ale przecież mówiłem, że nie ma żadnych wampirów! Jestem oszustem!

– Taka odpowiedź nas nie satysfakcjonuje – odparł Inspektor.
– Wyskakuj z tego gównianego munduru, ubierz się jak człowiek i spakuj sprzęt. Wyruszamy na łowy!

– Tak... I na pewno nie będą to bezkrwawe łowy – dodał prokurator Karol Płotka. – Krew będzie się lała strumieniami, więc weź leki na serce, jeśli jakieś zażywasz.

– Panowie, no co wy!

– Rusz się Niemcze, pókim dobry! – Płotka wstał i podniósł z podłogi tulipana, którego wcześniej utworzył Kulicki. – Bo jeszcze cię chlasnę po gardle jak wieprzka. I będzie na przynętę!

Frankenheimer podźwignął się na krześle, a następnie utykając udał się do łazienki, by zmyć z twarzy łzy i smarki, i przebrać się w jakieś normalne ciuchy. W tym czasie Płotka i Kulicki poszli do kuchni poszukać piwa. Potyczka wzmogła ich pragnienie. Oczywiście w lodówce nie było nic, prócz kiełbasy i piwa pszenicznego. Przetrzęsając pułki kuchenne, znaleźli próżną w połowie butelczynę schnappsa, którą szybko rozlali do szklanek i osuszyli do dna.

W końcu Niemiec pojawił się w kuchni, rzeczywiście odziany w cywilne ubranie, jednak na wierzch narzucił sobie czarny, skórzany płaszcz. I choć pozbawiony był wszelakich naszywek czy insygniów, Płotka i Kulicki doskonale zdawali sobie sprawę z jego pochodzenia. Strój uzupełniał kapelusz z szerokim rondem, który krył twarz Frankenhemia w mroku, oraz torba przewieszona przez ramię, z której wystawały naostrzone paliki. W dłoni trzymał Lugera.

– Strzela to to jeszcze? – Kulicki wskazał głową pistolet.

– Strzela. Co więcej, na potrzeby mojego biznesu, odlałem sobie spory zapas naboju ze srebra. Celność znikoma na dłuższych dystansach, bo nie potrafiłem zrobić płaszcza i pocisk się zniekształca, ale jeśli to prawda, co mówią o srebrze i wampirach, może się przydać...

– Zwłaszcza, że mi jakiś chuj gwizdnął klamkę – mruknął inspektor.

– Wiesiu, nie denerwuj się... – Płotka najwyraźniej znów miał dosyć. Jego głowa tańczyła jak u kobry. – Załatwię ci nakaz na tamtego zasańca. Trzeba zrobić porządki w policji.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale osunął się na podłogę i znów utonął w pijackim letargu.

– Coś jeszcze? Woda święcona? Czosnek?

– Naprawdę nie mam pojęcia, z czym tak naprawdę mamy do czynienia. – Frankenheimer wszedł do kuchni i wyjął sobie piwo z lodówki. – Jeżeli mam być szczery, to obstawiałbym rzeczywiście jakiegoś świra. Tak, jak piszą gazety. Tylko oczywiście z pominięciem neutralizacji anty-wampirycznej. Powiedziałbym, że to ktoś, kto chciałby, aby zbrodnia wyglądała na wampira. Zastanawiałem się nawet nad tym, jak ściągnąć krew z ciała w taki sposób, jak mogliśmy zaobserwować na

naszych ofiarach. W praktyce byłoby to bardzo trudne, ale nie niemożliwe.

Kulicki podrapał się po nieogolonym policzku. Wątroba ciągnęła go jak diabli, ale sięgnął po kolejne piwo.

XI.

Artur Mogliński odwiedził ciotkę. Wziął prysznic, ogolił się i wypryskał zapachem. Z szafy wyciągnął ubrania po świętej pamięci wuju, który odszedł tragicznie pięć lat wcześniej. Nieszczęśnik z niewyjaśnionych przyczyn wszedł pod tramwaj, i choć sprawa ta była grubymi nićmi szyta, Artur nigdy nie zdołał zdobyć żadnych, poważnych dowodów na to, że było to zabójstwo na zlecenie. Dlatego katował się poczuciem winy. Szczególnie w takie dni jak ten, kiedy wykorzystywał garderobę wuja jako zaplecze operacyjne, wywołując tym samym serię bolesnych wspomnień u swojej biednej ciotki.

Powodem tych wszystkich przygotowań był SMS, który otrzymał od Thorina Dębowej Tarczy kilka godzin wcześniej. Jego treść brzmiała:

– Spotkajmy się dziś o dwudziestej, w parku Popowickim. Chodzi o Anetę.

Artur czuł, że spotkanie może mieć głębsze znaczenie, dlatego użył dwa razy więcej wody toaletowej, niż powinien.

– Dokąd idziesz? – zagadnęła go ciotka w przedpokoju.

– Mam ważne spotkanie.

– Z kim? Ze śmiercią? Gazet nie czytasz? – Kobięcina podniosła leżący akurat na szafie tygodnik, którego okładkę zrobił wielki portret wyobrażający Jasia Piłkę z wściekłym wytrzeszczem i wykrzywionymi

ustami. – Co ja twojej matce powiem, jak znajdą twojego trupa bez głowy?

– Oj, powie ciocia, że dla kobiety głowę straciłem.

– Dla kobiety najgłupiej!

Mogliński uśmiechnął się tylko i już zbiegał po schodach. Ubrania po wujku zawsze pasowały na niego jak ulał. W ostatnich miesiącach mocno mu się schudło ze względu na bardzo nieregularny tryb życia, jednak zauważył to jednak dopiero teraz, zmuszony do podciągania spodni co kilka kroków.

Do autobusu wskoczył niemal w ostatniej sekundzie. Usiadł bez kasowania biletu, ale już po kilkunastu minutach wysiadł. Thorin czekał niemal przy samej ulicy. Wyglądał na zdenerwowanego. I był niestety sam.

– Co jest? – Artur od razu wyczuł, że coś jest nie tak.

– Wejdzmy głębiej do parku. Tu ktoś nas może zobaczyć – odparł informator. – Aneta nie wróciła do domu tamtego dnia, kiedy się spotkaliśmy.

Artur poczuł, że mimowolnie cały się spina.

– Co takiego?

– Odprowadziłem ją do samochodu. Miała jechać jeszcze do pracy. Wczoraj jej koleżanka poinformowała mnie, że Aneta nie pojawia się w pracy. Zrobiłem małe śledztwo i okazało się, że jej wóz nadal stoi na parkingu. Za wycieraczkami ma kilka mandatów...

– Masz jakieś fajki? – spytał Mogliński.

– Nie palę.

– Cholera... Zostawiłem fajki w taksówce. Sądysz, że to może mieć związek z tą sprawą, o której rozmawialiśmy?

– To więcej, niż pewne!

Artur krążył tam i z powrotem, stukając obcasami eleganckich trzewików w chodnik. Podobał mu się ten dźwięk. Był pewien, że i na Thorinie robił odpowiednie wrażenie. Zupełnie, jakby wyszedł z jakiegoś bankietu czy spotkania z kimś ze świata polityki lub biznesu. Pan Artur Mogliński, pomyślał i uśmiechnął się do siebie.

– I jeszcze portfel zostawiłem... – powiedział głośno w nadziei, że informator pożyczycy mu trochę pieniędzy. – Dzwoniłeś na policję?

– Oszalałeś? Po tym wszystkim? Ustaliliśmy przecież, że nie będziemy gadać z psami, tylko ty pomożesz rozwiązać tę sprawę.

Mogliński przypomniał sobie, że rzeczywiście tak było.

– Słusznie! Żadnej policji!

W głębi duży trochę się wystraszył. Wszedł na grząski teren. Zaginęła kobieta. Być może leżała już gdzieś martwa i pozbawiona głowy, a on namawiał jej krewniaka, by nie informował policji. Gdyby cała sprawa wyszła na jaw, mógłby mieć z tego powodu kłopoty, pomyślał z goryczą.

Przestał kombinować jak wydębić kasę od Thorina i skupił się na tym, jak się z całej sprawy wypłatać. I już zamierzał spróbować gładko wyłgać się ze wszystkiego, kiedy poczuł w kieszeni wibrację telefonu.

– Momencik. – Odszedł kawałek, ale na tyle blisko, by w razie czego Thorin mógł wszystko słyszeć. – Halo?

– Tu Neo. Mam coś ciekawego.

– Dawaj. Potrzebuję teraz jak cholera, dobrych informacji – powiedział Mogliński głośno i wyraźnie.

– Chodzi o Jasia Piłkę. Wszystkie zbrodnie popełniono w odległości nie większej, niż sto metrów od wody.

– Tak, tak... To chyba nawet był mój wniosek.

– Zacząłem więc szukać inaczej. Nie po chorobach i deformacjach, ale po podobnych przypadkach. Czyli trup bez krwi, pozbawiony głowy, niedaleko wody.

– I co?

– Akurat z tego nic mi nie znalazło. Ale w dziewięćdziesiątym ósmym roku, w miejscowości Uraz, jakieś dziesięć kilometrów od Wrocławia w dół Odry, znaleziono trupa z dziwnymi śladami na szyi.

– I?

– Facet został przewieziony do Wrocławia i nawiał z prosektorium.

Mogliński zaniemówił. Spojrzał na Thorina, aby upewnić się, że ten stoi wystarczająco blisko, by wszystko słyszeć.

– Nawiał z prosektorium? – powtórzył

– Brzmi nieprawdopodobnie, nie? Nigdy więcej nie natrafiono na ślad tej osoby – emocjonował się Neo. – W archiwum prasowym Google znalazłem bardzo krótką notkę na ten temat, pochodzącą z gazety ukazującej się w Obornikach Śląskich. Nieco więcej pisał kilka lat później na swoim blogu facet, który podpisuje się jako Samotny Strzelec.

Dziennikarz zamilkł na chwilę, usiłując wydobyć jakiekolwiek skojarzenie z tym nickiem ze swojej pamięci.

– Nic mi to nie mówi – rzekł w końcu. – Czy jest możliwość, aby skontaktować się z tym człowiekiem?

– Na stronie jest adres e-mail. Problem w tym, że blog prowadzony był w latach dwutysięcznych. Później zmarł. Wątpię, by ten adres był jeszcze aktualny.

– W porządku. Sądzę, że to dobry trop. Szukaj dalej. Bez odbioru.

Artur schował telefon do kieszeni i chwilę zastanawiał się nad następnym krokiem. Jeszcze przed chwilą gotów był porwać się do ucieczki pieszej, w nadziei, że mający nadwagę informator go nie dogoni. Teraz dostrzegał jednak, że sprawa zaczyna przybierać ciekawy obrót. Jeśli rzeczywiście była to tajemnica sięgająca lat dziewięćdziesiątych, jej rozwiązanie mogłoby mu przysporzyć popularności, a ta oznaczałaby kasę. Nawet, gdyby miał mieć chwilowe problemy z prawem.

– Thorin, czy sprawdzałeś u niej w domu?

– Co? – Informator udawał, że nie podsłuchiwał.

– Pytałem, czy byłeś u niej w domu. Może poczuła się gorzej, wróciła komunikacją miejską, a w domu zasłabła czy coś? Takie rzeczy trzeba sprawdzać.

– Nie... Właściwie nie pomyślałem o tym.

– Zatem nie ma co zwlekać!

Aneta wynajmowała kawalerkę na osiedlu kosmonautów, a więc w miejscu, które niekoniecznie napawało człowieka optymizmem. Artur pomyślał, że warto do ewentualnych scenariuszy włączyć jeszcze samobójstwo. Szczególnie w świetle faktów, które poznał kilka dni wcześniej. Aneta mogła być zamieszana w morderstwo, a wcześniej chciano ją przymusić do zagrania w amatorskiej produkcji porno.

Spędzili pod drzwiami dobre piętnaście minut pukając i dzwoniąc. W końcu jakaś sąsiadka o wyglądzie starej, wściekłej kuchary, wyrzała na klatkę i powiedziała:

– Jak wam kurwa nie otwiera, to co się tak dobijacie, co? Na psy mam zadzwonić?

– Proszę pani, to my jesteśmy policja – skłamał jak zawsze gładko Mogliński. – Kiedy ostatnio widziała pani lokatorkę tego mieszkania?

Babsztyl zestresował się odrobinę, ale tak dosłownie odrobinę.

– Kiedy ją widziałam? No tak ze trzy, cztery dni temu... Chyba?

– To trzy czy cztery? – włączył się Thorin. – Poruszajmy się w obszarze konkretów.

– Ja nie wiem! Co mi tam zawracacie... Dam wam klucz, to sobie zajrzycie do środka. Może tam zdechła czy coś. – Kobieta schowała się w mieszkaniu, po czym wychyliła się z powrotem, już z kluczem.

– Jak rozumiem, lokatorka wynajmuje lokal od pani? – spytał Artur.

– A jaki tam lokal? Kawalerkę. – Baba machnęła ręką i zamknęła drzwi.

Artur, czując przyjemne dreszcze, wsunął klucz do zamka. Spodziewał się wszystkiego, łącznie z tym, że znajdzie zwłoki Anety. Ale w międzyczasie pomyślał też, że gdyby jednak zwłok w środku nie było, może udałoby mu się przekonać Thorina, że potrzebuje klucza na parę dni, by prowadzić obserwację mieszkania. A to by oznaczało darmowy nocleg w ogrzewanym mieszkaniu, z dostępem do wszystkich mediów, a może nawet i zapełnionej lodówki.

Uchylił drzwi i spojrzał na swojego informatora.

– Ty pierwszy – mruknął Thorin. – Ty jesteś dziennikarzem śledczym. Ja tylko ci pomagam.

Artur zaśmiał się pogardliwie.

– Co? Nigdy nie widziałeś trupa?

Pchnął drzwi. We wnętrzu panował zaduch i swego rodzaju... smrodek. Jednak źródłem smrodku, jak szybko się zorientował dziennikarz, nie były zwłoki. Smrodek był mu dosyć dobrze znany, choć tylko z odmętów przeszłości. Tak śmierdziało, jak się zostawiło pranie w pralce na kilka dni i zaczynało ono pleśnieć.

– Nie było jej w domu – powiedział w końcu i wszedł już całkiem na spokojnie do mieszkania.

Było urządzone skromnie, ale całkiem gustownie. Mały metraż nie stwarzał zbyt wielu możliwości. Pół ściany stało w grzybie, ale to przecież siła wyższa. Tanie meble, na półkach mnóstwo książek, w rogu pokoju laptop i mały, płaski telewizorek, z funkcją ekranu.

Artur skupił swoją uwagę na biblioteczce. Zawsze uważał, że odczytane dziewczyny są ciekawsze. Jednak tytuły książek i nazwiska autorów niewiele mu mówiły.

– Helen Fielding, Katarzyna Grochola, E.L. James... Dom nad rozlewiskiem. Pewnie klasyka – mruknął Artur, który nigdy nie lubił szkolnych lektur.

Później zaczął przeglądać szuflady.

– Co robisz? – spytał niepewnie Thorin.

– Muszą tu być jakieś ślady.

– Ślady czego?

– Nie wiem, czegokolwiek. Jakieś poszlaki, które naprowadzą nas na coś, albo chociaż pozwolą odtworzyć wydarzenia ostatnich dni.

W szufladzie z bielizną znalazł sporo interesująco wyglądających majtek. Aneta lubiła klasyczne kroje, ale znalazło się także kilka par stringów, w tym także bardziej eleganckich, koronkowych, czarnych

i czerwonych.

– Spójrz! – Uniósł na palcu wskazującym prawej ręki jedno z tych ostatnich. – Takie majtki zakłada się na randki.

– No, ale przecież ona teraz ich na sobie nie ma.

– Oj, ale może mieć inne... Chodzi mi o to, że dziewczyna randkuje. Z tego co widzę, nie ma stałego partnera?

– No, chyba nie.

– To może być dość niezręczne, ale musimy poszukać zabawek.

– Zabawek?

– No wiesz... żelków.

Thorin zaczerwienił się nieco i zainteresował się grzybem na ścianie.

– Ty jesteś dziennikarzem śledczym. Ja ci tylko pomagam.

– W takim razie bądź pomocny i zobacz, czy w kuchni jest coś do żarcia – powiedział Artur. – Ja za ten czas poszukam zabawek. To dosyć istotne.

Informator odszedł do kuchni, co w praktyce oznaczało, że stanął dwa metry dalej i zaczął myszkować po szafkach. Pieczywo w chlebaku było czerstwe, ale znalazł nieotwarty worek chleba tostowego o długim terminie ważności i słoik masła orzechowego.

– Nie ma nic spleśniałego. Ale w sumie nie widzę też nic świeżego – pokazał Moglińskiemu słoik.

– No dobra... to nam niczego nie powie – odparł dziennikarz. – Ale skoro już tam jesteś, to przygotuj mi proszę kanapkę. Zgłodniałem.

– W porządku... Może być z masłem orzechowym?

– Nie, zrób mi z łososiem. Jasne, że może być z orzechowym!

Przez chwilę Artur usiłował sobie przypomnieć, gdzie jego

narzeczona trzymała zabawki. Rzecz niby normalna, ale jednak przed wzrokiem gości należy ukryć. Wrócił raz jeszcze do szuflady z bielizną i w końcu, z samego dna wydobyl imponującego, czerwonego żelka.

– Spójrz na to. – Pomachał zabawką Thorinowi. – Randkuje, ale nie ma nikogo na stałe. Wciąż poszukuje i rzadko dopuszcza do siebie kogoś bliżej. Pewnie jest bardzo zamknięta, może ktoś ją kiedyś zranił...

– Wow – mruknął informator z ustami pełnymi masła orzechowego. – Muszę przyznać, że teraz mi zaimponowałeś. Kończyłeś jakieś studia psychologiczne czy coś?

– To się nazywa dedukcja drogi Wattsonie. Lata praktyki, setki rozwiązanych spraw i w końcu przychodzi samo. Ciekaw jestem, jak często tego używa? – Spojrzał na dildo, a potem włożył je ostrożnie z powrotem do szuflady. – Teraz komputer.

Laptop okazał się być niechroniony hasłem, ale też i jego zawartość była mocno rozczarowująca. Według historii przeglądania, Aneta korzystała z niego głównie do czytania portali internetowych, w szczególności kobiecych. Artur bez problemu wszedł na pocztę oraz na facebooka. Nie znalazł tam jednak niczego, co mogłoby przykuć jego uwagę. Przeszukał wszystko, szczególnie pod kątem nazwiska „Garlikowski”, które w dalszym ciągu zdawało się odgrywać w tej sprawie istotną rolę. Nic.

Sprawdzając pocztę, natknął się na maile do Thorina. Okazało się, że informator naprawdę nazywał się Grzegorz Wilczyński i rzeczywiście, zgodnie z podejrzeniami Artura, pracował dla jednej z firm oferujących usługi telekomunikacyjne. To tłumaczyło dostęp informatora do nieograniczonej liczby kart SIM działających pomimo braku rejestracji,

a być może nawet i bez środków pieniężnych.

– Słuchaj Thorin – powiedział w końcu. – Czy miałbyś coś przeciwko temu, abym zatrzymał klucz na parę dni? Chciałbym dokładniej przejrzeć zawartość jej komputera.

– Mogę ci pomóc – zaoferował się programista. – Wiem, jak się z tym obchodzić.

– Nie, nie trzeba. To raczej kwestia przeczytania niektórych maili, niż uzyskania tajnych dostępów i łamania haseł. – Artur wstał i poczęstował się upragnioną kanapką. – Chciałbym po prostu spokojnie popracować, bez presji, bez osób wiszących mi nad głową... Tu nie ma żadnych informacji ściśle tajnych, zakodowanych czy coś. To biały wywiad. Kwestia wiązania faktów i wyciągania wniosków. Może będę musiał sobie rozpisać sieć kontaktów i utworzyć historię wątków... Sam rozumiesz. Bardziej byś mi przeszkadzał, niż pomagał.

– Jasne, jasne... – Thorin lekko się speszył. – Dobra. Zostawię cię tutaj. Dasz mi znać, jak czegokolwiek się dowiesz? Martwię się trochę.

– Oczywiście, że dam, masz to jak w banku.

– Gdybyś potrzebował jakiejś pomocy, szczególnie z komputerem...

– Będę się odzywał, jak będę potrzebował pomocy. I w każdej, innej sytuacji. Od dziś awansujesz z informatora na mojego osobistego asystenta.

Artur zamknął drzwi za plecami Wilczyńskiego. Głęboko westchnął, zdjął buty i poszedł do kuchni, aby zrobić sobie więcej kanapek. W lodówce znalazł butelkę doskonale schłodzonego piwa. Otworzył ją, uruchomił telewizor i usiadł na rozkładanej sofie.

Po raz pierwszy od wielu, wielu dni, było mu dobrze. A wprost nie

mógł się już doczekać chwili, kiedy weźmie prysznic, otuli się szlafrocikiem Anety i położy się spać w jej pościeli, otoczony przez zapach świeżości, ciepło i miękkość.

XII.

W spotkaniu ścisłego, tajnego sztabu kryzysowego uczestniczył komisarz nadinspektor Wacław Gałka, inspektor Wiesław Kulicki, prokurator Karol Płotka, Bożena Kalicka, Lutz Frankenhaimer oraz Andriej Wiktorowicz Marczenko.

Spotkali się późnym wieczorem w gabinecie komisarza, i na wstępie ustalono, że słowa, które padną w trakcie spotkania, nie powinny wyjść na zewnątrz. Z wyjątkiem tych, które miały, czyli komunikatów prasowych, dotyczących Jasia Piłki.

– Od tej pory, jeśli ktokolwiek z was, oprócz pani Bożenki, pojawi się z mediach, osobiście ukręcę jaja – warknął Gałka. – To dotyczy także ciebie, ciebie i ciebie. – Wskazał Płotkę, Marczenkę i Frankenheimera, którzy nawet nie byli pracownikami komendy policji. – Jediną osobą, którą upoważniam do udzielania informacji, jest pani rzecznik, a nasza oficjalna narracja jest taka, że tropimy psychopatycznego zabójcę z piłą. Nigdy, ani przez chwilę, nie było mowy o żadnych wampirach.

Frankenhaimer nerwowo zawiercił się na krześle. Wszyscy spojrzeli na niego znacząco.

– Chciałbym tylko zwrócić uwagę, że to wy przyszlście do mnie i powiedzieliście, że macie problem z wampirem.

– Milcz ścierwo! – ryknął zupełnie pijany Płotka.

– Mogłeś nas wyprowadzić z błędu jakieś dwie, trzy ofiary temu
– powiedział spokojnie Kulicki. – Liczę, że pieniądze, które w międzyczasie przyjąłeś, potraktujemy jako zaliczkę na poczet dalszej współpracy?

– Panowie, bez dygresji – przerwał im Gałka. – Towarzysz... to znaczy Kulicki, stanie na czele grupy uderzeniowej, w skład której wejdzie pan Płotka, pan Marczenko i pan Frankenheimer. Mamy tutaj mieszaną osobliwych zdolności i nietypowych kompetencji. Jasnowidz, łowca wampirów, gliniarz i prokurator. Jeżeli wy czterej nie dacie rady, to już nie wiem, kto da.

W pomieszczeniu zapadła refleksyjna cisza, którą zakłócało tylko chrapanie Karola Płotki.

– Waszym zadaniem będzie przetrząśnięcie podziemi komendy, celem odnalezienia i zneutralizowania ofiary numer cztery. Pytania?

– Czy otrzymamy broń? – odezwał się Marczenko.

– Ten, kto ma uprawnienia, powinien mieć broń – odparł komendant.

– Dziwne, bo Kulicki powinien mieć, a nie ma. Z kolei widziałem, że ten stary fryc...

– Zejdźcie do zbrojowni i weźcie, co potrzebujecie. – Gałka sprawiał wrażenie przemęczonego. Pod jego oczami malowały się głębokie cienie.

– Zajmę się formalnościami. Coś jeszcze?

– Czy dobrze zrozumiałam? – Kalicka podniosła rękę do góry.

– Wydajesz tym kretynom pozwolenie na pobranie broni? Bez żadnych limitów i obostrzeń?

– To jest wojna – odparł komendant. – Czas wytrzeźwieć.

Rzeczniczka skrzywiła się. Odebrała ostatnie zdanie jako osobisty

przytyk do jej osoby.

– Nie tylko ja mam problemy! – Prychnęła. – Czy to wszystko?

– Odmaszerować!

– Nazywam się zbrojmistrz Paweł. I tak się macie do mnie zwracać. Nie „komisarzu”, nie „proszę pana” a właśnie zbrojmistrz Paweł. Bo właśnie sprawianie pieczy nad magazynem oraz jego zawartością, jest najważniejszą rzeczą w moim życiu.

– Dobra Paweł, dosyć już tej szopki! – Kulicki machnął ręką i spróbował wejść przez otwartą kratę.

Zbrojmistrz Paweł zatrzymał go umięśnioną ręką, opartą o futrynę.

– Nie znam żadnego Pawła. Nazywam się zbrojmistrz Paweł. I jeśli komuś nie podobają się moje zasady, zapraszam do robienia karnych pompeczek. – Teraz przyjrzał im się bliżej. – Ale sądząc po średniej wieku, nie powinienem spodziewać się chyba dużego szалу. Zrozumiano? Zapraszam.

Zbrojmistrz usunął imponującą bryłę swego ciała na bok i wpuścił czterech desperatów do środka. Magazyn nie był może imponujący, jeżeli ktoś naoglądał się za dużo filmów, ale dla ludzi o realistycznym podejściu do życia, było w porządku. Na jednej ścianie wisały strzelby i kilka pistoletów maszynowych. Po drugiej stronie była sekcja pistoletów. Część stała w specjalnych stojaczkach, inne leżały z boku, na stoliku. Wyglądało to tak, jakby w każdej wolnej chwili Zbrojmistrz Paweł zajmował się czyszczeniem, przeglądaniem i inwentaryzacją broni.

– Oto moje królestwo. Bierzcie, co wam się podoba. Stary powiedział, że mam wam dać wszystko, co wam się będzie podobało.

– Wszystko? – upewnił się prokurator Płotka, który zawsze marzył o tym, by posiadać broń palną. Niemal od razu rzucił się w stronę strzelb i zdjął z ramy jedną z nich.

– To Imperator. Raczej dla kolegi Niemca.

– Czy to przytyk? – zapytał Frankenheimer.

– Ależ skądże – odparł Zbrojmistrz Paweł, wciskając oręż w ręce doktora – Jeżeli o pana chodzi, od pierwszej chwili wiedziałem... – Sięgnął po inną broń, która na pierwszy rzut oka wyglądała identycznie. – To Invader. Moja osobista modyfikacja Mossberga. Wyczuwam w tobie pokrewną duszę...

Płotka chwycił Invadera w obie ręce. Strzelba była lżejsza niż się spodziewał, ale sprawiała wrażenie bardzo solidnej. Trzymając ją czuł się niezniszczalny. Wypełniało go przekonanie, że oto stał się panem życia i śmierci, człowiekiem decydującym o losie innych, a zarazem o losie całego wszechświata...

– Hello darkness my old friend... – wyszeptał. – Jest cudowna. Idealna w każdym calu.

– Proszę o nią dbać. Jest dla mnie jak córka – Zbrojmistrz pogroził palcem.

– Wróci cała i zdrowa... przysięgam.

– Teraz pan.

Marczenko pokręcił głową z uśmiechem i wyjął ze spodni Makarowa.

– Ja ufam tylko radzieckiej technice.

Frankenheimer skrzywił się kwaśno i splunął na podłogę. W tym czasie inspektor Kulicki kręcił się po zbrojowni i szukał czegoś dla siebie. Zatrzymał się przy pistoletach.

– Inspektorze? – zagadnął Zbrojmistrz Paweł.

– Mam służbowego P99, ale mi zarekwirowano. Kiedyś strzelałem z czegoś takiego. – Wskazał głową rewolwer Gward. – To była dobra broń. Miałem wersję z krótką i z długą lufą. Obie sprawdzały się świetnie na strzelnicy.

– Śmiało, proszę brać.

Kulicki trzęsącą się ręką sięgnął po broń. Czarna, oksydowana stal lśniła, jakby był to fabrycznie nowy egzemplarz. A przecież wyszły one z użycia wiele lat wcześniej. W końcu poczuł w dłoni znajomy dotyk drewnianej okładziny uchwytu. Poczuł, jakby odzyskał coś utraconego przed laty.

– Tak, wezmę tego.

– Proszę bardzo. Wydam wam amunicję. Potrzebujecie czegoś jeszcze? Kamizelek kuloodpornych? Hełmów?

– Nie, to zbędne obciążenie, które będzie nas zwalniać. Będziemy działać w nocy.

– A więc oświetlenie taktyczne? – Zbrojmistrz Pstryknął palcami.

– Strzelby mają możliwość zamontowania latarek na lufie. Tysiąc lumenów chyba wystarczy. Do Gwarda i Makarowa raczej nic nie mogę zaproponować, prócz latarki do ręki. Polecam tradycyjnego Mag-Lite. Od biedy może posłużyć także jako broń obuchowa.

– W porządku, zdamy się na pana – odparł Kulicki.

Wszyscy, poza Marczenką, pobrali pełne kieszenie amunicji.

Żadnych kwitów nie musieli podpisywać, bo byłby to tylko niepotrzebny ślad. Zgodnie z wytycznymi, wydania magazynowe miały trafić bezpośrednio na biurko nadinspektora Gałki, a potem, po zdaniu sprzętu, prosto do niszcarki. Nie istniało żadne logiczne uzasadnienie, by trzymać się procedur w tak niestandardowej sytuacji.

Obwieszeni jak członkowie drużyny antyterrorystycznej, udali się do piwnic gmachu, gdzie znajdowały się legendarne drzwi. Drzwi, których nigdy nie otwierał nikt. Drzwi pełne tajemnic, jak o nich mówił świętej pamięci Modest Matejko, który być może był jedyną osobą, znającą ich sekret.

– To tutaj – powiedział Kulicki.

– No i co frycu? Pewnie będziesz robił za przewodnika, co? – Płotka uniósł Invadera i dźgnął nim Frankenheimera w plecy.

Niemiec skrzywił się boleśnie, jakby wróciły jakieś wspomnienia, i rzucił spojrzenie pełne wyrzutu w stronę Marczenki. Jasnowidz zbliżył się do drzwi, dotknął ich obiema rękami i przyłożył do nich twarz.

– A ten co? – Lutz postanowił przenieść zainteresowanie ze swojej osoby na Andrieja. – Wpuszcza swój byt astralny do tunelu, by sprawdzić co tam się dzieje? Kacapskie ścierwo...

– Nie. Słucham debilu – mruknął Marczenko. – Kompletna cisza.

– A co ma być? Myśleliście, że usłyszycie, jak wampiry grają w Makao? – strofował go Kulicki grzebiąc w kieszeni płaszcza w poszukiwaniu klucza. – Płotka idziesz na przedzie i oświetlasz drogę. Ja idę za tobą, a Marczenko za mną. – Spojrzał na Andrieja. – Tylko, żebyś mi żadnego numeru nie wywinął, zrozumiano?

– Ja? Numeru? To ty jesteś specjalistą od zadawania ciosów w plecy.

– Pochód zamyka Frankenheimer.

– Dlaczego on ma iść z tyłu? – oburzył się prokurator. – Przecież to on jest niby łowcą wampirów.

– Obaj macie latarki. Ktoś musi osłaniać przód, a ktoś tył. Wolę mieć cię przed sobą – odparł Kulicki. – Gałka mnie wyznaczył na przywódcę, więc ta kwestia nie podlega dyskusji. Od teraz jesteśmy na terenie wroga i każdy błąd będzie nas kosztował najwyższą cenę.

– Ku chwale ojczyzny – mruknął Marczenko z ironicznym uśmiechem.

– A słyszałeś kiedyś o firendly fire? – Niemiec przeładował swojego Luger.

– Tak, ale jeśli myślisz o sobie, to byłoby to po prostu fire.

– Dobra, mordy w kubel. Ruszajmy!

Inspektor włożył do zamka stary, dziwaczny klucz. Przez chwilę męczył się z mechanizmem, ale w końcu wszystko weszło na swoje miejsce i drzwi z przeraźliwym jękiem odchyliły się w ich stronę. Z ciemnego wnętrza powiało chłodem i stęchlizną.

Płotka zapalił latarkę i ruszył jako pierwszy.

– Znacie to? Polak, Rusek, Niemiec i diabeł Boruta zatrzymują się u bram piekieł...

– Zamknij się – mruknął Kulicki. – To nie jest odpowiedni moment do żartów. Zwłaszcza, że nie mamy żadnego alkoholu.

– Mów za siebie – zachnął się Marczenko.

Za drzwiami znajdował się niezbyt długi, betonowy korytarz, na końcu którego znajdowały się jeszcze jedne, na szczęście otwarte, drzwi. Dalej było niewielkie pomieszczenie, w którym wyraźnie słychać był szum

wody.

– Według planów, którymi dysponujemy, za tą ścianą jest pomieszczenie, do którego prowadzi odpływ z prosektorium – powiedział inspektor Kulicki. – Jeśli pójdziemy tutaj na prawo, powinniśmy znaleźć przejście.

Płotka oświetlił po kolei wszystkie ściany. Pomieszczenie było zbudowane z betonowych płyt. Ze ścian wisały resztki jakiejś instalacji elektrycznej, ale prawdopodobnie była ona od lat nieaktywna. Tu i ówdzie walały się ślady szczurzej obecności.

Ostrożnie podeszli do końca ściany, by zajrzeć, co kryje się za rogiem. Było tam przejście, z którego dobiegał silniejszy szum. W następnym pomieszczeniu znajdował się kanał, a w prostej linii nad nim, w suficie usytuowany był otwór wylotowy tunelu, który zapewne prowadził do prosektorium

– Widzicie? – Płotka oświetlił najpierw sufit, a później podłogę.
– Wskoczył tedy i od razu wpadł do kanału.

Nie był to główny odpływ ścieków z budynku, a jedynie jakiś boczny tunel, więc woda nie wyglądała na głęboką.

– Ktoś na ochotnika?

– Zachowujemy ustalony szyk. – Kulicki zatrzymał się pod tunelem prowadzącym w górę i zaświecił tam latarką. – Tak, to prosektorium. Kratka jest nadal otwarta. Poznaję sufit.

– Dobrze, pójdę pierwszy – powiedział Płotka i ruszył w stronę odpływu. – Ale wiedzcie, że nie uważam was w tej chwili za prawdziwych mężczyzn.

Będąc już na dole, uniósł lufę Mossberga do policzka i oświetlając

sobie w tej sposób drogę, poruszał się powoli, w głąb tunelu. Za plecami słyszał kroki pozostałych.

– Gdyby pojawiły się jakieś odnogi, informuj nas przedtem – zakomenderował Kulicki. – Warto byłoby takie odnogi sprawdzać, by niczego nie pominąć.

– Utkniemy tu na cały tydzień – zawołał z tyłu Marczenko.

– To może byś tak użył tych swoich pieprzonych supermocy i wskazał nam właściwą drogę? – Inspektor coraz bardziej żałował, że nie wziął piersiówki. Była mu teraz potrzebna, być może bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. – Byłoby o wiele łatwiej, gdybyś powiedział, gdzie mamy go szukać!

– To nie jest takie proste – odparł Andriej. – Nie tak proste, jak twoja praca. Nie wystarczy kręcić się po mieście, pić na umór i obrażać wszystkich wokół...

– Panowie? – Płotka machnął im ręką. – Coś słyszałem.

– To szczur – powiedział Marczenko. – Idź dalej i nic się nie przejmuj. Jeżeli wyczuje jakieś zakłócenia aury, ostrzeżę cię.

– Wampiry nie istnieją – powiedział Frankenheimer, być może po to, by dodać sobie otuchy.

Tunel nie miał odnóg. Przez jakieś sto metrów szli prosto, w końcu dotarli do jakiejś ważniejszej żyły. Tutaj śmierdziało już zwykłymi, miastowymi ściekami. Jednak szczęśliwie, po obu stronach strugi nieczystości znajdował się betonowy chodnik, szerokości mniej więcej czterdziestu centymetrów.

Płotka z lekką niepewnością oświetlił cały tunel. Oprócz smrodu, pojawiło się także echo.

– Gdzie teraz? – zapytał prokurator.

– Na logikę, z nurtem – odparł Kulicki. – Gdybym ja był wampirem i próbował skądś uciec przez kanały, szedłbym z nurtem. W końcu będziemy musieli gdzieś dotrzeć.

– Tam są drzwi – Frankenheimer oświetlił swoją latarką metalowe drzwi z których farba odłaziła całymi płatami. Był tam duży napis szwabachą, który Niemiec odczytał z łatwością. – U-Bahn... Znaczy się metro.

– Przecież Wrocław nie ma metra – Płotka podszedł do drzwi i spróbował je otworzyć. Nie stawiały oporu, ale na ziemi widać było ślady odsuwanego gruzu. – Ktoś musiał je niedawno otwierać.

– Dobra, sprawdzimy to – Kulicki wszedł pierwszy. Zaczynał mieć dość i chciał jak najszybciej załatwić tę sprawę. – Nie stójcie tak.

Marczenko zatrzymał się w progu i złapał się za skroń.

– Co jest? – zagadnął go Płotka. – Coś czujesz?

Andriej wahał się przez chwilę. Widać było po nim, że nie jest pewien swoich odczuć. Zamknął oczy i zaczął masować skroń.

– Co za farsa – mruknął Frankenheimer wymijając ich. – Komuch wierzący w duchy. Co będzie dalej? Zagorzały myśliwy ministrem środowiska?

– Idziecie? – Inspektor był już kilkanaście metrów dalej. – Chodźcie, chodźcie! Bo się pogubimy. Ostatni niech zasunie drzwi i postawi jakiś kamyk, żebyśmy później mogli sprawdzić, czy drzwi były odsuwane.

Tym razem pochód zamykał Płotka. Zasunął drzwi, wybrał bryłkę gruzu i ustawił ją tak, by nie dało się jej nie przesunąć. Po chwili poczuł przejmujący chłód. Wsluchiwał się w szum korytarzy. Miał wrażenie, że

z oddali dochodziły do niego jakieś nieokreślone odgłosy. Szybko jednak zreflektował się, że słyszy także oddalające się kroki Fankenhaimera i Marczenki. Poderwał się z kolan i ruszył biegiem w kierunku, w którym poszli tamci.

XIII.

Mogliński wyspał się jak nigdy. Szlafrok Anety był na niego przyciasny, więc w nocy pozbył się go i teraz ocierał się o pościel, rozkoszując się myślą, że jeszcze kilka dni temu robiła to dosyć atrakcyjna i całkiem młoda dziewczyna.

Po dwudziestu minutach wylegiwania się, wstał i poszedł do kuchni, by przyrządzić sobie jedną z tych fikuśnych kawek z ekspresu na kapsułki. Z początku nie mógł sobie poradzić, ale w końcu rozgryzł mechanizm. Z kawą udał się najpierw na sedes, a później przed telewizor, zahaczając jeszcze po drodze o szafkę, która zgodnie z jego intuicją, zawierała barek. Zawartość rzeczzonego mebla nie była może szczytem marzeń faceta, ale znalazł się tam jakiś rum, który mógł wzbogacić smak doskonałej, aromatycznej kawy. Dolał kilka kropel i skosztował. Po dłuższym namyśle wziął całą butelkę i zakopał się w pościeli.

– Żyć nie umierać – powiedział głośno. – Tak chyba właśnie wygląda prawdziwe szczęście?

Lubił mówić do siebie głośno, gdy był sam w domu. Zwłaszcza podczas długich, mroźnych wieczorów, kiedy w jego domu nie działały żadne urządzenia elektryczne i nie było do kogo się odezwać. Jakoś tak mu zostało, i teraz, pomimo włączonego telewizora, postanowił podtrzymać

ten zwyczaj.

– Trochę się zregeneruję, później może zamówię jakąś pizzę, a potem zabieram się ostro do roboty...

Zaczął od nadrobienia zaległości w swoich sprawach. Trzeba było obskoczyć kilka skrzynek mailowych, kilkanaście blogów, oraz najważniejsze fora dyskusyjne, na których wcześniej pozostawił wątek humanoida znad Odry. Ciekaw był, czy ktokolwiek, oprócz hejtera ukrywającego się pod pseudonimem MrNobody, zareagował na jego posty.

Rezultat był mocno rozczarowujący. Nie wydarzyło się nic. Wszyscy kompletnie zignorowali temat. Ograniczył się zatem do odpowiedzenia na wszystkie komentarze na swoich blogach, a później zjadł śniadanie składające się z pieczywa tostowego i masła orzechowego, a następnie zabrał się do przeglądania starych albumów ze zdjęciami, na których mógł prześledzić całe dotychczasowe życie Anety, mniej więcej do czasów studenckich. Później fotografia cyfrowa stała się tak powszechna, że albumy zastąpiono folderami na dyskach.

Kiedy zabrał się do czytania poczty, stwierdził, że jest już głodny i zadzwonił po pizzę. Miał jeszcze trochę pieniędzy, ale znalazł słoik z oszczędnościami Anety i postanowił korzystać z tego źródła finansowania. Oczywiście wszystkie wydatki skrzętnie spisywał na kartce, z zamiarem oddania, gdy tylko dziewczyna się odnajdzie i upomni o swoje pieniądze.

Zanim pojawił się gość z pizzą, dokonał jeszcze raz przeglądu bielizny. Kilka rzeczy nawet przymierzył, ponieważ nie miał przy sobie żadnej bielizny na zmianę i rozważał pożyczenie sobie jakichś gacek. W końcu nikt by go nie zobaczył, a uznał, że skoro babska dupa

statystycznie jest większa niż chłopska, to gatki powinny być ok. Niestety okazały się niewygodne. Jakies takie wpijające się z każdej strony, mało elastyczne. Paradoksalnie najmniej inwazyjne okazały się koronkowe stringi, które były bardzo delikatne i miłe w dotyku. Został w nich, ale żeby nie czuć się głupio, ubrał też popielaty dres Anety, w którym wyglądał jak w legginsach.

Pizza przyszła, gdy kończył się rum, i Artur zamierzał zabrać się za poważną pracę. Z historii korespondencji dowiedział się, że dziewczyna nazywała się Aneta Kotejuk. Pisała głównie do Grzegorza „Thorina” Wilczyńskiego i jego matki, czyli jej ciotki. Utrzymywała także sporadyczne kontakty z dwoma koleżankami ze studiów, byłym chłopakiem oraz z siostrą. Ale z siostrą w sumie najmniej. W gruncie rzeczy najcieplejsze relacje łączyły ją z matką Thorina. I pewnie dlatego chłopak tak bardzo zaangażował się w jej poszukiwanie.

Około trzynastej skończyła się pizza i trunki. Mogliński zrobił sobie przerwę w czytaniu korespondencji Anety i wrócił do przeszukiwania mieszkania. Odnalazł trochę kosztowności, głównie pod postacią złotej biżuterii. Zdecydował się zatem wyjść na zakupy. Sprawdził w internecie, gdzie znajduje się najbliższy lombard, spakował złoto, ubrał się i wyszedł. Załatwienie wszystkiego poszło mu zaskakująco szybko. Wracając wstąpił do supermarketu, kupił zapas mrożonej pizzy oraz alkoholu na kilka dni. Wszystkie paragony skrzętnie zbierał, by załączyć je do notesu wydatków operacyjnych.

Zdawał sobie sprawę z tego, że na pierwszy rzut oka mogło to wyglądać jak imprezowanie na cudzy koszt. Tej części swojej pracy nie lubił najbardziej. Jednak wiedział, że pewna żmudna robota organiczna

musi zostać wykonana, by dokopać się informacji, które mogłyby się okazać kluczowymi dla sprawy.

Gdy Mogliński na powrót znalazł się w mieszkaniu Anety, zadzwonił Neo.

– Co tam?

– W sumie niewiele, ale może warto, żebyś wiedział – odezwał się chłopak. – Sprawdziłem tego Garlikowskiego w CEIDG. Firmę ma zarejestrowaną w miejscowości Brzeg Dolny. I teraz najlepsze. Zgaduj!

– Co mam zgadywać? Co jest najlepsze? Nie mam kurwa zielonego pojęcia.

– No to słuchaj. Brzeg Dolny to kolejna miejscowość w dół Odry, za Urazem.

– Urazem? – Mogliński wciąż jeszcze był nieco pijany, a cały dzień pracy przy komputerze przyćmił jego zdolności analityczne.

– Mówiłem o tym ostatnio. W 1998 znaleziono tam trupa...

– A tak, pamiętam.

– No i okazuje się, że Garlikowski mieszka bliżej Urazu, niż Wrocławia. – Neo wyraźnie się rozemocjonował, bo zaczynał mówić niewyraźnie. – Może to być przypadek, ale jeżeli chcesz poznać moją opinię, to to nie jest żaden przypadek! Patryk Garlikowski musi siedzieć w tym po same uszy...

– No dobra... Prześlij mi SMSem adres z CEIDG. Postaram się tam pojechać, jak tylko będę mógł i rozejrzę się na miejscu. To wszystko?

– Na razie tak. Ale chcę teraz posprawdzać wszystkie jego koneksje w portalach społecznościowych. Ma kilka kont i sądzę, że będzie to prawdziwa kopalnia wiedzy.

– To rozumiem. Zuch chłopak. Awansujesz na mojego osobistego asystenta...

Mogliński osunął się na kanapę, a telefon wypadł mu z dłoni. Pograżył się w głębokim, pijackim śnie, z którego ocknął się dopiero po godzinie osiemnastej, kiedy za oknami było już całkiem ciemno.

– Jasna cholera... – Spojrzał na zegarek. – Przemęczenie. Nierozłączny towarzysz pracy operacyjnej.

Wstał, wrzucił do piekarnika mrożoną pizzę i otworzył sobie piwo. Dla oszczędności brał najtańsze, puszkowane. Nie zamierzał się przesadnie rozpieszczać na robocie, bo w końcu nie o to w tym wszystkim chodziło.

Przysiadł do komputera, ale nie minęła nawet minuta, gdy znów odezwał się telefon. Tym razem był to Thorin Dębowa Tarcza.

– Tak?

– Jak ci idzie? – Głos Wilczyńskiego zdradzał zdenerwowanie.

– Spokojnie Thorin. Bez obrazy, ale to nie to samo, co przeinstalowanie Windowsa – odparł Mogliński. – Ciągłe jeszcze gromadzę informacje. Nie dotarłem nawet to etapu analizy. Pali się czy co?

– Moja matka chce iść na policję i zgłosić zaginięcie.

Artur zasępił się. Wstał od biurka i zaczął przechadzać się po pokoju, myśląc gorączkowo.

– Jesteś w stanie jakoś ją powstrzymać? Nie wiem... Powiedzieć, że dziewczyna wyjechała, i że dostałeś od niej jakiś znak życia?

– Oszalałeś? Mam kłamać w takiej sprawie? – Thorin prawie się zapluł ze złości. – Jeżeli później znajdą ją martwą i będą mieli odnotowane, że ja powiedziałem, że ona dała mi znak życia, to w zasadzie kryminał! Cześć pieśni! Bankowo!

Dziennikarz dopił połowę piwa za jednym razem w nadziei na orzeźwienie i natchnienie. Nie dało to nic poza tym, że podszedł mu do góry gaz i prawie beknął głośno do słuchawki. Zdołał jednak szczęśliwie stłumić odruch.

– Pomyślmy spokojnie. Uspokój się Thorin. – Artur próbował grać na czas. – Rozumiem, że nie ma możliwości, byś przekonał ją, że wszystko jest w jak najlepszym porządku? Że wyjechała do koleżanki na wieś, czy coś w tym stylu?

– Nie. Ona nie jest głupia! – informator prawie płakał.

– A gdybyś mi dał jej numer telefonu?

– Nawet o tym nie myśl! Ona jest mocno zdeterminowana. Zrobi to, więc módl się, żeby znaleźli Anetę żywą!

– Czyżbym słyszał groźbę?

Sytuacja stawała się poważna. Poważniejsza, niż jakakolwiek przedtem. Dlatego zdecydował się na ostateczność. Czyli blef, kłamstwo, blagę.

– A wiesz, że dziewczyna z filmu, który mi sprzedales, nie żyje?

– Co takiego?

Może nie był to najlepszy sposób na wyjście z tej sytuacji, jednak Mogliński nie miał lepszych pomysłów. Istniało pewne ryzyko, że Thorin nie nabierze się, bo przecież mógł mimo wszystko naprawdę znać dziewczynę z filmu, jednak Artur obstawiał, że jest jednak zupełnie inaczej, i że z tym filmem Thorin go zwyczajnie oszukał.

– Kiedy robiłem rozeznanie w tym temacie, dotarłem do świadków. Nie dość, że dziewczyna nie żyje, to jeszcze cała sprawa jest dość mocno powiązana z Jasiem Piłką. Jeśli twoja stara pójdzie na gliny, sam będziesz

musiał się gęsto tłumaczyć, chociażby z tego filmu. A jeszcze jesteś powiązany z Anetą...

– To co mam do cholery robić? – Thorin zapytał łkając i pociągając nosem.

– Masz jakieś prochy nasenne w domu? Mógłbyś jej podać, a później utrzymywać w stanie snu...

– Nie mam. One są na receptę.

– Pozostaje dać jej przez łeb albo po prostu zamknąć w mieszkaniu i nie wypuszczać, dopóki sprawa nie zostanie rozwiązana.

Thorin milczał przez dłuższą chwilę. Najwyraźniej bił się z myślami.

– Dobra... Coś wymyślę. Ale ty przyłóż się do tej swojej roboty bardziej, dobra?

Jego bezczelność przekroczyła wszelkie normy, więc Artur pożegnał się tylko i rozłączył. Zaczynało się robić niebezpiecznie. Ale w sumie przywykł do niebezpieczeństwa. Otworzył kolejną puszkę piwa i zapalił papierosa. W domu nie było ani jednej popielniczki. Pewnie Aneta nie paliła. Mogliński wziął jakiś tandetny fajans z szafki i tam zaczął strzepywać popiół.

– Jak można coś takiego trzymać w domu? – mruknął z pogardą, wpatrując się w filiżankę. – No, ale dobra... Mam teraz poważniejsze problemy.

W przyprawie paniki postanowił zrobić to, co poradził mu Thorin Dębowa Tarcza – przyłożyć się do swojej roboty bardziej.

Postawił zgrzewkę piwa koło biurka, by nie latać co chwilę do lodówki. Odpalił pocztę i facebooka. Przed sobą położył zeszyt, w którym spisywał imiona i nazwiska osób, z którymi korespondowała częściej.

Następnie wchodził na portal społecznościowy, wyszukiwał te osoby wśród znajomych, sprawdzał zadeklarowaną miejscowość, historię korespondencji i zdjęcia.

W pewnym momencie otworzyło mu się okienko chaty od osoby wpisanej jako Mateusz Es. Artur zajrzał do zeszytu i szybko skojarzył to z Mateuszem Szymańskim, byłym chłopakiem Anety. Postanowił zabawić się trochę i przy okazji spróbować zdobyć jakieś informacje.

– Hejka – napisał Es.

– Hejka – wklepał Artur. W historii korespondencji widział, że Aneta często używała tej kolokwialnej formy powitania. – Co tam słyszeć?

– Sprawdzam fejsbuka i widzę, że jesteś – odpisał były chłopak.

Zapowiadało się ciekawie. Mogliński przez chwilę rozważał rozwinięcie rozmowy w kierunku wirtualnego seksu. Byłby ubaw po pachy. Szybko jednak przypomniał sobie, że dziewczyna faktycznie może być już martwa.

– Kim jesteś? – napisał po chwili Mateusz Es.

Artur odczytał to i strapił się. Najwyraźniej chłopak prowadził jakąś gierkę. A może w ostatnich dniach pokłócili się o coś. Jeśli tak, to wątek ten mógł wymagać dokładniejszego sprawdzenia.

– No jak to kim? Znasz mnie przecież. To ja, Aneta – odpisał.

– Nie prawda. – Mogliński czytał kolejne słowa pojawiające się w okienku czatu z rosnącym przerażeniem. – Ja jestem Aneta!

W tej chwili krew zastygła mu w żyłach. Wpadł w panikę. Zasłonił palcem kamerkę i skłął się w duchu, że nie zrobił tego wcześniej. Wątpił, żeby była uruchomiona, bo światelko się nie świeciło, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Uciął kawałek taśmy, która walała się na biurku i zakleił „oko

Saurona”. Potem niemalże wyrwał kabel zasilający, lecz laptop działał nadal.

– Cholera, czy tylko moja bateria zdechła?

Obrócił komputer, wyjął akumulator. Później zaczął wycierać klawiaturę ręcznikiem papierowym.

– To na nic! Wszystko na nic! Przecież ten cholerny świr Thorin mnie tu przyprowadził!

Pobiegł do kuchni po worek na śmieci. Zaczął zbierać puszki po piwie i niedopałki, które w roztargnieniu rzucał na podłogę.

– Ja pierdolę, ja pierdolę... Ona żyje!

Ubrał się, zaścielił łóżko i dokładnie przejrzał całe mieszkanie pod kątem ewentualnych śladów jego bytności. Najważniejszy był notes z notatkami i rzeczy osobiste. To wszystko miał już przygotowane w reklamówce przy drzwiach.

Nagle jakby poraził go piorun.

– DNA!!!

Rzucił się do stosu pomiętych chusteczek higienicznych, leżącego koło łóżka. Nie bacząc na fakt, że niektóre z nich wciąż jeszcze były wilgotne, zagarnął je do worka na śmieci. Potem poszedł do łazienki i dokładnie wyszorował wannę. Z odpływu powybierał włosy i je także wrzucił do śmieci. Po namyśle wrzucił do worka także szczoteczkę do zębów Anety. Skorzystał z niej kilka razy, choć wydawało mu się to nieco odrażające. Później wszystkie powierzchnie płaskie przejechał mokrymi ściereczkami kuchennymi.

Wątpił, by udało mu się wyczyścić wszystkie ślady, ale wiedział też, że sprawy nie da się całkowicie zatuszować. O wszystkim powie jej Thorin

Dębowa Tarcza. Mogliński chciał, aby dziewczyna wiedziała możliwie jak najmniej o tym, co robił w jej mieszkaniu. A szczególnie o tym, co wyprawiał z jej bielizną.

Pozostała jeszcze kwestia najważniejsza – co dalej? Chyba tak do końca nie dopuszczał do siebie myśli, że ona wróci. Nie życzył jej źle. Wręcz przeciwnie, miał nadzieję, że ją jeszcze zobaczy, ale chyba całkowicie wyparł ze świadomości ewentualne konsekwencje pomieszkiwania w cudzym mieszkaniu.

– Spreparuję swoją śmierć! – zawołał.

Miał to być okrzyk rozpacz, ale bardzo szybko zdecydował, że to jedyne, rozsądne wyjście z sytuacji. W sprawie Anety Kotejuk wyrządził niechcący sporo złego. Odradzał jej pójście na policję i przyznanie się do faktycznie odegranej roli w sprawie morderstwa Zawadzkiego. Później, kiedy już zaginęła, odradzał Wilczyńskiemu pójście na policję. Gdy zaginięcie Kotejuk chciała zgłosić jej ciotka, proponował uspienie jej lub zamknięcie w szafie...

– Cześć pieśni... – Przypomniały mu się słowa Thorina. – To jest kurwa koniec! Ale zjechałem!

Wyjął z telefonu kartę SIM i przełamał ją. Chciał wrzucić kartę i telefon do worka ze śmieciami, ale szybko uzmysłowił sobie, że jeśli policja znajdzie worek, będzie go miała na tacy, ze wszystkimi dowodami obecności w mieszkaniu Kotejuk. Schował więc telefon i kartę do kieszeni.

Klucz od mieszkania zostawił w drzwiach po wewnętrznej stronie. Drzwi nie zamknął w nadziei, że ktoś po nim jeszcze włamie się do mieszkania i pozaciera ślady. Wówczas część winy mogłaby spaść na

włamywacza.

Zbiegł szybko po schodach starając się, by nie zostać zauważonym przez sąsiadów. Przy okazji przypomniał sobie, że kiedy wyszedł po zakupy, uciął sobie rozmowę z jakimś starszym facetem.

– Szlag by to!

Chyba nawet powiedział mu, że pomieszkuje u Kotejuk na czas jej nieobecności. Świadek opisze go bez trudu. Będą mieli rysopis, pomyślał z przerażeniem.

Wybiegł z bramy i ruszył przed siebie. Dopiero na sąsiednim osiedlu wyrzucił śmieci. Ale nie wszystkie. Część wysypał do jednego kubła, a resztę pół kilometra dalej, do innego. Kartę SIM wyrzucił także do dwóch różnych koszów. Telefon rozdeptał i wyrzucił do rowu ze ściekami. Potem usiadł na ławce i przeliczył wszystkie pieniądze, które miał. Było tego grubo ponad sto pięćdziesiąt złotych. Uznał, że najrozsądniej byłoby wrócić na swoje osiedle i spróbować zatankować auto. Mógłby opuścić Wrocław na jakiś czas i pojechać na przykład do Urazu i Brzegu Dolnego, żeby zbadać ostatnie tropy.

Pomyślał, że oficjalnie będzie uznany za zaginionego. Znajomi pewnie pomyślą, że został porwany przez tajne służby. Neo i Thorin szybko skojarzą jego zniknięcie ze sprawą Jasia Piłki. Idealnie byłoby podrzucić dowód osobisty jakiemuś truposzowi, żeby pojawił się choćby pojedynczy wątek sugerujący śmierć. Ale skąd wziąć truposza? Przecież nie przewidzi kolejnego morderstwa...

XIV.

Aneta nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła właśnie na facebooku.

– Ktoś włamał się na moje konto!

– Pewnie pomyliłaś profile.

– Mateusz, byłam na twoim profilu. Pisałam do siebie i sama sobie odpisywałam!

Była pewna, że to sprawka Ryszarda, jej szefa. Być może przyszedł do jej domu szukać dowodów, albo dopaść ją.

– Kiedy zapytałam „kim jesteś”, ten ktoś wylogował się i zniknął! Ktoś jest w moim domu i uruchomił mój komputer!

Mateusz podszedł bliżej i położył jej rękę na ramieniu.

– Rozumiem, że ostatnio miałaś cięższe przejścia, ale to już chyba lekka paranoja.

– Zobacz, mogę ci pokazać archiwum czatu. Spójrz. – Otworzyła listę wiadomości i wyświetliła ostatnią wymianę zdań z samą sobą. – Widzisz? Na moje pytanie odpisał: „No jak to kim? Znasz mnie przecież. To ja, Aneta”. Przywidzenie? Masz tutaj namacalny dowód. Ktoś jest w moim domu!

– W takim razie zadzwońmy na Policję i powiedzmy, że masz podejrzenie, że ktoś się włamał do twojego mieszkania.

– Żartujesz? Przecież mówiłam ci, jak wygląda moja sytuacja! Policja pewnie mnie szuka! – Dziewczyna zaczęła płakać.

Mateusz usiadł przy niej, objął ją ręką i przytulił.

– Słuchaj, jestem ci bardzo wdzięczna za to, że pozwoliłeś mi się u siebie zatrzymać na parę dni – zmieniła temat – ale pojedźmy tam

i sprawdźmy. Sądzę, że ten ktoś się przestraszył i uciekł, ale chciałabym zabrać kilka rzeczy. Gdybym mogła się po ludzku spakować, przeniosłabym się do jakiegoś hostelu i nie siedziałabym ci na głowie.

– To nie problem, ale w porządku. Jak sobie życzysz.

Narzucili na siebie kurtki, ubrali buty i wyszli z mieszkania. Po tym, jak się rozstali, Mateusz nieszczęśliwie znalazł dobrze płatną posadę i otrzymał z pracy nowiutkiego Mercedesa, na którego teraz mógł rwać łatwe i naiwne panienki. Aneta lubiła facetów z dobrymi samochodami, bo świadczyło to o klasie mężczyzny, ale w przypadku Mateusza widziała, że jest to tylko licha atrapa. W głębi duszy był nadal tym samym burakiem, co dawniej. A wóz nawet nie był jego. Jediną jasną stroną sytuacji był fakt, że chcąc jej zaimponować, Mateusz zgodził się od razu podjechać do jej mieszkania.

– Dla mnie to żaden kłopot, że u mnie mieszkasz – powiedział, gdy już jechali.

Wóz toczył się gładko i komfortowo, jak poduszkowiec, a jego wyposażenie sprawiało, że Aneta czuła się, jak w jakimś statku kosmicznym.

– To dla mnie bardzo niezręczna sytuacja – odparła. – Wolałabym jednak hostel. Może za parę dni będę mogła wrócić do domu. Może uda mi się jakoś nawiązać kontakt z tym Moglińskim.

– Jak tam sobie chcesz. Wiesz, że do mnie zawsze możesz zadzwonić.

– Jasne, ale ty masz swoje życie i swoje problemy. Po co ci moje?

Spojrzał na nią i otarł jej łzę z policzka. Później przez dłuższą chwilę milczeli, wsłuchani w muzykę sączącą się z radia.

– No dobra... – powiedział w końcu Mateusz. – Chyba jesteśmy na miejscu. Więc to tutaj teraz mieszkasz... – Spojrzał z niesmakiem na wysoki blok z wielkiej płyty.

– Tak, tu.

– Nie wiem, czy mogę zostawić tu wóz. Okolica nie wygląda na bezpieczną. – chłopak rozejrzał się nerwowo. – Kradną auta?

– Daj spokój. Będziemy tu nie dłużej, niż dziesięć minut. – Wysiadła i ruszyła w stronę bramy.

W ciasnej windzie poczuła pewną niezręczność, która prześladowała ją od chwili, gdy musiała zadzwonić do Mateusza i poprosić o przenocowanie. Z tej odległości doskonale czuła zapach jego drogich perfum. Skarciła się w myślach, że zwróciła na coś takiego uwagę, ale zaraz potem, nie wiadomo skąd, pojawiła się refleksja, że jednak Mateusz wyrobił się trochę przez te dwa lata.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział i ustąpił jej drogi do wyjścia.

Drzwi były otwarte. To, co Aneta zobaczyła w środku, wprawiło ją w przerażenie i odebrało mowę. Jej przypuszczenia potwierdziły się: mieszkanie wyglądało, jakby ktoś się włamał i zrobił bardzo dokładną rewizję.

– O Boże! – Cofnęła się o krok.

– A więc jednak?

– Spójrz tylko! – Pchnęła go do przodu. – Wszystko rozpieprzone! Wygląda jak po wojnie! O Boże!

Wszystkie rzeczy z szafek i szuflad wyrzucone były na podłogę. Na łóżku znajdował się wielki barłóg z pościeli i jej bielizny, na co od razu zwróciła uwagę.

– O Boże! Ktoś tu spał!

– Nie tylko spał. – Mateusz wskazał kilka pomiętych chusteczek higienicznych, wetkniętych w pościel.

– Fuuujj!!!

Dalej było tylko gorzej. Na wykładzinie było sporo wypalonych dziur od papierosów. Tu i ówdzie znajdowała się cuchnąca plama rozlanego piwa. Jakaś pusta puszka stała na parapecie. W kilku miejscach leżały niedojedzone kromki chleba tostowego z jakąś mazią, chyba masłem orzechowym, choć Aneta nie przypomiwała sobie, aby kiedykolwiek kupowała masło orzechowe.

Najgorsze jednak czekało na nią w kuchni – na stole stała filiżanka Rosenthala, z której włamywacz najwyraźniej zrobił sobie popielniczkę. To zabolalo ją najbardziej, chociaż nie chciała tego po sobie pokazać, bo niestety filiżanka była prezentem od Mateusza. Trzymała ją nie tyle przez sentyment, co po prostu przez miłość do dobrej, ekskluzywnej porcelany.

– Jeeeezzuuu... – jęknęła z odrazą.

– Widzę, włamywacz podrzucił ci coś.

Aneta spojrzała na Mateusza, który wymachiwał do niej czerwonym, gumowym członkiem.

– Ttak... podrzucił. To nie moje!

Chłopak odrzucił przedmiot z lekkim obrzydzeniem i poszedł umyć ręce.

– Wooow!!! – dobiegło po chwili z łazienki. – Zapomniał też spuścić wodę!

Dziewczynie zrobiło się niedobrze. Chciała wyjść natychmiast, zostawić to wszystko i już nigdy nie wracać do tego miejsca. Czuła, że jest

ono brudne, skażone i „zahivione”. Brzydziła się dotykać czegokolwiek, choć wiedziała, że niestety musi.

– Tak na pierwszy rzut oka – powiedział Mateusz wychodząc z toalety – czy coś zginęło?

– Nie widzę słoika z drobniakami. Miałam też tutaj taką szkatułkę na biżuterię, ale to wszystko były drobiazgi. – Sięgnęła po „Dumę i uprzedzenie” Jane Austen i wyjęła z książki gruby plik banknotów. – Na szczęście najważniejszego nie znaleźli.

– Dobra kryjówka. Chyba nikt by tam nie szukał. Zrobię dokumentację.

Wyjął najnowszy model smartfona i zaczął po kolei fotografować wszystkie miejsca, noszące oznaki działania włamywacza. Gdy zatrzymał się na gumowym członku, Aneta chwyciła go za ramię.

– Co robisz? To nie moje!

– Może i nie twoje, ale udokumentować trzeba. – Puścił jej oczko.

– Jak myślisz, kto mógł to zrobić?

– Naprawdę nie mam pojęcia – skłamała.

Dobrze wiedziała, kto to zrobił. Ryszard lub ktoś najęty przez niego. Komunikat był jasny i czytelny: „jesteś nasza i zrobimy z tobą co tylko zechcemy suko”. Sądząc po śladach, być może nie była to jedna osoba, a kilka. Może czekali tu na nią kilka dni, a kiedy w końcu się znudzili, odeszli. I pewnie to któryś z nich uruchomił komputer i wszedł na jej facebookowy profil, pomyślała.

– Naprawdę nie wiesz? – spytał Mateusz. – Może to ma jakiś związek z tą sprawą, która zaprowadziła cię prosto w me ramiona? – roześmiał się.

Dziewczyna zaczynała żałować, że odrzuciła propozycję Patryka Garlikowskiego. To on zasugerował jej, by się ukryła i zaoferował w tym celu swoje mieszkanie. Ona odrzuciła jego propozycję, ponieważ przerażał ją. Ale potem uznała, że zniknięcie to faktycznie dobry pomysł. Niestety, jedyną osobą, jaka przyszła jej do głowy, i która mogłaby pomóc, był Mateusz. Tylko u niego nikt by jej nie szukał, bo niby po co? I rzeczywiście – skrytka u Mateusza okazała się dobra, bo, jak dotąd, nikt jej nie znalazł. Teraz jednak musiała wziąć się w garść i zniknąć tak naprawdę. Później jakoś się to wszystko odkręci.

Pomyślała, że może powinna skontaktować się z Wiesławem Kulickim i szczerze z nim porozmawiać. Dorwanie szajki Ryszarda pewnie będzie ważniejsze, niż wypominanie jej jakiejś niejednoznacznej rozmowy z Garlikowskim.

– Chodźmy stąd – powiedziała.

– Wzięłaś wszystko, czego potrzebujesz?

– Wszystko, co jeszcze się do czegoś nadaje. Pieniądze wystarczą mi na jakiś czas.

Nagle dostrzegła klucz w drzwiach.

– Popatrz!

– Klucz? Kto miał klucz do twojego mieszkania? – spytał Mateusz.

– Pani Kluzowa – odparła Aneta. – Ale wątpię, żeby ona...

– Warto zapytać.

Dziewczyna zapukała do sąsiednich drzwi. W mieszkaniu rozległo się szczekanie psa, jakieś wrzaski i głośne przekleństwa. Po chwili drzwi otworzyły się, a w szparze, nad łańcuchem, ukazała się nieprzyjemna twarz kobiety.

– O... Szukali pani! – powiedziała od razu ochrypłym, męskim głosem.

– Kto szukał? – zapytała Aneta.

– Policja! Tak powiedzieli. Dwóch ich było. No to dałam im klucz.

– Bardzo dziękuję. – Dziewczyna zaperzyła się i ruszyła schodami w dół.

Mateusz ruszył za nią.

– Zaczekaj! Podwieźć cię gdzieś?

– Możesz mnie podrzucić w okolice centrum – odparła pociągając nosem.

Teraz dopiero dostrzegł, że dziewczyna była zalana łzami. Chciał ją przytulić, ale odepchnęła go.

– To wszystko przez takich jak ty! – krzyknęła.

– Jak ja?

– Tak! Wszystko zaczęło się od jednego dupka i kończy na drugim!

A po drodze było jeszcze kilku innych dupków! I wszystkim wam tylko jedno w głowie.

– Zaczekaj, Aneta!

Ale już nie czekała. Wybiegła z bramy i ruszyła w mrok, zostawiając za sobą Mercedesa zaparkowanego na środku chodnika, przed samymi schodami. Biegła tak długo, aż przestała słyszeć krzyki Mateusza. Nie gonił jej. Bał się zostawić samochód. I dobrze, pomyślała. Miała pieniądze i uwolniła się od tego zdrańca.

Teraz pozostało jej tylko zaszyć się w jakimś bezpiecznym miejscu i skontaktować się z inspektorem Kulickim. Jeśli zadzwoni do niego i rozmowa pójdzie nie po jej myśli, zawsze będzie mogła się spakować

i szybko uciec gdzieś indziej. Na pewno dało się to jakoś sensownie rozegrać...

Późnym wieczorem weszła do hostelu mieszczącego się w okolicach centrum. Wynajęła pokój jednoosobowy, płacąc z góry za tygodniowy pobyt. Niestety musiała zostawić dane, co później mogło się obrócić przeciw niej, szczególnie w sytuacji, gdyby jednak musiała uciekać. Ale nie było innej rady.

Udała się prosto do pokoju, od razu rozebrała się i weszła pod prysznic, spod którego nie wychodziła przez bite czterdzieści pięć minut. Po wizycie w swoim mieszkaniu sama czuła się skażona i długo szorowała się mydłem, by poczuć się choć trochę czysciej.

Cały jej dobytek poszedł w cholerę. Nie miała nawet bielizny na zmianę. Zdecydowała, że nie będzie opuszczała hostelu tego dnia i dopiero rankiem skoczy na zakupy spożywcze i garderobiane.

W pokoju był telewizor. Położyła się na łóżku i włączyła go. Mówili akurat o Wrocławiu. Pokazywali zdjęcia ofiar Jasia Piłki. Pierwszą była starsza kobieta. Drugi był Andrzej. Trzecia zabita okazała się młodą, atrakcyjną dziewczyną. Aneta od razu zwróciła uwagę na fakt, że nie pojawiała się żadna cecha wspólna w doborze ofiar. A nawet jeśli przyjąć, że mordercą był Garlikowski, to w jaki sposób mogła mu się narazić starsza, normalnie wyglądająca kobieta? Bo młodą dziewczynę, to jeszcze mógł chcieć zgwałcić.

Długo nie mogła zasnąć. Poczucie zagrożenia nie opuszczało ją ani

na chwilę. Choć wiedziała, że nikt nie mógł znać miejsca jej pobytu, prześladował ją irracjonalny lęk, że za chwilę ktoś zapuka do drzwi, albo że ujrzy za oknem twarz Jasia Piłki. Zasłoniła więc okna, przygasiła światła, zamknęła drzwi na klucz i zastawiła je szafką nocną. Następnie długo leżała i wpatrywała się w różne głupie programy w telewizji, by nie myśleć o morderstwach, gwałtach, porwaniach i śmierci w ogóle.

Gdy ocknęła się nad ranem, była niemal pewna, że miała za sobą najgorszą noc swojego życia...

XV.

Nadinspektor Wacław Gałka nie miał najmniejszych wątpliwości, że jego kariera właśnie się zakończyła.

Przed nim, na biurku, leżał raport. Obok pusta butelka po wódce. Jeszcze dalej rewolwer Gward. Chwycił broń dwiema rękami, obrócił do siebie i włożył lufę do ust, a następnie odciągnął kurek. Pomimo wypitego alkoholu, nadal brakowało mu odwagi, by pociągnąć za spust.

– Kurwa, nie dam rady...

Drżącymi rękami odłożył rewolwer do szuflady, spuszczając kciukiem kurek, a następnie wcisnął ukryty pod blatem biurka przycisk elektrozamka, który spowodował, że drzwi do gabinetu otwarły się.

– Proszę – mruknął niechętnie.

Do gabinetu wkroczył podinspektor Konrad Danielewicz, który na korytarzu czekał już od dłuższej chwili. Młody, porządny, zapięty na ostatni guzik i wyprasowany na idealny kant. Dupowłaz i karierowicz, pomyślał Gałka.

– Siadajcie – wskazał fotel.

Danielewicz skrzywił się na widok pustej butelki po wódce.

– To dowód w sprawie. – komendant odstawił butelkę na podłogę.

– No słucham.

Podinspektor kiwnął głową na raport.

– Tak, tak... proszę bardzo.

Danielewicz wziął raport i otworzył go na samym początku.

– A więc...

– Nie zaczynamy od „a więc” – poprawił go Gałka. Głównie dlatego, że lubił gnoić młodych i ambitnych. W policji liczy się cierpliwość i wytrwałość. – Proszę kontynuować. Zapewne doskonale zdaje sobie pan sprawę z tego, jak wygląda nasza sytuacja.

– Grupa dotarła do stacji metra Königsplatz – zaczął już nieco pewniej Danielewicz. – To tam doszło do tragicznego zdarzenia.

– Zgadza się, proszę dalej.

– Na pierwszy rzut oka, można by powiedzieć, że wszyscy uczestnicy operacji otworzyli jednocześnie ogień do siebie samych. Jednak to nie miałoby kompletnie żadnego sensu. To był bardzo doświadczony policjant, poważny i szanowany prokurator, emerytowany milicjant oraz emerytowany...

– No tak, tak – potwierdził Gałka. – Może warto usunąć z pańskiego raportu informację o tym, czym zajmowali się w przeszłości ci dwaj.

– Ale...

– To niczego nie wnosi sprawy. Proszę dalej.

Danielewicz zmieszał się nieco i nerwowo zawiercił się na krześle. Na jego czole zaczęły się perlić pierwsze krople potu.

– Dokładniejsza ekspertyza wykazała, że musieli zostać przez kogoś zaatakowani, a sytuacja rozwijała się bardzo szybko. Najpewniej zostali zaskoczeni i towarzyszyły temu duże emocje. – Podinspektor przewrócił kilka stron. – Jako pierwszy ogień otworzył prokurator Karol Płotka. Chmura śrucin przeleciała przez inspektora Wiesława Kulickiego, raniąc go w prawą łopatkę i ramię, a następnie ugodziła w niejakiego Lutza Frankenheimera. Paradoksalnie Niemiec miał mniej szczęścia, ponieważ otrzymał postrzał bezpośrednio na twarz i tym samym poniósł śmierć na miejscu. Kulicki wystrzelił kilka razy w kierunku Płotki, ale zadał mu jedynie powierzchowne rany. Prokurator zaczął strzelać w przeciwnym kierunku, trafiając głównie w ściany. W tym czasie otrzymał śmiertelny postrzał w serce, nabojem 8 x 18 mm Makarowa. Broń taką, wedle zeznań zbrojmistrza, posiadał niejaki Andriej Wiktorowicz Marczenko. Po tym ostatnim nie zostało ani śladu.

Gałka mruknął niewyraźnie pod nosem, po czym wykonał ręką gest, który mógł oznaczać „kontynuuj” lub „nawijanie makaronu”. Danielewicz zdecydował kontynuować.

– Inspektor Wiesław Kulicki był przytomny, gdy go odnaleziono, jednak z uwagi na zagrożenie życia, wprowadzony został w stan śpiączki farmakologicznej. Nie zdążyliśmy spisać jego zeznań.

– No dobrze...

Nadinspektor Wacław Gałka podniósł się i przemieścił w okolice okna, by jeszcze raz rzucić okiem na widok, który podziwiał od niemal czterdziestu lat.

Gdyby wszyscy zginęli, pomyślał, można by było uknuć jakąś teorię, że byli świrami, naćpali się dopalaczy z depozytu, lub założyli

apokaliptyczną sektę. A tak...

W chwili, gdy dowiedział się, że w podziemiach doszło do strzelaniny, i że są ranni, wrzucił do niszczarki wszystkie wydania magazynowe na broń. To było dobre, mądre posunięcie, ale nie wystarczające. Cholerny Kulicki przeżył, a Marczenko gdzieś zniknął. Przy odrobinie szczęścia został rozszarpany przez bestie i zawleczony w czeluści metra. Jednak znając swoje szczęście, Gałka mógł z góry założyć, że Marczenko jest tylko ranny, i z pewnością po kilku dniach pokazałby się żywy na powierzchni, w towarzystwie dziennikarzy.

W świetle powyższych faktów, zbrojmistrz także zapewne nie zamierzał milczeć. Pytanie o to, skąd Płotka i Frankenheimer wzięli broń musiało zostać postawione tak czy siak.

Komendant był skończony. I właściwie było tylko kwestią czasu, kiedy w jego gabinecie pojawią się funkcjonariusze mający dokonać aresztowania. Bo sprawa była tak gruba, że raczej nie pozwoliliby mu pozostać na wolności.

– No dobrze – powtórzył i wyjął chusteczkę higieniczną, by przetrzeć spocone czoło. – Proszę powiedzieć podinspektorze... Tylko szczerze. Jak to wygląda?

Danielewicz znów nerwowo zawiercił się w fotelu.

– Panie komendancie... Trudno wyobrazić sobie większy gnój.

– Czy przyjechali już z komendy głównej?

– Widziałem ich na dole.

Gałka poczuł, że nogi się pod nim uginają. Przytrzymał się parapetu, ale opadł na jedno kolano. Danielewicz szybko rzucił się w jego stronę.

– Proszę się nie martwić... Załatwi sobie pan papiery od lekarza.

Można panu zrobić jakąś poważną chorobę...

– Pomóż mi usiąść.

Podinspektor przytrzymał komendanta pod pachy i ostrożnie upuścił go na podłogę.

– Może wody?

– Nie, nie... Posłuchaj mnie Konradzie... – Nigdy nie zwracał się po imieniu do podwładnych, jednak tym razem uznał, że jest to potrzebne.

– W szufladzie biurka jest rewolwer. Podaj mi go.

– Po co? – zapytał podinspektor.

– Dobry z ciebie chłopak, chociaż zawsze uważałem cię za dupka. Zrób dokładnie to, o co cię proszę i pokaż, że miałem o tobie błędne mniemanie. Pokaż, że jesteś częścią watahy...

Danielewicz powoli i niepewnie zbliżył się do biurka. Otworzył wskazaną szufladę i wyjął rewolwer Gward. Była to broń, którą znaleziono przy inspektorze Kulickim. Podinspektor nie miał pojęcia, w jaki sposób trafiła ona do biurka komendanta, ale nie zamierzał zaprzętać sobie tym głowy akurat w tej chwili.

– Teraz podaj mi go.

Gałka chwycił rewolwer. Odciągnął kurek i wycelował w Danielewicza.

– Masz żonę i dziecko, prawda? – zapytał.

– Tak...

– W takim razie musisz mnie zastrzelić. Albo twoja rodzina nie zobaczy cię już inaczej, niż w trakcie okazania zwłok. – Ręka komendanta drżała w powietrzu, ale wyraźnie utrzymywał podwładnego w linii strzału.

– No, dalej!

– Dlaczego?

– Jak to dlaczego? Jestem komendantem kurwa... Nie zniosę takiego upokorzenia. Jak będę martwy, mogą sobie robić ze mną co chcą. Mogą szargać moje imię do woli. Jestem ateistą i bezdzietnym rozwodnikiem. Sram na to wszystko. Ale nie zniosę ciągnięcia mnie po sądach, przesłuchań, stawiania zarzutów, wygłaszania wyroków... No strzelaj kurwa!

Danielewicz pokręcił głową.

– Strzelaj, bo cię rozwalę! – Palec komendanta pomalutku ściągał spust, zbliżając się do momentu, w którym iglica uwolni się i uderzy w spłonkę.

– Strzelaj kurwa!

Podinspektor cofnął się. Zamierzał wskoczyć za biurko, ale Gałka wystrzelił raz i drugi. Pierwszy pocisk trafił Danielewicza w lewe ramię, drugi uderzył w blat, wzbijając w powietrze chmurę wirujących drzazg.

Z korytarza dobiegły okrzyki i tupanie butów. Ktoś wpadł do gabinetu z bronią gotową do strzału. Komendant skierował lufę na postać w drzwiach. Zamierzał wystrzelić, ale ten ktoś był szybszy. Trzy kule przeszły pierś Wacława Gałki. Rozległ się wrzask przerażonej kobiety. Komendant poczuł, jak szybko uchodzi z niego życie. Spojrzał w dół na białą koszulę, po której spływały gęste strugi krwi.

– Inspektor Adam Walicki, Komenda Główna Policji! – Mężczyzna, który zastrzelił komendanta, wymachiwał teraz legitymacją służbową.

– Niech ktoś wezwie pogotowie! Tylko migiem!

Nie udało się odratować komendanta Wacława Gałki. Lekarz pogotowia stwierdził zgon zaraz po przyjeździe. Udzielono pomocy Konradowi Danielewiczowi, którego rana okazała się dosyć poważna, ponieważ kula strzaskała kość ramieniową. Ciało Gałki musiało poczekać na transport, więc wyproszono wszystkich z gabinetu, w którym został tylko Walicki.

Warszawiak od razu chwycił za telefon i kazał poprosić rzeczniczkę, by na gorąco poczynić z nią jakieś ustalenia. Według wytycznych z Komendy Głównej, był teraz pełniącym obowiązki komendanta i cały ten syf spadł na jego własne barki.

Kalicka doznała poważnego ataku depresji. Usiadła na krześle i pogрузzyła się w bezdennej rozpacz. W całej swojej karierze nie spotkała się z sytuacją, choćby w połowie tak kuriozalną. Walicki szybko jednak stanął na wysokości zadania. Wyjął piersiówkę i nalał do dwóch szklanek.

– Masz. Pij – powiedział. – To łyskacz, nie jakieś gówno.

Rzeczniczka posłusznie opróżniła oba naczynia.

– Paradoksalnie – zaczął inspektor odpalając papierosa – martwy komendant będzie lepszy, niż żywy.

– Jak to? – kobieta nadal tkwiła w otępieniu.

– Być może Gałka celowo wyświadczył nam ostatnią przysługę. Już tłumaczę. Gdyby żył, zostałby postawiony w stan oskarżenia. Na pewno pojawiłby się zarzut prowadzenia działań operacyjnych w całkowitym oderwaniu od procedur. Wspomnę choćby udział osób spoza policji oraz całkowicie pozaproceduralne wydanie broni. – Strzepnął popiół bezpośrednio na biurko nieżyjącego komendanta. – To z kolei zrodziłoby sporo pytań dotyczących śledztwa w sprawie Jasia Piłki. A oboje wiemy,

że to, co piszą gazety i to, co wiecie wy, to dwie różne bajki.

Chwycił ją delikatnie za brodę i uniósł ku górze, by spojrzeć w oczy.

– Czy bardzo się pomylę, ryzykując takie stwierdzenie?

– Nie – odparła wycierając smarki w rękaw.

– No widzisz... A teraz? Sprawa wygląda zupełnie inaczej. Mieliśmy do czynienia z szajką w policji. Przestępczość zorganizowana. Najciemniej jest pod latarnią. Prokurator, komendant i jeden z najlepszych gliniarzy. Ich współpracownik to człowiek z podwójnym obywatelstwem, polskim i rosyjskim. Toż to czysty kryminał.

– Ale Kulicki żyje! – Kalicka cofnęła się gwałtownie. – Co chce pan z nim zrobić?

– Inspektor Kulicki jest w stanie śpiączki farmakologicznej. Może się z niej wybudzić, ale nie jest powiedziane, że tak właśnie się stanie – odparł, po czym sam pociągnął ze swojej piersiówki. – Życie jest pełne niespodzianek. Ktoś może przecież w nagłym ataku szału wejść na oddział i po prostu rozwalić mu łeb taboretą.

– Ale to przecież...

Inspektor Walicki uśmiechnął się, ukazując złoty ząb.

– Przecież co? Woli pani tłumaczyć się z tego, co działo się tutaj wcześniej? Z obcinania głów trupom? Myśli pani, że my nie wiemy, co tu się wyprawiało? Gałka był głupi, ale bardzo lojalny!

Wstał i przeszedł się po pokoju. Stanął nad stygnącym ciałem komendanta.

– Nie śmiał nas okłamywać. Stary, dobry Wacuś. – Poklepał trupa po policzku, a potem wyjął telefon i zrobił sobie zdjęcie z ciałem.

Bożena Kalicka poczuła, że za chwilę zwymiotuje. Wstała i ruszyła

w stronę drzwi, ale Walicki szybko podbiegł do niej i złapał za ramię.

– Czy mogę liczyć na twoją współpracę?

Spojrzała mu w oczy, a on spojrzał jej. Sporo o niej słyszał. Wiedział, że można z nią zrobić wszystko, jeśli tylko umiejętnie rozegra się swoje karty. Nachylił się do jej ust i... wtedy zwymiotowała.

Inspektor Adam Walicki czuł się niedopieszczony. Choć pochodził z małego miasteczka pod Radomiem, przyjechał do Wrocławia jako Warszawiak i tak chciał być postrzeganym. Chciał wyrzeźwić wrażenie człowieka konkretnego, bezwzględного i boleśnie skutecznego. Chciał, by ludzie się go bali. Tymczasem po pierwszym dniu wszyscy zapamiętali go jako tego, któremu rzeczniczka prasowa zwymiotowała do ust. I nawet fakt, że Walicki ustrzelił komendanta, nie miał tu już zbyt wielkiego znaczenia.

Postanowił, że nie da za wygraną. Zamierzał udowodnić wszystkim, że przywiózł ze sobą ogień i furję, morderczą skuteczność, o której w tym post-niemieckim bajzlu mogli tylko marzyć. Spędził kilka godzin na dokładnym zapoznaniu się z aktami, a gdy skończył, wiedział już, co dokładnie ma zrobić. Sprawa wydawała się banalna. Wprost śmiesznie banalna.

Stał z puszką energetyka na placu Nowy Targ i przyglądał się śmiesznemu food truckowi. Był pewien, że to właśnie Garlikowski jest mordercą. Informacja ta wprawdzie pochodziła od anonimowego informatora Kalickiej i nikt tak naprawdę jej nie zweryfikował, ale Walicki

dodał dwa do dwóch i uznał, że nie ma czasu na takie bzdury. Lepiej zaryzykować kompromitację i sięgnąć po naprawdę dużą wygraną, niż sterczeć w miejscu i uśmiechać się głupio do zdjęć. Błędem, który doprowadził do zguby Gałkę, było właśnie zbyt ociążanie się i przesadne zaufanie do podwładnych. Podwładni to zwykle bezwartościowi imbecyle, którzy bardziej szkodzą, niż pomagają, pomyślał.

Zgniół pustą puszkę i wrzucił ją do kosza, a następnie zdecydowanym krokiem ruszył w stronę food trucka.

– Patryk Garlikowski? – zapytał z daleka.

Chłopak od kanapek spojrzał na niego z zaskoczeniem i lękiem.

– Tak, o co chodzi?

– Jest pan aresztowany pod zarzutem poczwórnego zabójstwa!

– Walicki wyjął pistolet z kabury ukrytej pod marynarką i wycelował w sprzedawcę. – To ty jesteś Jasiem Piłką! – krzyknął na tyle głośno, by ludzie chodzący po placu zatrzymali się i spojrzeli w jego stronę.

– Inspektor Adam Walicki, Komenda Główna Policji! Stój bo strzelam!

Garlikowski nie zamierzał uciekać. Nadal mocno zaskoczony uniósł rękę do góry. W jednej z nich wciąż trzymał nóż do masła.

– Rzuć broń skurwysynu bo rozwalę ci łeb!

Chłopak posłusznie upuścił sztuciec, starając się nie poruszyć przy tym ani o milimetr. Wokół pomału zaczynali się zbierać gapię.

– To jest Jasio Piłka? – zapytał ktoś.

– Proszę się rozejść! Nie ma tu nic do oglądania – krzyknął Walicki, zbliżając się do ciężarówki. Nie spuszczał Garlickiego z muszki ani na

chwilę. – Rusz się skurwielu, a zrobię ci z dupy pieprzony durszlak!

Wszedł do wozu i rzucił chłopaka na blat, zręcznie wykręcając mu jedną rękę do tyłu. Później wyćwiczonym ruchem schował broń i wydobył kajdanki. Te po chwili zatrzasnęły się na nadgarstkach domniemanego mordercy.

– I jak się teraz czujesz ścierwo? – szepnął mu do ucha. – Skończyła się zabawa. Teraz zabawiać się będą z tobą inni. Pod celą. I mam nadzieję, że ci się spodoba, bo z pewnością będziesz miał duże powodzenie wśród chłopaków. A uwierz mi, że są oni spragnieni bliskości.

Wokół auta gromadziło się coraz więcej gapiów, więc Walicki wyjął telefon komórkowy, wykręcił standardowy numer alarmowy i poprosił o połączenie z policją.

– Mówi inspektor Adam Walicki z Komendy Głównej Policji. Powtarzam, inspektor Adam Walicki z Komendy Głównej Policji. Tymczasowo pełnię u was od wczoraj funkcję komendanta. Dokonałem zatrzymania podejrzanego w sprawie Jasia Piłki. Proszę o przysłanie radiowozu na... Jak się nazywa to miejsce? – zapytał jednego z gapiów.

– Plac Nowy Targ.

– Na plac Nowy Targ – powiedział i nie czekając na potwierdzenie, rozłączył się. – Naprawdę. Proszę się rozejść. To nie jest żadne show! Dokonałem zatrzymania groźnego przestępcy. Może być niebezpieczny. To prawdopodobnie psychopata o tak zdegenerowanym umyśle, że mógłby próbować wszystkiego.

Ludzie odsunęli się na kilka kroków, co pozwoliło dziennikarzom na przeciśnięcie się do przodu. Aparaty poszły w ruch. Pomimo gestów sugerujących protest, Walicki współpracował z fotoreporterami, wdzierając

się i pozując z Garlikowskim.

– Jestem niewinny! – krzyknął chłopak. – Nie wyrażam zgody na utrwalanie mojego wizerunku!

– Spokojnie, porozmawiamy sobie później. Pewnie będziesz chciał zaprosić jakiegoś adwokata, więc oszczędzaj jęzor. Jeszcze się nagadasz.

Radiowóz przyjechał po dwóch godzinach. W tym czasie wszyscy lokalni dziennikarze zdążyli narobić więcej zdjęć, niż przy jakimkolwiek innym aresztowaniu.

Starszy aspirant Łukasz Lenar nie krył podziwu.

– Widzę, że lepszy z pana gliniarz niż Casanova – zawołał.

– Milcz, bo cię tak urządzę, że na emeryturze będziesz wpierdalał konserwy dla psów – wysyczał Walicki. – Ta banalna sprawa pokazuje, że bardzo źle się tu u was dzieje, i że najwyższa pora zrobić z tym porządek. Gałka i Kulicki to czubek góry lodowej! Przez najbliższe tygodnie skupię się na reszcie załogi.

Lenar przełknął głośno ślinę. Przypomniawszy sobie o wszystkich drobnych kradzieżach policyjnego mienia, których dokonał w przeciągu ostatnich lat, o tych wszystkich lewych tankowaniach, kiedy brał paliwo do baku, by później przełączyć do prywatnego auta. I zrobiło mu się smutno.

– Przepraszam panie inspektorze. Ja tylko...

– Milcz głąbie! Odstaw aresztanta na komendę!

– Pan nie jedzie?

– Muszę udzielić informacji prasie.

Lenar podrapał się po głowie.

– Czy nie powinna tego zrobić pani rzecznik? – zapytał.

– Pani rzecznik już nie pełni swojej funkcji. – odparł Walicki śmiejąc się złowieszczo. – Została dziś zwolniona.

Starszy aspirant zaprowadził Garlikowskiego do Kii Ceed. Inspektora nadal oblegali dziennikarze, chcący zarejestrować choć kilka słów komentarza. Walicki upatrzył sobie jedną młodą, bardzo atrakcyjną dziennikarkę. Uśmiechnął się do niej i skinął ręką, by poszła za nim.

– To tyle na dzisiaj – krzyknął do pozostałych. – Sprawiedliwość zatryumfowała. Od tej pory wszystko w tym mieście ulegnie zmianie. Możecie być spokojni o to, że ulice Wrocławia będą bezpieczne zarówno w dzień, jak i po zmroku.

XVI.

– Kulicki, obudź się!

Głos Marczenki rozbrzmiewał w całkowitej ciemności, pozbawionej jakiegokolwiek przestrzenności. Zupełnie, jakby siedzieli w szafie.

– Andriej? Gdzie jesteś? – zapytał inspektor.

– W dupie. Nie ma mnie tu – odparł jasnowidz. – Śpicie towarzyszu. A dokładniej jesteście w śpiączce farmakologicznej. A teraz posłuchaj mnie uważnie. Musisz się obudzić. Idą po ciebie.

– Kto idzie? Jak to w śpiączce?

Usiłował się poruszyć, ale w tej ciemnej pustce jego ciało zdawało się być nieobecne. Nie potrafił niczego wymacać.

– Marczenko, co tu się dzieje? – spytał w końcu.

– Już ci powiedziałem. Jesteś w śpiączce farmakologicznej, a ja przemawiam do ciebie prosto z metra. – Głos stał się trochę mniej wyraźny.

– Skąd?

– Poczekaj, tracę zasięg. Podejdę do szybu wentylacyjnego, teraz lepiej?

– Lepiej.

– Leżysz w szpitalu, ponieważ oberwałeś od tego bęcwała prokuratora. Odwaliło mu totalnie. Zaczął strzelać na oślep. Rozwalił Frankenheimera i zranił ciebie. Jesteś w szpitalu. Chcą cię zabić, więc musisz się przemóc, wstać i wyjść.

– Kto chce mnie zabić?

– Cyka blyat! – zaklął Maczenko. – Skup się! Mam pewien pomysł, ale szczerze powiedziawszy nigdy tego nie robiłem, i nie mam pojęcia, czy się uda. Spróbuję przejąć kontrolę nad twoim ciałem i wyprowadzić cię ze szpitala.

Po tych słowach nastąpiła długa, pełna napięcia cisza. Kulicki nie wiedział, czy może przeszkadzać, więc po prostu milczał. Zastanawiał się, jak to możliwe, że gdy myśli o mówieniu, to mówi w myślach, a kiedy myśli w myślach, to nic nie mówi. Bo niewątpliwie cała ta rozmowa miała przebieg wewnątrz jego głowy. Zdawało się to wymykać jakiegokolwiek logice, więc postanowił zmienić temat rozmyślań na nieco bardziej przyziemny. Spróbował odtworzyć ostatnie chwile, które pamiętał.

Było tak, że szli tunelem metra. Wszędzie było pusto i cicho. Przez długi czas nie natknęli się na najmniejszy nawet ślad życia, nawet odchodów, które zwykle stanowiły niezbitą i trudną do zamaskowania

dowód czyjejś obecności.

W pewnym momencie, w oddali usłyszeli jakiś tajemniczy odgłos. Prokurator Karol Płotka wyrwał do przodu. Bardzo chciał strzelać, a przez długi czas nie było ku temu sposobności. W dodatku Lutz Frankenheimer strasznie działał mu na nerwy. Bardziej nawet, niż Marczenko. A właśnie...

– Marczenko, jesteś tam? – zapytał Kulicki w myślach.

– Jestem, jestem... chyba się udało.

– Co się udało?

– Idziemy – odparł jasnowidz. – Trudno mi cię prowadzić, bo nie widzę świata twoimi oczami, tylko poprzez mój astral. Strasznie to dziwne. Muszę wyrwać wenflon... zaczekaj.

Płotka wyrwał do przodu i po chwili zniknął im z oczu. Frankenheimer krzyknął coś, i zaczął też biec. Marczenko chyba stał gdzieś z tyłu. Kulicki popatrzył na niego i w tej chwili padły pierwsze strzały. Huk strzelby Płotki doskonale niósł się po tunelu o okrągłym przekroju, obłożonym blaszanymi płytami.

Inspektor też wyrwał do przodu, odbezpieczając rewolwer. Daleko przed nim mignął jakiś cień. Ale nie był w stanie określić, czy cień należał do Płotki czy Frankenheimera. A może do jeszcze kogoś...

Powietrze rozdarł przejmujący wrzask.

– Udało się – powiedział Marczenko. – Trochę się ubabraliśmy krwią, ale tak naprawdę, w tym szpitalnym łachu, to chyba bez znaczenia. I tak nie wyglądamy, jak byśmy się wybierali na bankiet w siedzibie partii.

– Wychodzisz mną na ulicę? – spytał Kulicki. – To bez sensu! Od razu ktoś mnie zobaczy i zatrzyma.

– Nie pękaj tawarisz. Wygląda to na normalny spacer. Tylko gały

masz jakoś tak wywrócone do góry... jak jakiś zombiak.

– Marczenko...

– Tak?

– Czy w tunelu oprócz nas był ktoś jeszcze?

– Nie widziałem – odparł jasnowidz. – Ciemno było...

– Nie widziałeś, bo z tyłu byłeś. Uciekłeś, jak tylko zrobiło się gorąco – powiedział inspektor. – Jak wtedy, w osiemdziesiątym szóstym, kiedy ścigaliśmy wilkołaka z Leśnicy...

– Do diabła Kulicki! Bo zostawię cię na tym korytarzu! Będiesz teraz rozliczał stare dzieje?

– Sram na stare dzieje! Chcę wyjaśnić, co zaszło w metrze!

Marczenko zamilkł na chwilę. Inspektor nie był pewien, czy była to przerwa techniczna, czy po prostu szarlatan usiłował wykręcić się od odpowiedzi.

– No? – ponaglił.

– Czekaj... Jesteśmy na klatce schodowej, a z dołu idzie ten, który ma cię zabić. Chciałem zobaczyć...

– Co? Uciekaj!

– Nie... zaczekaj... to... to...

Serce Kulickiego zamarło.

– Marczenko uciekaj! Uciekaj! – krzyczał w myślach.

Wyrzut adrenaliny oraz fakt, że od pewnego czasu do jego żył nie spływał lek utrzymujący go w stanie śpiączki sprawiły, że ciemność wokół Kulickiego zaczynała się rozjaśniać. Choć wszystko było zamglone, inspektor był w stanie dostrzec jasny prostokąt okna, a po chwili także schody i barierkę.

– Marczenko... – wymamrotał, ale nie usłyszał odpowiedzi.

Chwycił się barierki i tylko dzięki temu nie runął po schodach w dół. Nagle dotarło do niego, co mówił jasnowidz – morderca szedł po schodach. Energiczne kroki rozbrzmiewały coraz głośniejsze. Spojrzał w dół i ujrzał rękę przeskakującą po barierce. Chciał się rzucić do ucieczki, ale był zbyt słaby. Było już nawet za późno, żeby się schować... Od mężczyzny dzieliły go już tylko jedne schody, a i ten dystans stopniał w ciągu kilku sekund. Jego oczom ukazał się...

– Bielski?

– Inspektorze Kulicki!

Podkomisarz Rafał Bielski był nie mniej zdziwiony, niż sam inspektor. Stał jak wryty, a w jego oczach mieszało się zaskoczenie i przerażenie.

– Przyszedłem sprawdzić, jak się pan czuje... Widzę, że pana wybudzili.

– Bielski... – wymamrotał Kulicki. – Oddaj mi swoją broń.

– Słucham?

Inspektor z dużym wysiłkiem uniósł dłoń.

– Dawaj broń. To rozkaz. Jeżeli natychmiast go nie wykonacie, zostaniecie pociągnięci do odpowiedzialności, rozumiano?

Podinspektor powoli sięgnął pod marynarkę, nie tracąc jednocześnie kontaktu wzrokowego z przełożonym.

– Szybciej kurwa! Nie mamy całego dnia!

Pistolet zmienił właściciela. Kulicki sprawdził, czy broń jest nabita, odbezpieczył i wycelował w Bielskiego.

– A teraz wyprowadzisz mnie z tego budynku i wywieziesz za miasto.

– Ale...

– Bielski kurwa, jak Boga kocham, rozwalę ci łeb.

– Ale...

Marczenki nie było. Najwyraźniej przebudzenie rozłączyło ich i teraz jasnowidz próbował ponownie nawiązać połączenie, jednak przy odzyskanej świadomości było to zapewne utrudnione.

– Nie próbuj żadnych numerów. Nawet się nie zawaham, żeby cię rozwalić. Wiem, po co tu przyszedłeś! – warknął i wepchnął Bielskiemu lufę pod żebra. – Idziemy!

Schodzili bardzo powoli. Kulicki był mocno osłabiony i opierał się na Bielskim. Jednocześnie ciągle musiał się koncentrować na tym, żeby w razie jakiegoś dziwnego manewru zareagować natychmiast. Było to o tyle trudne, że wraz z powracającą świadomością, powracało także to niehumanitarne, dzikie pragnienie.

– Masz w samochodzie jakiś alkohol? – zapytał. – I fajki?

– Coś się znajdzie...

– Idźmy szybciej. – Lufa wbiła się mocniej w ciało Bielskiego, aż ten syknął z bólu.

– Każda broń statystycznie raz do roku strzela sama – powiedział podkomisarz. – Proszę mieć to na względzie.

– Mam. I szczerze powiedziawszy, jakoś mnie to nie martwi. Takie zdradzieckie mendo należy likwidować. Kto ci kazał mnie zabić, co?

Bielski jęknął, gdy inspektor chwycił go za włosy i odciągnął głowę do tyłu.

– Gadaj, bo rozwalę cię tutaj na schodach. A wierz mi, czuję się coraz lepiej. Chyba już sam mogę iść. To Gałka?

– Gałka nie żyje. To Walicki z komendy głównej... Pełni teraz u nas obowiązki komendanta...

– I za ile się sprzedajeś, co?

– Panie inspektorze, ja... kurwa!

Bielski nie dokończył, bo rękojeść Waltera P-99 trafiła go w zęby i padł na podłogę, łapiąc się za zakrwawioną twarz. Kulicki złapał go za gardło lewą ręką, a drugą niemal wcisnął mu lufę w oko.

– Gadaj, bo rozchlapię ci mózg na tych schodach! Dlaczego ten Walicki kazał mnie sprzątnąć i ile ci zapłacił?

W tej chwili w jego głowie rozległ się jakiś szum.

– Halo? Wiesław? Tu Marczenko... miałem jakieś zakłócenia na linii. Chyba tramwaj stanął nade mną na przed skrzyżowaniem i blokował sygnał... to nie ten. Powtarzam, to nie ten. Tamten wchodził innymi schodami. Ten jest dobry.

– Co? – Kulicki zastygł. – Marczenko powtórz.

– Ten tutaj nie jest winny. Rzeczywiście zamierzał sprawdzić, jak się czujesz, a przy okazji odwiedzić ciotkę, która leży piętro wyżej. Nie otrzymał żadnych instrukcji odnośnie twojej osoby.

– Dobra Bielski... – Inspektor puścił szyję podkomisarza i wyprostował się. – Wracacie do gry. To nieporozumienie. Oto wasza broń. – Zabezpieczył pistolet i wręczył go policjantowi. – Ale nadal musisz mnie wywieźć za miasto.

Bez problemu wyszli ze szpitala i przeszli do samochodu. Przejście po parkingu może było nieco bardziej problematyczne, ponieważ Kulicki miał na sobie tylko koszulę szpitalną. Marczenko nawet nie założył mu kapci, a temperatura była na minusie. Bielski siadł za kierownicą i od razu zapalił silnik, by nagrzać. Kulicki wsiadł do tyłu. Wszędzie walały się puste puszki po piwie, które wprawiły go w irytację.

– Co za syf! Moglibyście trochę posprzątać w wozie! Mówiliście wcześniej coś o jakimś czymś...

– Czymś?

– No, że się znajdzie. – Kulicki podrapał się po nieogolonej brodzie z nieprzyjemnym, suchym chrzęstem. – Coś do picia. Tyle tu się wala...

– A tak. – Bielski zanurkował w dół. W nogach pasażera ukryta była wielka torba, pełna rozmaitości. – Wódka? Piwo? Wino?

– Tak, poproszę.

Aż ręce mu się trzęsły, gdy odbierał pakunek od Bielskiego. W reklamówce znajdowała się nieotwarta półlitrówka Huragana i czteropak piwa. Ilość wymarzona dla uspokojenia skołatanych nerwów, rozgrzanie i rekonwalescencję po poniesionych obrażeniach.

Dopiero teraz zorientował się, że prawa strona klatki piersiowej i ramię są obandażowane. Szczęśliwie Płotka strzelał śrutem, a Kulicki musiał znaleźć się jedynie częściowo na obszarze rażenia chmury ołowiu. W innym wypadku byłby już martwy jak Frankenheimer. O ile szwaba rzeczywiście załatwił Płotka...

Przystawił sobie butelkę, a gdy płyn zaczął parzyć w gardło, jeszcze raz cofnął się myślami do tunelu metra. Ujrzał cień przebiegający w oddali. To nie mógł być cień należący do Płotki ani tego drugiego.

Marczenko z kolei zwał. Cień niewątpliwie należał zatem to kogoś lub czegoś, co za cel wziął Płotka. Mając na uwadze to, że prokurator był człowiekiem rozważnym i z pewnością nie otwierałby ognia bez potrzeby, Kulicki mógł przyjąć za pewnik, że cień należał do wampira lub innego stwora, który grasuje w podziemiach Wrocławia i może ewentualnie stać za popełnionymi morderstwami. Lub do zbiegłej ofiary numer cztery.

– To dokąd?

Kulicki zastanawiał się przez chwilę.

– Masz jakąś bezpieczną metę, w której mógłbyś mnie przechować?

Altanka wyglądała gorzej, niż źle. Dach miał wiele dziur, a drzwi nie dało się zamknąć. Bielski blokował je wielkim kamieniem od zewnątrz. Gdy siedziało się w środku, były ciągle uchylone. Ale najgorsze i tak było okno – choć zakratowane, nie miało szyby. Było zaklejone folią.

– Jakiś kutaфон wymyślił sobie zawody w rzucaniu cegłami – powiedział Bielski – i najwyraźniej wymyślił to sobie w chwili, gdy mijał moją działkę. Gdybym takiego spotkał na gorącym uczynku, to chyba mielibyśmy ten dzień w roku, kiedy broń wypala sama.

– Będzie w porządku – skwitował Kulicki. – Naprawdę nie chcę sprawiać kłopotu, a muszę się gdzieś podziać przez te parę dni.

– Ale to żaden kłopot – odparł podkomisarz. – Proszę się tylko nie załatwiać na grządki. Kiedyś tutaj pomieszkiwał szwagier i wszystko mi... Postaram się podrzucić jakieś zakupy...

– Będę wielce zobowiązany. Spisz proszę od razu wszystkie koszty.

Oddam ci, jak tylko się to wszystko skończy.

Kiedy Bielski się oddalił, Kulicki opadł ciężko na dziurawą, cuchnącą kanapę i mozolnie zaczął wciskać na siebie kolejną warstwę przepoconych, roboczych ubrań podkomisarza. Cuchnęły, jakby nigdy nie były prane.

W międzyczasie Marczenko znów nawiązał łączność.

– Ładnie się tu urządziłeś Kulicki.

– Widzisz to?

– Tak, podpiąłem się do twoich oczu, bo bałem się, że będziesz martwy. Ale widzę, że się udało. – Ręka inspektora sama powędrowała po butelkę wódki i podniosła ją do ust. – Co za rozkosz... gdybym ja miał tu choć buteleczkę...

– Gdzie jesteś Marczenko?

Kulicki odstawił butelkę i wstał, by poprawić spodnie, które wpijały mu się w tyłek. Myśl, że tak samo wpijały się one w tyłek Bielskiego, zmroziła mu krew w żyłach.

– Jestem uwięziony w metrze. Po tym safari, które urządził sobie wasz prokurator, musiałem uciekać przez kilka kilometrów. Tunel, o ile zdołałem się zorientować, biegł mniej więcej wzdłuż Odry.

Głos Andrieja Wiktorowicza momentami słabnął, jakby jakieś obiekty na moment przysłaniały pole. Pewnie samochody, pomyślał Kulicki.

– Tak, to samochody... – powiedział Marczenko. – Sporo teraz tego. Pomiędzy mną a tobą jest jakieś dwadzieścia, trzydzieści metrów różnicy w pionie, ale jakieś piętnaście kilometrów w poziomie. Pole idzie względnie płasko, więc każdy samochód, czy jakikolwiek inny, ruchomy

obiekt, może je zakłócać.

Gacie wpijały się bezlitośnie, pomimo wszystkich, możliwych zabiegów. Bielski był jednak chudszy, i choć udało się rozwiązać problem niedopinającego się guzika, poprzez przewiązanie spodni sznurkiem w pasie, to jednak nieprzyjemna penetracja pomiędzy pośladkami trwała w najlepsze. Kulicki wzdrygnął się i znów chwycił za wódkę.

– W każdym razie dotarłem do jakiejś stacji – kontynuował głos w jego głowie. – I wtedy mnie dopadły...

Kulicki aż opuścił butelkę z wrażenia.

– Kto cię dopadł?

– One. Nie mam pojęcia, co to za diabelskie stworzenia, ale na pewno nie żadne wampiry. Choć nie wykluczone, że żywią się krwią... Widziałem, co zrobiły ze zwłokami Płotki.

– Czy to one mogą być odpowiedzialne za zbrodnie popełniane we Wrocławiu? – spytał w końcu Kulicki, grzebiąc w gaciach i nie mogąc już dłużej wysłuchiwać tych bredni. – Powiedz mi, że istnieje choć cień prawdopodobieństwa, a będę wiedział, na czym stoję.

– Istnieje.

– Czy możesz mi powiedzieć, gdzie jesteś?

Marczenko milczał przez chwilę. W końcu jego głos znów rozbrzmiał w głowie Kulickiego.

– W Urazie.

XVII.

Artur Mogliński zatrzymał samochód na poboczu. Wszędzie wokół był las i robiło się coraz ciemniej. Nie zatrzymał się jednak, by nazbierać grzybów. Zatrzymał go znak „Uwaga. Ptasia grypa”. Przez drogę przeciągnięty był druciany płot. Bardzo go to wszystko zdziwiło, ponieważ nie słyszał o tym, by z powodu ptasiej grypy zamykano przejazd. Zgasił silnik, by nie marnować paliwa i wysiadł, by sprawdzić, czy przeszkoda znajdująca się na drodze jest łatwa do usunięcia. Ku swemu zadowoleniu bardzo szybko zorientował się, że konstrukcja nie służyła temu, by powstrzymać taranujący samochód. Były to po prostu drewniane stojaki, do których przyczepiono siatkę. Odsunął je na pobocze, wsiadł do swojego Forda i znów zaczął arię rżenia i kasłania, próbując obudzić silnik do życia.

Samochód miał już swoje lata, ale dzięki temu nie posiadał żadnej elektroniki, żadnych czipów z GPS, które pomagałyby śledzić go instytucjom rządowym i korporacjom.

– No startuj kochanieńki, bo mnie tu zaraz jacyś wilcy zjedzą.

W obliczu niepowodzenia wyszedł z rezygnacją na zewnątrz. Wyjął z auta latarkę i plecak, zatrzasnął wóz i przekroczył granicę strefy zamkniętej. A przekraczając ją, poczuł bardzo nieprzyjemne ciarki, spływające wzdłuż kręgosłupa. Czuł się, jakby rzeczywiście groziło mu jakieś niebezpieczeństwo, choć był niemalże pewny, że ptasia grypa to tylko spisek bigfarmu, mający wyłudzić od ludzi grube miliony na szczepionki, które o ile w ogóle miały jakieś działanie, to trudno było powiedzieć, jakie.

Starał się nie zapalać latarki tak długo, jak to było możliwe. W pewnym momencie jednak zmrok, który go ogarnął, był całkowicie nie do przeniknięcia. Jedynie niebo odcinało się odrobinę jaśniejszą barwą, ale wszystko inne – drzewa, kamienie, rowy, korzenie – zlały się w jedną, ciemnoszarą masę, z której nie był w stanie wyłowić najmniejszej choćby przestrzenności. Musiał zapalić latarkę, by oświetlać sobie drogę. Jednak ustawił ją tak, by świeciła na czerwono.

– Zginę tu – wyszeptał. – Przyjdzie mi tu kurwa szcznąć. Zajebią mnie. Będę kolejną ofiarą...

I tak, złorzecząc pod adresem swoim oraz czającego się w mroku nie wiadomo czego, dotarł do tabliczki „Uraz”, za którą znajdowała się jedynie kolejna porcja czarnej otchłani.

Wioska wyglądała na wysiedloną. Jeszcze raz spróbował sięgnąć do pamięci, by wyłowić choćby jedno skojarzenie, nagłówek czy strzęp informacji, mogący sugerować, że takie wydarzenie rzeczywiście miało miejsce, jednak bez powodzenia. Epidemia ptasiej grypy w Urazie pojawiła się zupełnie znikąd, bez niczyjej wiedzy, i w takich samych okolicznościach z miejscowości wynieśli się wszyscy mieszkańcy. Było to grubymi nićmi szyte, o tyle, że Garlikowski miał przecież przejeżdżać tędy dwa razy dziennie.

Mogliński zgasił latarkę. Jeśli ktoś znajdował się w którymś z tych domów, z pewnością mógł teraz obserwować Artura. Co z kolei w drugą stronę byłoby praktycznie niemożliwe.

Choć był ateistą, wydobył z kieszeni krzyżyk i zaczął odmawiać jakąś modlitwę.

– Ojcze nasz, któryś jest w niebie...

Zamilkł po chwili i zaczął wsłuchiwać się w ciszę nocy. Nieopodal musiała płynąć Odra. Słyszać było, jak jej fale rozbijały się o kamienisty brzeg.

Żałował, że znalazł się w tym miejscu, jednak teraz było już za późno na żale. Zdecydował, że wejdzie do jednego z domów i postara się jakoś przetrwać do rana, by móc lepiej rozejrzeć się po miejscowości. I ta część planu nie była nawet najtrudniejsza. Ponieważ wioskę najwyraźniej ewakuowano w pośpiechu, drzwi do pierwszego domu, do którego podszedł, były otwarte. Wszedł, zamknął za sobą i... Otwarta przestrzeń, choć była przerażająca, dawała poczucie panowania nad sytuacją chociażby z tego względu, że gdyby jakiegokolwiek cholerstwo próbowało się do niego zbliżyć, usłyszałby je już z daleka. W domu było równie ciemno, jak na dworze, ale dodatkowo jeszcze ciasno. Co chwilę odbijał się od jakiejś ściany, potracał jakieś przedmioty, robiące mnóstwo hałasu.

Po dłuższej chwili udało mu się usadowić w jakimś pokoju, na czymś miękkim, prawdopodobnie kanapie. Leżał jednak plecami do ściany z oczami otwartymi, niemalże do rana. Nie widział niczego, jednak nieustannie wytężał słuch. Zdawało mu się, że słyszał jakieś dźwięki na dworze. Jakieś tajemnicze szmery, odgłos drapania, raz nawet coś, co przypominało kroki. Jednak wszystkie te dźwięki były tak subtelne i krótkotrwałe, że już kilka sekund po ich ustaniu nie mógł z całą pewnością stwierdzić, czy rzeczywiście je słyszał, czy jedynie ulegał autosugestii.

Gdy zaczynało się rozjaśniać, był jednym, wielkim kłębkim nerwów, zakopanym w pościel pachnącą starymi ludźmi. Jeszcze przed wschodem słońca zdjął buty i zrobił obchód zaanektowanego domostwa.

Zaryglował wszystkie drzwi i okna, prowadzące na zewnątrz. Sprawdził kuchnię, by oszacować, kiedy ewakuowano ludzi i przy okazji zrobił sobie kanapki – na swoje nieszczęście z pieczywa tostowego i masła orzechowego.

Z talerzem kanapek i szklanką soku pomarańczowego udał się na górę, skąd miał dobry widok na wschód i na zachód. Na wschodzie miejscowość się kończyła i nie było tam niczego ciekawego do oglądania. Na zachodzie były kolejne domy, które ciągnęły się przez kilkaset metrów wzdłuż ulicy. Później ulica zakręcała. Przez mgłę widoczność nie była najlepsza.

– No to się wpakowałeś Mogliński – wyszeptał, przeżuając jedzenie. – Bez telefonu, bez broni, bez samochodu, w odciętym od świata miejscu, gdzie dzieją się dziwne rzeczy...

Nieprzyjemny dreszcz znów wstrząsnął jego ciałem. Było mu też zimno z niewyspania, więc postanowił wspiąć się na wyżyny odwagi i zejść na dół, by zaparzyć sobie kawy. Jednak to rodziło kolejne niebezpieczeństwo – kawa to kupa. A trudno wyobrazić sobie coś bardziej przerażającego, niż siedzieć w kiblu, w opuszczonym domu, w odciętej od świata wiosce, w której dzieją się dziwne rzeczy...

– Ale kawę muszę wypić.

Wstał i niemal w tej samej chwili usłyszał dziwny dźwięk na dole. Wydawało mu się, że jego źródło mogło znajdować się w domu, ale równie dobrze na zewnątrz, ale przy samym domu. Jakby coś uderzyło w okno albo drzwi.

Po schodach schodził z duszą na ramieniu, ściskając w dłoni duży nóż kuchenny, który już wcześniej przygotował sobie na podorędziu.

Obszedł cały dom i stwierdziwszy, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, poszedł robić kawę.

– Chyba już mi odwała – mruknął tylko.

Szczęśliwie dom, który zajął, musiał być bogaty, ponieważ jego właściciele pili wyłącznie kawę rozpuszczalną. Czajnik elektryczny nie działał, ale zagotował wodę metodami tradycyjnymi, na kuchence gazowej.

Z kubkiem gorącej, aromatycznej kawy, wrócił na swoje stanowisko obserwacyjne. W jednym z pokoi znalazł lornetkę, która te obserwacje ułatwiała. W notesie zapisywał godzinę oraz swoje obserwacje. W większości przypadków była to cisza i spokój, ale kilka razy pod domy podchodziły dziki i sarny.

W końcu po południu uznał, że skoro nic się nie pokazało, to może rzeczywiście wioska po prostu została ewakuowana i nie ma powodu do obaw. Co ciekawe, nigdzie nie dostrzegł żadnego domowego ptactwa.

– Pewnie ubite – mruknął. – Nic dziwnego.

Podwórkami przedarł się do kolejnego gospodarstwa, które bardzo dokładnie sprawdził, i w którym zjadł skromny acz pożywny posiłek, składający się z czerstwego pieczywa, kawałka sera oraz butelki wina. Potem sprawdził jeszcze kilka kolejnych domów. W jednym z nich znalazł bardzo elegancki sztucer myśliwski oraz amunicję, co od razu wziął za dobrą kartę. Broń mogła okazać się zbędna, ale mogło też być zgoła inaczej. Zabrał więc sztucer oraz całą amunicję, notując wszystko skrzętnie

na kartce, aby wiedzieć, gdzie co ma pooddawać.

W końcu dotarł do osnutego mgłą portu, który wywarł na nim bardzo ponure wrażenie. Łodzie niczym martwe wieloryby, spoczywały na brzegu, przewalone bezwładnie na jeden bok. Łód porastał nabrzeże, ale do samego nurtu wody praktycznie nie sięgał. Wszystko, bez wyjątku, pokryte było grubą warstwą szronu, ponieważ wilgoć w powietrzu była wysoka, a temperatura w nocy spadła poniżej zera. I zapewne w dalszym ciągu tam tkwiła. Mogliński jednak przywykł do mrozu i do tego, że było mu stale zimno. Potrafił zmobilizować się do wykonania tych kilku rozgrzewających ruchów, które ratowały życie.

Zdjął z pleców sztucer i zamierzał wejść do portowej restauracji, gdy nagle dobiegł go jakiś dźwięk. Zatrzymał się, by lepiej słyszeć, ale źródło dźwięku znajdowało się bardzo daleko i prawdopodobnie się przemieszczało. Mógł to być samochód, samolot albo i motorówka pędząca po Odrze.

Energicznym krokiem podszedł w stronę najbliższego schronienia, którym był stary, miniaturowy kuter motorowy. Przerzucił prawą nogę przez burtę i wdrapał się do środka, by móc oglądać wszystko z ukrycia, przez brudne szyby w kabinie.

Wewnątrz panował nieopisany bałagan. Stała tam zamarznięta woda, w której do połowy zanurzone tkwiły butelki po wódce. Mogliński przełknął głośno ślinę. Dużo by dał, by pociągnąć teraz z takiej flaszki. Niestety te były opróżnione pewnie jesienią, kiedy jeszcze kuter śmiało pruł mętne wody rzeki.

– Szlag by to – mruknął, sprawdzając po kolei wszystkie butelki.

Tymczasem dźwięk silnika narastał. Artur w dalszym ciągu nie był

w stanie powiedzieć, czy był to samochód czy motorówka, jednak wiedział, że z pewnością nie był to samolot. Dźwięk niósł się nisko, przy samej ziemi, a domy dość skutecznie go tłumiły.

O broni wiedział tylko tyle, że aby ją załadować, należy odciągnąć zamek, włożyć nabój do komory i zarepetować. Zrobił to dość niezgrabnie, ponieważ palce miał na wpół zdrętwiałe z zimna. Tak na wszelki wypadek, pomyślał. Tylko jakiś skończony świr pchałby się na teren objęty kwarantanną epidemiologiczną.

I w chwili, gdy po raz kolejny zabierał się do sprawdzania pustych butelek po wódce, zza płotu wyłonił się samochód. Stary Ford Sierra, do połowy zżarty przez rdzę. Mogliński zaśmiał się w duchu, że nie tylko on jeździ czymś, co zgodnie z jakąkolwiek logiką, już dawno powinno się rozsypać, a może i nawet rozłożyć.

Wóz zatrzymał się, wypuszczając na koniec z wydechu chmurę czarnego dymu. Drzwi otwarły się, a z wnętrza wyłonił się ten stary, zapijaczony gliniarz – Wiesław Kulicki.

– Tylko jego tu brakowało – mruknął pod nosem Artur i podniósł sztucer do ramienia.

Na broni zamontowana była luneta, dająca całkiem przyzwoite przybliżenie. Patrząc przez nią, Mogliński widział bardzo wyraźnie twarz Kulickiego, a na niej krzyż z bardzo cienkich linii.

– A gdyby tak...

Opuścił broń. Zabicie inspektora nie rozwiązałoby żadnego problemu, a wręcz stworzyłoby nowe. Gliniarze pewnie by się wściekli. Znaleziono by broń, pobrano odciski, a Mogliński musiałby się ukrywać już do końca życia, bo przecież na pewno jego odciski także mają w bazie.

Odłożył broń, wyszedł z kabiny i pomachał do Kulickiego.

– Tutaj baranie – powiedział cicho. – Może ktoś inny palnie ci w ten zapijaczony łeb.

I rzeczywiście rozległy się strzały. Nie strzelał jednak ani Mogliński, ani Kulicki. Inspektor przykucnął i zaczął biec w stronę kutra.

– Pomóż mi! – zawołał, gdy już znalazł się przy burcie.

Pociski uderzały głucho o drewno. Mogliński nie miał zamiaru się ruszać, jednak po którejś prośbie w końcu ustąpił. Uniósł się, złapał Kulickiego za rękę i pomógł mu wejść do kutra. Zaraz potem obaj przypadli do ziemi, a policjant sięgnął po sztucer.

– Ładne cacko. Masz na to pozwolenie?

– Znaleźne. Do samoobrony. Gdyby to był wolny kraj, miałbym takich dziesięć, żeby bronić swojego życia i majątku – odparł szybko Artur.

– Widziałeś skąd strzelał? – Kulicki uniósł sztucer i zaczął oglądać go ze wszystkich stron. – Ładna broń. Ciężko tak będzie bez przestrzelenia.

– Nie ma pan pistoletu czy coś?

– No jakoś tak nie – odparł inspektor. – Ale to jest nawet lepsze. Ma większy zasięg.

Gdy strzały ucichły, Kulicki wczołgał się do kabiny i wyjrzał na zewnątrz przez okienko. Miał sporo czasu, zanim agresor znów zaczął strzelać.

– To Jasiu Piłka? – zapytał Mogliński.

– Szczerze powiedziawszy nie mam zielonego pojęcia. Miałem tu przyjechać, żeby spotkać się z moim byłym partnerem. Tymczasem zastaję

tutaj ciebie i kogoś, kto najwyraźniej próbuje zabić ciebie oraz wszystkich, z kim się zadasz. – Gliniarz wydobył z wewnętrznej kieszeni kurtki paczkę papierosów i poczęstował Artura. – To mówisz, że nie wiesz, kto strzela?

– Nie. Przyjechałem tu wczoraj i było cicho, do momentu, aż zjawił się pan.

– W takim razie nie mogę powiedzieć nic dobrego o tej sytuacji.

Kiedy dym papierosowy zaczął unosić się nad włazem kajuty, strzały ucichły. Najwyraźniej ten, kto strzelał, uświadomił sobie, że ci w środku zrobili sobie przerwę. A skoro zrobili sobie przerwę, to szkoda marnować amunicję.

– Strzały padały od zachodu – powiedział Kulicki po chwili. – Były tam jakieś zabudowania.

– Restauracja portowa. Zamierzałem właśnie ją sprawdzić, kiedy usłyszałem silnik pana samochodu i ukryłem się w kutrze.

– Zatem chujaszczyk siedzi w restauracji. Będziemy musieli zastosować jakiś podstęp. Mam nawet jakąś taką roboczą koncepcję, ale będzie ona wymagała twojej pełnej współpracy i zaufania. Masz więcej amunicji?

Artur wyciągnął naboje z plecaka. Było ich kilkanaście. Kilka musiało wpaść gdzieś głębiej pod ubrania, ale nie chciało mu się szukać. W końcu ileż naboji potrzeba do ukatrupienia jednego snajpera?

– Jaki to plan? – zapytał, gasząc peta na burcie kutra.

– Wyjdiesz z łodzi po drugiej stronie. Na mój znak zaczniesz biec w kierunku następnej łodzi, a ja będę cię osłaniał. Kiedy ten skurwiel się pojawi i zacznie strzelać, postaram się go zneutralizować.

– Czyli mam być żywą tarczą? Nie ma mowy!

– Masz lepszy plan? Ja biegam powoli i dobrze strzelam. Ty biegasz szybko i nie potrafisz strzelać. O zamianie ról nie ma mowy.

Artur zamyślił się nad słowami Kulickiego. Uznał, że stary rzeczywiście ma rację, jednak jakiś wewnętrzny atawistyczny lęk kazał mu mówić „nie, nie i chuj”. Z drugiej strony wiedział doskonale, że znaleźli się w totalnej beznadziei. A wszystkie te ponure sprawy, które wisiały nad nim i czekały tylko, by na niego spaść... Może lepiej zginąć jak bohater, pomyślał.

– Zgoda – mruknął niewyraźnie. – Ale mam nadzieję, że rzeczywiście strzela pan lepiej, niż tropi morderców.

– Co? – Kulickiemu aż papieros z ust wypadł.

– No, że tego Jasia Piłki to pan nie dał rady... A, nie ważne

– Mogliński machnął ręką.

Zrzucił plecak i wyskoczył z łodzi.

– Powiedz, kiedy będziesz zamierzał biec – usłyszał z kajuty.

Rozejrzał się po najbliższej okolicy. Od kolejnej łodzi dzielił go dystans nie większy, niż dziesięć metrów. Zakładając, że strzelec nie spodziewał się tak głupiego zachowania, istniała całkiem spora szansa, że nie zdąży oddać nawet jednego strzału.

– Dobra, biegnę!

I wyskoczył. Pędził jak na złamanie karku, ślizgając się po zamarzniętych kałużach i pojedynczych pecynach śniegu, które nie zdążyły się jeszcze roztopić. Dobiegał już do łodzi, gdy padł pierwszy strzał, a zaraz za nim drugi, dużo bardziej donośniejszy. Musiał strzelić Kulicki, pomyślał Artur. I gdy tylko znalazł się w bezpiecznym miejscu, zaczął rozglądać się za kolejnym obiektem, za którym mógłby się skryć.

– Teraz! – krzyknął i wyskoczył z drugiej strony łodzi.

Znów padły strzały. Kilka tych cichszych oraz po pewnej chwili ten głośniejszy. Mogliński uświadomił sobie, że przecież sztucer wymaga przeładowania i skłął się w myślach za swoją lekkomyślność, która mogła kosztować go życie.

– Następnym razem daj mi trochę czasu – usłyszał z kutra.

– Dobra. Piętnaście sekund i lecę!

Zaczął odliczać w myślach. Do kolejnej łodzi musiał już biec po skosie, więc teoretycznie strzelec miał by lepsze pole widzenia. Z drugiej strony, aby dopaść Artura, musiałby się wychylić, jednocześnie nie widząc Kulickiego. I to mógł być decydujący moment, w którym wszystko mogło się rozstrzygnąć.

Kiedy ruszył, całe życie mignęło mu przed oczami, a wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie. Zmrożony piach uniósł się do góry, kiedy Artur wybił się z niego odświeżającym laczkiem. Usłyszał strzał po swojej prawej. Potem drugi, dużo bardziej donośny. I dźwięk tłuczonego szkła.

Pokonanie tego niewielkiego odcinka drogi trwało całą wieczność. Ale kiedy już przypadł do drewnianej burty kolejnej łodzi, uświadomił sobie, że po głośniejszym strzale sztucera Kulickiego, nie usłyszał już strzału z restauracji. Nie mógł jednak niczego wykrzyknąć, bo jego płuca pracowały już na pełnych obrotach.

– Chyba dostał – wyręczył go inspektor.

Mogliński opadł na piach, twarzą do ziemi. Musiał odczekać kilka minut, by dojść do siebie.

– Chyba?

– Jedyne sposoby, aby się przekonać, to spróbować przebiec dalej!

Artur wyjrzał zza łodzi. Pomiedzy nim a restauracją nie było już żadnych przeszkód, oprócz niewielkiego murka. Ale dawał on całkiem niezłą zasłonę. Nie chcąc ostrzegać strzelca, rzucił się do biegu i po chwili dotarł do ukrycia. Nie strzelał nikt.

– Co myślisz? – zapytał.

Kulicki podniósł się i zaczął gramolić się z łodzi jak stary niedźwiedź polarny. Mogliński obserwował go przez chwilę, ale kiedy jego oczom ukazał się wypięty tyłek, wystający w nieco zbyt dużym stopniu ze spodni, odwrócił wzrok w stronę Odry.

Rzeka płynęła spokojnie, jak płynęła przez wiele tysięcy lat. Ileż wody musiało w niej upłynąć, pytał w myślach. Odpowiedź na to pytanie było chyba zbyt trudna do ogarnięcia w sytuacji, w której tkwił.

Kulicki minął go powolnym krokiem, sapiąc ciężko. Wdrapał się na schody i wkroczył do restauracji, nie zachowując żadnych, nawet najbardziej elementarnych środków ostrożności. Artur zerwał się i ruszył w tym samym kierunku. A gdy już znalazł się wewnątrz budynku, ujrzał mężczyznę leżącego na podłodze, trzymającego się za szyję, z której broczyła krew. Obok niego leżał pistolet Makarow. Artur wiedział, bo wiele razy oglądał Bonda.

– Dlaczego? – zapytał Kulicki, stojąc nad rannym.

– Ty wiesz dlaczego Wiesiu – wyszeptał ich niedoszły zabójca. – Za to wszystko, co mi zrobiłeś.

– Andriej, przecież wiesz, że czasy były trudne. Każdy starał się ratować, jak mógł. Ci z góry dogadywali się z politykami, tacy jak my, musieli kombinować...

– Szczerze mówiąc gównu mnie to obchodzi... Zawsze można

spróbować nie być kurwą. Ty nawet nie spróbowałaś. Odwróciłeś się do mnie plecami. Zrobiłeś wspaniałą karierę, a ja czyściłem kible w szkołach... Bachory zakładały mi kubły na głowę i zabierały papierosy.

– Przepraszam, że przeszkadzam – wtrącił się Mogliński – ale czy mógłbym się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? Pan go zna inspektorze? Nie powinniśmy wezwać pogotowia?

– Dzwon – odparł Kulicki.

– Nie mam telefonu.

– Ja też nie. – Policjant przykucnął nad rannym. – To mój były partner Marczenko. Opowiem ci później. Poszukaj czegoś, co się nada na opatrunek. I jakiegoś telefonu.

Mogliński zaczął otwierać wszystkie szafki po kolei. Na wyposażeniu każdej restauracji powinna być jakaś apteczka. Przecież kucharze nieustannie obcinają sobie palce wielkimi tasakami. Znalazł butelkę wódki. Odkręcił ją i gwałtownie zaczął pić.

– To ty zabiłeś tych wszystkich ludzi? – usłyszał głos Kulickiego.

– Nie ja – powiedział Marczenko jeszcze bardziej niewyraźnie. – Ale ponieważ nie dałeś mi tej satysfakcji i nie dałeś się zastrzelić, ja też nie dam ci satysfakcji i zabiorę te tajemnicę ze sobą do grobu. Razem z informacją, gdzie przebywa Aneta Kotejuk.

Rosjanin zaśmiał się, plując krwią.

– Będziemy cię torturować! Mogliński dawaj tu tę wódkę!

Artur odjął butelkę od ust. Zostało mniej, niż połowa. Podeszedł do Kulickiego, jednak w tym samym czasie Marczenko zaczął charczeć i rzeźić, aż w końcu jego ciało wyprężyło się i nagle rozluźniło. Ręce opadły na podłogę, głowa również. Z przestrzelonej szyi zaczęło lecieć

coraz więcej krwi.

– Połknął język – mruknął inspektor.

– Myślałem, że tylko Chińczycy to potrafią. – Mogliński wręczył mu butelkę.

– Był w Chinach przez jakiś czas w młodości. Musiał wtedy się nauczyć.

– Co on powiedział o Kotejuk?

– Że nie powie nam, gdzie ona jest. – Kulicki pociągnął z butelki tak mocno, że szkło niemal się zassało. Gdy skończył, była całkowicie pusta.

– Jeśli on był głową tego interesu, to gdzieś muszą być jeszcze mięśnie... Może kutasiarz zabezpieczył się na okoliczność swojej śmierci i ustalił jakiś termin, w którym potwierdzi, że żyje. Ja bym tak zrobił na jego miejscu. A to oznacza, że...

– Aneta jest w niebezpieczeństwie! – powiedział Mogliński i padł na podłogę.

XVIII.

Aneta nie widziała niczego. Miała czarny worek na głowie. Nie mogła się także za bardzo ruszyć, bo była spętana jak baleron. Leżąc tak ciągle zastanawiała się, jakim cudem ten ktoś odnalazł ją. I jak do tej pory nie zdołała wymyślić niczego, co byłoby na tyle racjonalne, by móc to uznać za prawdziwe. Nie wiedziała też dokąd ją zabrano, choć mogła przysiąc, że było to jakieś mieszkanie w bloku. Od samochodu do miejsca, w którym znajdowała się w tej chwili, przeszła przez schody i windę. Pogłos, który tam panował, przypominał klatkę schodową typowego

bloku. Choć tak naprawdę równie dobrze mogła to być jakaś stara, opuszczona fabryka. A biorąc pod uwagę okoliczności, porywacz zapewne nie zabierałby jej do swojego domu.

– Wypuść mnie skurwielu bo pożałujesz – powiedziała, starając się zachowywać przy tym spokój i opanowanie. Co było bardzo trudne, gdyż podejrzewała, że znajduje się w rękach Jasia Piłki. – Policja już jest na twoim tropie. Będą tu lada moment, ale możesz spróbować poprawić nieco swoje położenie. Wypuść mnie.

Porywacz nie odpowiedział. Od samego początku nie słyszała jego głosu, więc na dobrą sprawę nie mogła wykluczyć, że był to Patryk Garlikowski. W końcu on był jedną z ostatnich osób, którego ją widziały. Mógł obserwować mieszkanie Mateusza, a później śledzić ją do hostelu.

– Wiem kim jesteś – powiedziała. – I policja też wie. Powiedziałam im wszystko, co wiem.

W końcu poczuła, że ktoś się nad nią nachyla. Być może uderzyła celnie. Może właśnie on miał tego typu obawy.

– Nic o mnie nie wiesz – wyszeptał zachrypłym głosem.

Wstrzymała oddech z przerażenia. Ten głos... To na pewno nie był głos Garlikowskiego. Było w nim coś dziwnego, obcego...

– Wypuść mnie. Proszę. Dlaczego mnie przetrzymujesz? Jakim prawem?

– Jakiej właściwie odpowiedzi oczekujesz? – zapytał już normalnym głosem. – Mam ci powiedzieć, że cię zabiję? Albo że tego nie zrobię? Czy ta wiedza cokolwiek zmieni? Czy jeśli powiem ci, że jest tak lub srak, to wpadnie tu zaraz siedmiu policjantów ze spluwami?

– Tak, oni przyjdą – załkała.

– Nie oszukuj się – odparł porywacz. – Dobrze wiesz, że się oszukujesz. Robisz to nieustannie. Życie to jedna, wielka szopka. Człowiek wypruwa sobie żyły, żeby kupować rzeczy, których nie potrzebuje, żeby imponować ludziom, których nie lubi. Powiedz mała suko, czy tak nie jest?

Aneta poczuła, jakby traciła grunt pod sobą. Jakby unosiła się w mrocznej toni gęstego jeziora. Wokół robiło się coraz ciemniej i ciemniej, aż ogarnął ją całkowity mrok i zrozumiała, że nie ma już ratunku. Nie ma nadziei, że wyjdzie z tego pomieszczenia żywa. Nie chodziło o nic konkretnego. To musiał być psychopata kierujący się motywami kompletnie niezrozumiałymi dla normalnego człowieka. A skoro były kompletnie niezrozumiałe, to nie dało się z nimi w żaden sposób polemizować. On po prostu pragnął zabijać i tyle. A ona, jak jakaś głupia dupa, przyłożyła sporo starań do tego, by zniknąć z radarów policji. Teraz zapłaci za swoją głupotę.

– Proszę, nie rób tego – wyszeptała roniąc łzy.

– Jesteś głupią dupą – powiedział porywacz. – Wydawało ci się, że jesteś cwana, co? Że przeskoczysz innych. Suko.

Lepka czerń. Zapadała się coraz głębiej i głębiej. To skojarzenie z jeziorem i mułem przywołało w niej wspomnienia jej największych lęków – brodzenia w nieprzejrzystej wodzie. Nigdy nie widać, co jest na dnie. I nagle coś ociera się o twoją nogę. Coś bliżej nieokreślonego. Coś, co istnieje, pomimo nas i naszej chęci wyparcia i zaprzeczenia.

– O czym myślisz głupia suko?

Aneta przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. Nie było dobrej, jednak może istniała lepsza, niż inne? Taka, która mogłaby

zachwiać poczuciem pewności psychopaty... Chociaż z drugiej strony nie mogła przecież przewidzieć jego reakcji. Może wpadłby w panikę i zabił ją szybciej. Choć może lepsze to, niż śmierć w wyniku powolnego wykrwawienia...

– Zastanawiam się – powiedziała – kiedy w końcu zjawią się ci cholerni gliniarze i zrobią ci drugą dziurę w tyłku.

Chwila nerwowej ciszy i głębokie dyszenie, które zdradzało rosnącą wściekłość u porywacza. Jeśli rzeczywiście tak było, to udało się odebrać mu pełną kontrolę.

Nagle, ni stąd, ni zowąd, zdarzyło się coś zupełnie nieprzewidzianego. Aneta usłyszała strzał i dźwięk ciała padającego na podłogę. Przez chwilę zastanawiała się, co właściwie zaszło. I jedynym, co przyszło jej do głowy, było to, że porywacz palnął sobie w łeb. Ale to byłoby zbyt piękne, aby było możliwe.

– Halo? – zawołała.

Po chwili usłyszała kroki i ktoś odsłonił jej oczy. Tym kimś był...

– Mogliński?

– Pani Aneto!

Artur Mogliński! Ten prywatny detektyw, do którego zaprowadził ją Grzegorz. Wątpiła w niego. Zdawał się być tylko doskonale udającym pozerem. A jednak!

– Panie Arturze! Jak... Jak pan?

– Szczegóły operacyjne muszą pozostać tajemnicą – odparł Mogliński. – To nie są sprawy, którymi lubimy się dzielić z osobami postronnymi. Z całym szacunkiem.

– Ależ oczywiście – odrzekła Aneta Kotejuk.

Kiedy tylko Mogliński wyswobodził ją, przylgnęła do niego całym ciałem i spojrzała mu głęboko w oczy, a następnie zatopiła swoje usta w jego ustach o posmaku taniej nalewki. Teraz jednak jej to nie przeszkadzało. Teraz rozumiała, że to jedynie kamuflarz, robocza przykrywka.

– Arturze – powiedziała.

– Przeżywasz teraz bardzo głębokie emocje – odparł Mogliński.

– Wydaje ci się, że jestem superbohaterem, ale ja jestem tylko zwykłym kolesiem...

– Nie – odparła. – Jesteś moim superbohaterem.

W ogóle nie zwracali uwagi na Kulickiego, który nachylił się nad charczącym porywaczem.

– Wiktor Andriejewicz, tak? – powiedział inspektor. – Tak właśnie przypuszczałem. Co mi powiesz?

– Pierdol się psie – Wiktor Andriejewicz splunął krwią. – Nie dowiesz się niczego.

– To ciekawe – odparł Kulicki i przycisnął obcasem buta moszną porywacza.

W pomieszczeniu rozległ się przeraźliwy charkot połączony z rżeniem.

– Aaaaaagghhrrrrrrrrrr... kurwa! Job twoju mać!

– Co proszę?

– Co chcesz wiedzieć?

Kulicki nachylił się nad młodym Marczenką.

– Powiedz mi kurwo jedna, kto zabił tych wszystkich ludzi. Bo twój ojczulek wypuszczając ducha, nie był zbyt rozmowny. Ale ty mi wyglądasz

na totalną kurwę bez honoru.

Wiktor splunął z pogardą i Kulicki musiał jeszcze raz przycisnąć jego jądra do podłogi. W końcu otworzył się.

– To oni!

– Jacy oni?

– Krew bogów!

– Jaśniej kurwa, bo będę musiał ci znieść orzeszki!

Marczenko uspokoił oddech.

– Dyhrenfurth... Filia obozu Gross-Rosen. Niemcy produkowali tam sarin i tabun, a więźniowie obozu musieli napęłniać tym pociski. Prowadzono też eksperymenty.

– Jakie eksperymenty?

– Nieśmiertelność! Krew bogów! Zamykano więźnia w szklanej komorze i wpuszczano sarin. Kiedy ten umierał, dawano mu zastrzyk, a po chwili był cały i zdrowy. Dzięki temu Hitler dożył tak sędziwego wieku...

– O czym ty do cholery mówisz? – Kulicki złapał Marczenkę za poły marynarki. – Gadaj kurwo!

Ten jednak pomału odpływał do krainy wieczności.

– Gadaj kurwo! – zdzielił Wiktora potężnym prawym sierpowym.

Ten wyszeptał jeszcze:

– Oni żyją w podziemiach...

I odszedł.

– Ja pierdolę – wymruczał Mogliński, odklejając na chwilę Anetę od swoich ust. – Co za pokręcona historia.

– Krew bogów – powiedział Kulicki. – Słyszałem już kiedyś to określenie. Ale sądziłem, że to mit, legenda.

– Co takiego? – Artur mógł w końcu mówić, bo Aneta uklękła i zaczęła dobierać się do jego rozporka.

– Rzeczywiście Niemcy mieli prowadzić jakieś eksperymenty. Są świadkowie. Właściwie byli, bo już zmarli. Podobno rzeczywiście takie eksperymenty miały miejsce. Było to mocno naciągane, nie chciałem w to wierzyć...

– Co to jest ten Dyhrenfurth? – zapytał Mogliński odchylając głowę do tyłu w przyływie rozkoszy.

– Miejscowość pod Wrocławiem. Była tam fabryka gazów bojowych oraz obóz pracy. Tak, jak mówił ten Marczenko. Więźniowie pracowali przy napełnianiu pocisków artyleryjskich i lotniczych gazami bojowymi. Tuż przed przejęciem przez Rosjan fabryka została wysadzona, co w praktyce oznacza, że wysadzono infrastrukturę na powierzchni. Ale zostały podziemia...

– Podz...

– Podziemia – kontynuował Kulicki. – Tunele, które prawdopodobnie łączyły się z metrem pod Breslau. To dlatego te... istoty... Te wszystkie zdarzenia miały miejsce w linii pomiędzy miejscowością Brzeg Dolny, czyli dawnym Dyhrenfurth, a Wrocławiem. Te tunele biegną wzdłuż Odry, łącząc dawną fabrykę sarinu, miejscowość Uraz oraz Wrocław. A te potwory...

– Potwory?

– Sądzę, że to jakieś efekty nieudanych eksperymentów, które Marczenko poznał i wykorzystał do swojego planu zemsty na mnie.

Mogliński skończył a Aneta wstała, otarła usta i przytuliła się do niego raz jeszcze.

– Frankeheimer musiał wiedzieć – mruknął Kulicki. – Może nawet krył Marczenkę... Może byli w zмовie...

– Cholera...

– Niestety tego się już nie dowiemy – powiedział inspektor.

– Zabiliśmy już wszystkich, którzy mogliby nam to wyjaśnić.

– A co z tym... Garlikowskim?

– Garlikowski siedzi w areszcie – odparł Kulicki. – I lepiej, żeby tak zostało.

– Jak to?

– Tak to. Musi być sprawca zastępcy. Chcesz tłumaczyć mediom to wszystko? Chcesz opowiadać o ucinaniu głów trupom i ruskich jasnowidzach?

– No... chyba nie.

Kulicki znalazł w jakiś cudowny sposób butelkę wódki, odkręcił ją i zaczął przelewać sobie jej zawartość bezpośrednio do gardła.

– Bystry z ciebie chłopak – powiedział w końcu. – Życie to nie jest bajka. Ktoś musi być kozłem ofiarnym. Ktoś musi wziąć na siebie winę za innych. I niestety padło na tego chłopaka. Będzie musiał zgnić w pierdlu. Znalazł się w nieodpowiednim miejscu, w nieodpowiednim czasie.

– Ale jaka jest jego prawdziwa rola? – zapytał Mogliński.

– Jebał go pies – odparł Kulicki wychodząc z mieszkania. – Jebał go pies.

KONIEC